NIEMIECKI POLIGON DOŚWIADCZALNY

Gdzie bodnarowcy szkolili się w łamaniu polskiej konstytucji

Dlaczego Piłsudski zrewidował swój stosunek do Związku Sowieckiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 38/647 15–21 WRZEŚNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CEJROWSKI PRZESTRZEGA PRZED ŻYWNOŚCIĄ Z KRAJÓW MERCOSUR

Czy kręgowce wyszły na ląd „w Polsce"?

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Drony nad Polską

ZIMNA KREW NA WAGĘ ZŁOTA

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

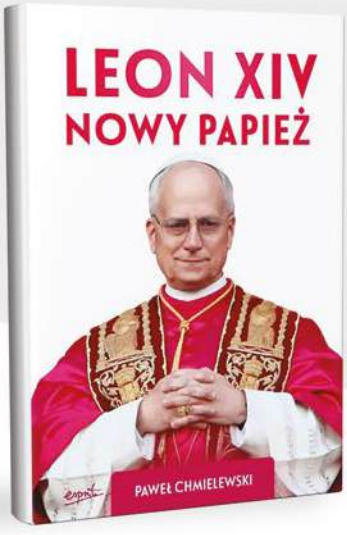

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~782 ZŁ~~

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 489 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ada7bc27a8

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

O co nie wolno pytać

Rozpowszechnianie rosyjskiej propagandy i dezinformacji w dzisiejszej sytuacji to działanie na szkodę państwa polskiego wymierzone wprost w bezpieczeństwo Ojczyzny i obywateli. Głupota, a tym bardziej polityczne poglądy nie powinny być traktowane jako okoliczność łagodząca – to słowa polskiego premiera po tym, jak do Polski w nocy z wtorku na środę, w trakcie ataku Rosji na Ukrainę, wtargnęło kilkanaście dronów. Jaka jest zatem kanoniczna i niepodważalna prawda, której, zdaniem Donalda Tuska, nie wolno kwestionować?

Kiedy czytam wypowiedzi najważniejszych polskich polityków, wydaje się, że ową jasną i niezbywalną prawdą jest twierdzenie, że rosyjskie drony zostały wysłane do Polski celowo i były, jak to w pierwszym komunikacie stwierdził Sztab Generalny, „aktem agresji". Taką linię przyjęli za Donaldem Tuskiem politycy rządu, w podobnym duchu wypowiadali się też ich oponenci polityczni. Według Biura Bezpieczeństwa Narodowego: „Decyzja polityczna o wysłaniu dronów nad Polskę musiała zapaść w Rosji. Wszystko, co poprzedzało dzisiejszą noc, wcześniejsze incydenty z użyciem dronów, było testem, sprawdzianem reakcji strony polskiej. Faktem jest, że Rosjanie użyli wojsk dronowych, żeby wtargnąć w polską przestrzeń powietrzną, i po raz pierwszy część z tych dronów została strącona". Podobnie prezes PiS, Jarosław Kaczyński: „Mamy dzisiaj szczególny dzień, mamy do czynienia z atakiem na Polskę. To już nie jest przypadek w żadnym wypadku, to jest po prostu atak" – mówił.

Problem polega na tym, że teza ta nie jest oczywista. Po pierwsze i najważniejsze: jeśli był to faktycznie atak Rosji, a więc nie przypadkowe, lecz celowe zboczenie dronów z kursu (np. efekt zakłócenia przez Ukrainę), to jaki był motyw atakujących? Co chciała osiągnąć Moskwa, kierując na Polskę kilkanaście dronów, które były wabikami? Zdaniem specjalistów z BBN chodziło o „test, sprawdzian reakcji strony polskiej". Od razu widać dysproporcję między ewentualnym zamiarem – chęć sprawdzenia – i działaniem – atakiem na obce państwo NATO. Jedynym możliwym efektem całego zdarzenia może być przecież nasilenie się w Europie głosów domagających się kolejnych sankcji na Rosję i zwiększenia pomocy militarnej dla Ukrainy. Podobnie skutkiem jest wzrost presji na Donalda Trumpa, żeby ten „odpowiedział Putinowi" i zerwał negocjacje. Wyszłoby zatem na to, że Kreml dla przetestowania polskiej obrony postanowił pogorszyć swoją pozycję polityczną i wzmocnić stanowisko Ukrainy. Nie można tego wykluczyć, ale trudno uznać to za motyw.

Po drugie, jeśli prawdą jest twierdzenie o woli „przetestowania Polski", to jak wytłumaczyć ostrzeżenie polskiej armii przez Białoruś? Nie tylko wspominają o tym Białorusini, lecz także potwierdził tę informację szef Sztabu Generalnego, gen. Wiesław Kukuła. Dodał on, że Polacy byli ostrzeżeniem zaskoczeni i że było ono pomocne. W jaki zatem sposób można twierdzić, jak robi to BBN, że była to decyzja Moskwy oraz że był to test, i jednocześnie uznawać, że dzięki pomocy Białorusi Polska została uprzedzona? Być może polscy analitycy doszli do wniosku, że Białoruś zerwała relacje z Rosją i przeszła do obozu antyrosyjskiego?

Po trzecie, jeśli faktycznie mieliśmy do czynienia z atakiem, to dlaczego polskie władze nie odwołały się do art. 5 NATO? Czyżby same do końca nie wierzyły w to, co deklarowały?

Bardziej prawdopodobne jest zatem to, że mogło dojść do zejścia grupy dronów z wyznaczonego kursu. I znowu, są tu dwie możliwości.

Pierwsza: był to efekt zamieszania i zderzenia przeciwnych sił – tych, którzy kierowali atakiem z Moskwy na Ukrainę, i tych, którzy bronili Ukrainy przed atakiem.

Druga: chodziło o celowe przekierowanie dronów na Polskę, żeby wywołać pożądany przez stronę ukraińską efekt. Jaki? Wyraźnie mówił o nim były prezydent Andrzej Duda w niedawnym wywiadzie: „Oni [Ukraińcy] od początku próbują wciągnąć wszystkich w wojnę. To jest oczywiste, to jest w ich interesie, a najlepiej, gdyby udało się wciągnąć w wojnę kraje NATO. Oczywiste jest, że poszukują tych, którzy po ich stronie walczyliby czynnie przeciwko Rosjanom. To się dzieje od pierwszego dnia". Jeśli to jest oczywiste od pierwszego dnia wojny, to dlaczego ta wersja nie może być przedmiotem badania? Co więcej, na rzecz tej hipotezy – mieliśmy do czynienia z operacją wciągania Polski do wojny – przemawiają kolejne głosy polityków, choćby pomysł wysłania Polaków na Ukrainę, by tam ćwiczyli się w zestrzeliwaniu rosyjskich dronów.

Nie ma zatem jasności co do przyczyn tego, co się wydarzyło. Cała historia natomiast raz jeszcze pokazuje to, co od dawna piszą realiści (niestety, jest ich w Polsce niewielu): im dłużej trwa konflikt na Ukrainie, tym większe jest ryzyko wciągnięcia w niego Polskę. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
DRONY NAD POLSKĄ
Zimna krew na wagę złota

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
PREZYDENT I POWIEW WOJNY
Koniec miesiąca miodowego Karola Nawrockiego

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA ZŁUDZEŃ

22 ROZMOWA Z JANUSZEM KOWALSKIM
KONIEC MIĘKKIEJ GRY

24 MICHAŁ MURGRABIA
PORADNIK ŁAMANIA PRAWA

26 RADOSŁAW WOJTAS
JAK OPIŁOWAĆ KANAŁ ZERO

30 MARIUSZ MUSZYŃSKI
CAŁA PRAWDA O REPARACJACH OD NIEMIEC

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
MARYSIEŃKA NA KAPITOLU
Ślady Sobieskich w Wiecznym Mieście

36 PIOTR GOCIEK
OPOWIEŚĆ PRAWIE WIGILIJNA

38 ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ CZYŃSKĄ
RUSAŁKA POEZJI POLSKIEJ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 BARTOSZ LEWANDOWSKI
BODNARYZACJA POLSKIEGO PRAWA
Przejściowa sprawiedliwość, niemieckie pieniądze

48 WOJCIECH GOLONKA
WSCHÓD JEDNOCZY SIŁY

50 LECH MAŻEWSKI
DLACZEGO PIŁSUDSKI ZREWIDOWAŁ SWÓJ STOSUNEK DO ZSRS

54 ROBERT BOGDAŃSKI
GRANICE WSPÓLNEJ PAMIĘCI

56 FILIP MEMCHES
WOKEIZM PO POLSKU

HISTORIA

58 ROZMOWA Z PIOTREM SZREKIEM
CZY KRĘGOWCE WYSZŁY NA LĄD „W POLSCE"?
Sensacyjne odkrycia polskich paleontologów

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI
PARYŻ NA KOLANACH
Republika w ruinie, na ulicach wrze

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
Z-BLOGERZY NA FRONCIE SPECOPERACJI

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
ODŚWIEŻANIE STAREJ PRZYJAŹNI
Amerykańsko-rosyjska współpraca gospodarcza

ŻYCIE I NAUKA

72 ADAM ZUBEK
OSTATNI LODOWIEC
Krajobraz na Ziemi bez lodu

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (53), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl ada7bc27a8

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Olkuśnik/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Umowa z Mercosur – kapitulacja?

W ostatnich dniach słyszymy głosy z rządu i kierownictwa Ministerstwa Rolnictwa świadczące o kapitulacji w sprawie zablokowania umowy handlowej z krajami Mercosur.

Władza się poddała, a wcześniej przespała najważniejszy i najdogodniejszy okres, w którym można było znaleźć sojuszników. Chodzi o polską prezydencję w Unii Europejskiej, którą mieliśmy od stycznia do końca czerwca. Solidarność RI, Samoobrona i inne rolnicze organizacje zorganizowały 3 stycznia w mrozie i śniegu protest w Warszawie. Miał on zwrócić uwagę na najpilniejsze problemy naszej branży. Data tego protestu nie była przypadkowa, był to dzień uroczystego przejęcia prezydencji przez Polskę. Liczyliśmy, że nasz głos zostanie wysłuchany, jednak został niestety zignorowany. Są to błędy i zaniechania, których nie można wybaczyć.

Dziś polski rolnik stoi pod ścianą, do której przyparły go niskie ceny na zdecydowaną większość płodów rolnych i trzy umowy międzynarodowe: umowa z Mercosur, liberalizacja handlu z Ukrainą i nowa umowa dotycząca ceł UE-USA, na podstawie której nasza żywność wysyłana do USA ma 15-procentowe cło, a większość towarów rolno-spożywczych z USA ma stawkę 0 proc.

Naszych interesów nie zabezpieczy żadna klauzula bezpieczeństwa ani rekompensaty w wysokości 6,3 mld euro przez siedem lat. Od początku świata kraje chroniły swoje gospodarki cłami, z których czerpały zyski, a w Unii Europejskiej cła są likwidowane, doprowadza się do niszczenia rodzimych przedsiębiorców i rolników, a straty tym spowodowane łagodzi się dopłatami i rekompensatami sfinansowanymi z portfeli wszystkich mieszkańców Unii. Przecież to nie ma nic wspólnego ze zdrową ekonomią i zdrowym rozsądkiem.

Produkcja żywności w Unii Europejskiej podlega najwyższym rygorom fitosanitarnym, weterynaryjnym i środowiskowym na świecie. Jeżeli u nas redukujemy czy likwidujemy produkcję, to zwiększa się ona poza Unią, w krajach, gdzie odbywa się ona w skandalicznie niskich standardach. Jeżeli spożywamy określoną ilość wołowiny, wieprzowiny, drobiu na osobę, to nie zmniejszymy w ten sposób spożycia, tylko produkcja będzie prowadzona gdzie indziej. Można to zauważyć na przykładzie rynku nawozów. Zredukowaliśmy ich produkcję u nas, to zwiększyły się ich import i produkcja w innych częściach świata, w których są tańsze, bo nikt tam nie zwraca uwagi na ochronę środowiska. Bilans zużycia nawozów pozostał ten sam.

Przez likwidację rolnictwa europejskiego doprowadzimy do jeszcze większej wycinki lasów w Ameryce Południowej, jeszcze większego zużyciu pestycydów, hormonów wzrostu i innych środków w krajach Mercosur, ponieważ produkcja będzie musiała być jeszcze bardziej intensywna, bo kraje te będą musiały wyprodukować jeszcze więcej żywności. Dokładnie o tyle więcej, o ile mniej wyprodukujemy w Unii Europejskiej.

Marcin Wroński,
Związek Zawodowy Rolnictwa Samoobrona – zastępca przewodniczącego w województwie kujawsko-pomorskim

eprasa.pl ada7bc27a8

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ukarani za gorliwość

Dwie informacje wzbudziły w ostatnich tygodniach spore zainteresowanie. Krzysztof Ruchniewicz, polski historyk i niemcoznawca, został zdymisjonowany z funkcji dyrektora Instytutu Pileckiego oraz rządowego pełnomocnika do spraw stosunków polsko-niemieckich. Jego odwołanie wiązane było z powszechną krytyką jego rządów nad Instytutem Pileckiego, sposobem i trybem zwalniania osób z tej instytucji, na czele z szefową berlińskiego oddziału Instytutu – Hanną Radziejowską. Krzysztof Ruchniewicz wywołał też ogromne kontrowersje, podejmując przygotowania do seminarium o zwrocie dóbr kultury Niemcom. Wobec faktu braku zwrotu licznych dzieł kultury polskiej znajdujących się w niemieckich bibliotekach i zbiorach dokumentów taka inicjatywa wywołała sporo głosów oburzenia. Dodatkowo jeszcze bilans jego aktywności na stanowisku pełnomocnika do spraw polsko-niemieckich został oceniony tak źle przez rząd Donalda Tuska, że poinformowano o zlikwidowaniu tego stanowiska.

Druga informacja dotyczyła Doroty Wysockiej-Schnepf. W nowej ramówce TVP Info nie znalazło się miejsce dla sztandarowego programu publicystki „Rozmowy niesymetryczne". I ten program krytykowany był przez liczne media, nie tylko opozycyjne, z powodu wyrazistego demonstrowania niechęci wobec opozycji przez publicystkę. Specjalnością Wysockiej-Schnepf było osobiste zaangażowanie w atakowanie opozycji i wręcz rywalizowanie z zaproszonymi gośćmi na polu jak najostrzejszych ataków na siły opozycyjne. Teraz Wysocka-Schnepf co prawda nie zniknie całkowicie z anteny TVP, ale będzie musiała się obejść bez swojego sztandarowego programu.

Co łączy obie sprawy? W obu wypadkach okazało się, że rząd Donalda Tuska jest jednak czuły na krytykę medialną, szczególnie gdy wychodzi ona poza podział Platforma kontra opozycja. Zarówno Ruchniewicz, jak i Wysocka-Schnepf zostali w pewnym momencie uznani za wizerunkowe obciążenie dla ekipy Tuska. I pozbyto się ich bez większych ceregieli.

W przypadku Ruchniewicza zabrakło nawet kurtuazyjnego podziękowania za pełnienie przez ponad rok funkcji pod auspicjami rządu. A przecież zarówno Ruchniewicz, jak i Wysocka-Schnepf długo cieszyli się zaufaniem PO. Nikt z otoczenia Tuska nie przestrzegał ich przed nadmiarem gorliwości. Liberalne media wiele razy ze świętym oburzeniem broniły zarówno Ruchniewicza, jak i Wysockiej-Schnepf przed „hejtem prawicy".

Tyle że rząd Donalda Tuska jest już w tak fatalnej sytuacji wizerunkowej i sondażowej, że podejmuje decyzje gwałtowne i arbitralne. I nie ma zbytnich skrupułów, gdy chce ratować swój wizerunek. Prestiżem Ruchniewicza i Doroty Wysockiej-Schnepf nikt się nie przejął. Obu tych wiernych żołnierzy w tuskowych wojnach bez większych problemów spisano na straty.

Ekipa Tuska przypomina myśliwych, którzy ścigani zimą przez wilki zrzucają z sań najmniej potrzebnych pasażerów. Czy los tych dwojga nadgorliwców będzie ostrzeżeniem dla tych, którzy wojenki Tuska traktują na serio? ©℗

IZRAEL UDERZYŁ W SERCE KATARU

Izrael zaatakował delegację Hamasu w stolicy Kataru, Dosze. W bombardowaniu zginęło sześć osób. – To był barbarzyński atak, Izrael nas zdradził i zabił wszelką nadzieję na uwolnienie zakładników – oznajmił na antenie CNN premier Kataru Szejk Muhammad ibn Abd ar-Rahman ibn Jassim at-Tani, dodając, że izraelski atak to akt „terroryzmu państwowego". Katarskie MSZ oznajmiło zaś, że atak „stanowił rażące naruszenie wszystkich międzynarodowych praw i norm". ***(jap)*** ©℗

FOT. AA/ABACA / ABACA PRESS / FORUM

SUKCES TRUMPA NA BIAŁORUSI

Białoruś wypuściła 52 więźniów politycznych, w tym 14 cudzoziemców, wśród których dwie osoby mają polskie obywatelstwo. Uwolnieni – wśród których są m.in. liderzy związków zawodowych, dziennikarze i aktywiści – wraz z członkami delegacji USA w czwartek dotarli na Litwę. Operacja to efekt porozumienia między autorytarnym przywódcą Alaksandrem Łukaszenką a prezydentem Donaldem Trumpem. Reżim nadal przetrzymuje jednak ponad tysiąc więźniów politycznych. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Zaczniemy od teorii spiskowych, bo warto. Otóż nasze wiewiórki z kręgów MAGA uważają, że zabójstwo wschodzącej gwiazdy amerykańskiego konserwatyzmu Charliego Kirka nieprzypadkowo miało miejsce akurat teraz. Skutecznie odciąga bowiem uwagę Białego Domu od ćwiczeń Zapad oraz dronów i ogólnie sytuacji na wschodniej flance NATO. Znacie nas. Wierzymy tylko w teorie spiskowe.

Natomiast po wizycie prezydenta Karola Tadeusza w USA i po rozmowach z Dobrym Donaldem z Waszyngtonu zdarzył się cud. Otóż nasze wiewiórki zza Atlantyku twierdzą, że nagle bardzo wzrosły szanse na to, by wysokie kręgi administracji waszyngtońskiej przyjęły kolejnych gości z Polski. Ale nie byle jakich gości, tylko przedstawicieli dwóch mniejszych partii tworzących aktualnie koalicję rządzącą. Resztę możecie sobie dopowiedzieć.

Prawda jest bowiem taka, że w okolicach Nowogrodzkiej narasta przekonanie, że jednak niezbędne są wcześniejsze wybory albo nowy rząd bez PO jeszcze w obecnej konfiguracji. Inaczej z Polski zostanie kamieni kupa. Nikt jednak nie chce podejmować decyzji dopóty, dopóki nie odbędzie się nadchodzący kongres. Ale nie kongres PiS, tylko kongres Peezelu.

Jednocześnie mamy przejawy schizofrenii politycznej. No bo skoro miałby powstać już teraz nowy rząd, to przecież z Konfederacją. Wypadałoby więc z nią rozmawiać. Tymczasem nadal obowiązuje twarda linia „żadnych konszachtów". W związku z tym prowadzone jest na Nowogrodzkiej intensywne dochodzenie w sprawie tego, kto się nadmiernie bratał z ludźmi Konfederacji podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Podpowiadamy: nie trzeba dochodzenia, wystarczy posłuchać, co mówi Przemek Wipler. Rzuca na lewo i prawo nazwiskami, jakby chciał je spalić. W co oczywiście nie wierzymy.

Równie schizofrenicznie sytuacja wygląda po drugiej stronie, to znaczy w Konfederacji. Oficjalnie panuje tam linia „politycznym gangsterom z PiS nie podajemy ręki". Nieoficjalnie od rozmaitych ciekawych ludzi idą przecieki, że gdyby PiS był w potrzebie, to oni chętnie udostępnią swoje osoby, a zwłaszcza swoje szable w parlamencie. Teraz albo w nowej konfiguracji – dla dobra Polski zawsze trzeba być gotowym do działania.

Warszawa. Piękny dzień. Miejsce akcji: knajpiane zagłębie przy Poznańskiej. Nasze wiewiórki słyszą mimochodem rozmowę młodych. Ci zaś opowiadają sobie dowcip. Czemu Tusk naciska na koleje, które będą rozwijały prędkość 350 km/h? Bo wtedy z Centralnego będzie mógł zwiać do Niemiec w mniej niż dwie godziny. Zapisujemy i podajemy dalej, żeby podkreślić, że te wszystkie sondaże z miażdżącymi dla rządu wynikami nie biorą się znikąd.

Tymczasem w Krakowie trwają ciche przygotowania do referendum w sprawie odwołania niejakiego Miszalskiego. Co ciekawe, poprzedni włodarz miasta, Majchrowski, zwany profesorem, po cichu bierze w nich udział. Co prawda, poparł swojego czasu Miszalskiego, ale obecnie jest nim głęboko zniesmaczony. I zapewnia, że jak wniosek przejdzie, to będzie frekwencja – a ta jest kluczowa dla odwołania Miszalskiego. I wiecie, mamy przekonanie, że profesor z prawdą się nie mija.

Kolejna opowieść jest dwuczęściowa. Część drugą powinny czytać tylko osoby o mocnych nerwach. Ale najpierw część pierwsza. Uważacie, że prywatna służba zdrowia i wielkie pieniądze gwarantują fantastyczną opiekę zdrowotną? Jesteście w mylnym błędzie. Otóż na sygnale na pogotowie pewnej polskiej metropolii dowieziony został jeden z najbogatszych Polaków. Prywatne kliniki nie były sobie bowiem w stanie poradzić z jego problemem zdrowotnym i musiał udać się w stanie zagrażającym życiu do publicznej placówki. To już samo w sobie jest warte podania. Ale jest i część druga.

Uwaga, przechodzimy do hardkoru. Wspomniany bogacz problem miał następujący: od trzech dni nie mógł oddać moczu, co groziło już to zatruciem organizmu, już to pęknięciem pęcherza. Nie chciał się przyznać, co spowodowało ten stan. Ale w końcu sami medycy po pobraniu krwi odkryli, że w jego żyłach krąży taka ilość środków viagropodobnych wspieranych przez kokainę, że spowodowało to taki wzwód, że ciała jamiste zablokowały moczowód. Darujemy państwu opis, jak rozwiązano ten problem, choć poznaliśmy szczegóły tego zabiegu. Ale wolelibyśmy o tym zapomnieć.

Nie bardzo chce nam się w naszej elitarnej rubryce pisać o Mariannie Schreiber, ale – skoro sama pakuje się w politykę – to musimy. Zapowiedziała bowiem, że jeszcze w tym roku powstanie jej „prawicowa organizacja", która „bardzo dużo namiesza do wyborów za dwa lata". Co prawda, nie mamy szczegółów, ale mamy nazwę, gdyż zawsze można na nas liczyć. PPBCM – Polska Partia Byłych Chłopaków Marianny. Będzie to ugrupowanie łączące to, co najlepsze w różnych prawicowych partiach.

Mamy jednak dla Marianny złą wiadomość: nie ma ona dwóch lat na rozkręcenie swej inicjatywy, bo wybory będą grubo wcześniej. Skąd to wiemy? Z plakatów. W województwie mazowieckim niestrudzony marszałek Struzik z peezelu zaczął kampanię wizerunkową na temat tego, jak wiele wozów strażackich kupuje. Ludowcy wiedzą, co robią. Takie akcje to niechybne znaki szybko nadchodzących wyborów. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

PŁYWANIE W KISIELU

Przykrywka zwana Radziem

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Ministrowi spraw zagranicznych RP nie wystarczył rozgłos, który zdobył jego filmik selfik z trawnika Białego Domu, gdzie przechwalał się, że tam wszedł na złość prezydentowi i głównej partii opozycyjnej. Daje do pieca dalej. Gdy premier Węgier, Viktor Orbán, złożył Polsce zwyczajowe wyrazy solidarności po ataku dronów i zapewnił, że wspiera wysiłki prezydenta Trumpa na rzecz pokoju, Radzio go publicznie pouczył (tak właśnie, naszym ministrem nie jest Radosław ani nawet Radek, tylko właśnie Radzio; kto czuje chęć polemizować, niech wprzódy przejrzy jego media społecznościowe), że ma wspierać wysiłek wojenny Ukrainy i Unię Europejską. Abstrahując od słuszności bądź niesłuszności jednej i drugiej opcji, ton pouczania przez ministra premiera innego kraju, i to z protekcjonalnym zwracaniem się per „Wiktorze", jest w takiej sytuacji wysoce nie na miejscu. Ale medialna klaka PO oczywiście takich rzeczy nie zauważa, przywalenie nielubianemu Orbánowi jest dla niej zawsze na propsie.

Radzio nie może odpuścić żadnej okazji, żeby nie popisać się jakąś złośliwą aluzją czy innym głupkowatym konceptem. Drony spadają na kraj? Superokazja, żeby pokazać wszystkim, jaki jestem „zajefajny". No bo jestem, nie?

Mam podejrzenie, że to pajacowanie odbywa się z zachętą Donalda Tuska. Premier zrobił Radzia swoim wice i, jak sądzę, podbija mu bębenka: zobacz, jesteś na fali, jesteś bardzo popularny, będziesz moim następcą, pokaż im, jak potrafisz przywalić. Czemu tak uważam? Bo Radzio pięknie przykrywa afronty, które czynią Tuskowi europejscy przywódcy (ostatnio – powitanie u Macrona) i weksluje je na siebie. Przy okazji potencjalny „następca" daje się lepiej poznać wyborcom – a tak się składa, że należy do ludzi, którzy przy bliższym poznaniu bardzo tracą. Tym samym perspektywa przewrotu pałacowego w KO i rządzącej koalicji bardzo się oddala, z braku alternatywnego przywódcy. Cóż może Tuska bardziej cieszyć? ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

O cwana naiwności!

W „Ostatnim etapie", wywiadzie rzece na temat „schyłku rządów PiS-u, wojny i dyplomacji w Warszawie", Łukasz Jasina, rzecznik MSZ za rządu Mateusza Morawieckiego, wystawia tyleż surową, co celną ocenę metody politycznej radykalnej centroprawicy.

„Problemem podejścia PiS-u do wielu spraw było jednak to, że próbowano udawać, że wielu spraw nie ma […], gdy się pojawiały, to dopiero próbowano je rozwiązywać […], polityka PiS-u i rządu PiS-u w niemal wszystkich sprawach była po prostu eventowa". Po chwili jednak Jasina dodaje: „Polskie elity nie rozumiały wielu procesów z lat 90. związanych z upadkiem komunizmu i nie tylko. Nie zrozumiały choćby dziedzictwa PGR-ów. W ogóle polskie elity mało co rozumieją".

Wydawałoby się, że to analiza bardzo niekonsekwentna, bo albo coś jest cwane, albo naiwne, albo premedytowane, albo nieświadome. Mnie jednak analiza Jasiny przekonuje. Owo cwaniactwo bowiem, tak celnie opisane przez Herberta i Miłosza jako głęboki cień naszej narodowej tożsamości – w polityce bywa najczęściej naiwne. Naiwne w swoim cynizmie. A skoro Herbert i Miłosz w czymś się zgadzali – to chyba warto się nad tym zastanowić.

Postkomuniści w demokracji widzieli tylko propagandę, bo wychowanie w szkole kolaboracji spowodowało u nich niedorozwój zmysłu państwa. Ale niestety, również wielu polityków bez postkomunistycznych obciążeń uznało, że skoro mamy wolność, to istotą polityki jest jedynie wyborcza gra. Zazdrościli innym („normalnym") państwom – zupełnie nieświadomi tego, że ta „normalność" wynika najczęściej z zachowania wielu instytucji i tradycji, które powstały, zanim ta „gra" się w ogóle rozpoczęła. Demokracja to partycypacja w suwerenności państwa, sama wyborcza gra jednak państwa nie ustanawia. Ostatnie dziesiątki lat potwierdziły tę prostą prawdę aż nadto. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Zew krwi

Massimo D'Alema (72 lata) był pierwszym i jedynym komunistycznym premierem Włoch (1998–2000). Komunizm pokochał całym sercem już w dzieciństwie, a w wieku lat 14 zapisał się do włoskich „Pionierów". Później, jako szef komunistycznej młodzieżówki, obłapiał się w Moskwie z Breżniewem. W wieku 46 lat został premierem. Progresiści prezentowali go narodowi w mediach jako arcyreformatora i byłego bolszewika, który doznał iluminacji i tak jak oni przepoczwarzył się w postępowego socjalistę. Dziwnym trafem do cudownego przemienienia doszło, gdy zapadł się Związek Sowiecki. D'Alema zwany „Wąsaczem" stracił wpływy, gdy lewicowy premier Matteo Renzi rozpoczął, jak to określił, akcję „złomowania" partyjnych repów.

Jak wiecie, w Pekinie, zapewne pod hasłem „Mordercy i dyktatorzy wszystkich krajów łączcie się", niedawno odbyła się wzruszająca impreza upamiętniająca zwycięstwo Chin nad Japonią 80 lat temu. Świętować wiktorię wraz z Xi Jinpingiem przybyli m.in. Putin, Kim Dzong Un, Łukaszenka, prezydenci Kuby, Iranu, Azerbejdżanu, premier Pakistanu, a na okrasę szef junty wojskowej w Mjanmie. Naturalnie nie mogło zabraknąć słowackiego premiera Ficy.

Tych wszystkich dzierżymordów Xi w mundurku Mao uraczył imponującą paradą wojskową. Krokiem paradnym przeszły tysiące żołnierzy, jechały czołgi, wozy pancerne i śmiercionośne rakiety. Słowem: prężenie muskułów i kolejne wyzwanie rzucone Zachodowi.

Włochów ogarnęło zdumienie, gdy na trybunie w świetnie dobranym towarzystwie politycznych gangsterów dostrzegli swego byłego premiera D'Alemę. „Był wśród swoich!" – kpi prawica. Lewicę oblał rumieniec wstydu i milczy, a szajbolewica bije brawo. „Wąsacz" tłumaczył potem, że przecież Chiny, zwyciężając Japonię, miały decydujący wpływ na upadek nazifaszyzmu. Dodał, że przybył do Pekinu, bo właśnie z Chin płynie przesłanie pokoju. W wywiadzie dla chińskiej telewizji powiedział, że Chiny są krajem pacyfistycznym, a Zachód jest nieobiektywny. „Wąsacz powinien tam zostać" – kwituje dziennik „Libero". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl ada7bc27a8

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TO JEST AJKONIK!

Włączy czasami człowiek TVP w likwidacji i przypomina sobie, jak mocno można być odklejonym. Tym razem w roli głównej wokalista Ralph Kamiński, w „gościach" u Mariusza Szczygła. Od razu zaznaczmy – nikt nie wyśmiewa problemów psychicznych czy związanych z nimi ataków paniki, ale otoczkę „fajnowyjątkowości", w jakiej muzyk mówi sam o sobie. Rzecz dotyczy dalekich podróży. – Ja mam z jednej strony taką wielką ochotę eksplorowania świata, że tu by polecieć, tu do Japonii, tu gdzieś tam. Ale mam takie coś – a może lepiej siedzieć u mnie, w Warszawie, w Śródmieściu, i taki święty spokój – wyznał. – Ja np., żeby polecieć pierwszy raz do Nowego Jorku trzy lata temu, to ja musiałem pół roku na terapii pracować nad tym, bo mi się wydawało, jakbym na Księżyc jechał do tego Nowego Jorku. A już byłem trzy razy. Terapia przed podróżą? Tak – opowiada Kamiński. – Bo dla mnie lecieć za ocean to było niemożliwe. Ja też np. jestem taki, że jak gdzieś raz pojadę, tak było z Londynem, to już w kółko tam będę jeździł, bo już tam byłem, jest bezpiecznie. Ale to jest takie, że ja muszę walkę ze sobą [odbyć – przyp. red.], żeby się nie bać eksplorować – wskazał. Dziennikarz przyznał z kolei, że czuł się szczęśliwy, gdy pierwszy raz zatrzymał taksówkę w Nowym Jorku. – Pojechałem taksówką w Nowym Jorku. Ja, chłopak ze Złotoryi – wspomniał Szczygieł. – Ja też musiałem sobie zamówić żółtą taksówkę przez aplikację i wow, to było takie ikoniczne – odparł Ralph Kamiński. Dac emejzing.

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

KOŃ TANECZNY

W Polsacie wystartowała 30. edycja „Tańca z gwiazdami". Trzeci odcinek show ma być specjalny – z okazji 20-lecia formatu w polskiej telewizji. Z tej okazji pojawić ma się ok. 200 gwiazd, które przewinęły się przez „TzG". W tym gronie nie znajdzie się jednak tancerz Marcin Hakiel, który udziałowi w programie zawdzięcza swoją karierę (tam też poznał byłą już żonę Kasię Cichopek) – potwierdziła już jego ukochana podczas jednego z ostatnich Q&A zorganizowanych na swoim profilu. Nowa ukochana Hakiela, Dominika Serowska, udostępniła na swoim Instagramie fragment artykułu, w którym informator Plejady ujawnił rzekome powody, dla których Hakiel miał odmówić udziału w jubileuszowym odcinku. „Była przewidziana dla niego rola w tanecznym show, co zaprzecza wcześniejszym spekulacjom, aby brak tancerza w kolejnych edycjach miał związek z zatrudnieniem Katarzyny Cichopek w stacji. Hakiel otrzymał zaproszenie i zrezygnował, a w mediach obwinia byłą żonę. To krzywdzące i niemęskie. Co edycję większość tancerzy się zmienia. Przykładem może być Jacek Jeschke z żoną Hanną czy Jan Kliment również z żoną Lenką" – czytamy. Serowska nie kryła oburzenia. „Żenada!!! Nie wiem, z czyjej niekompetentnej osoby padły te słowa, ale możemy się tylko domyślać. Po pierwsze sami sobie zaprzeczacie, najpierw sami powiedzieliście Marcinowi, że nie będzie w kolejnych edycjach przez byłą żonę, a teraz jak trzeba podbić oglądalność, to zapraszacie go do odcinka, czyli jako pełnoprawny uczestnik edycji, któremu trzeba płacić. (Bo zaproszenie do tego odcinka oczywiście za darmochę). Byłby to problem, żeby występował, bo – jak mówiliście – »byłyby niezręczności spotkania się byłych małżonków« (lol), ale ich spotkanie w tym samym odcinku, do którego mogłoby dojść, nie jest już problemem" – oburza się w sieci. Stwierdziła, że Polsat „postawił na złego konia" i teraz „ratuje sytuację". „Zapraszajcie sobie swoje polsatowskie gwiazdy. Trzeba było dokonywać mądrych wyborów" – podsumowała Serowska.

MRÓZ SIĘ ODWINĄŁ

Aktor Piotr Mróz oprócz dorobku serialowego jest znany z tego, że nie wstydzi się wiary. Niedawno został zaproszony do podcastu „Rachunek sumienia". To program Onetu, prowadzony przez Magdalenę Rigamonti i Tomasza Sekielskiego. Gorąco zrobiło się, gdy rozmowa zeszła na temat zaręczyn. Mróz zarzucił Rigamonti, że „łapie go za słówka". Stwierdził też, że jest wyśmiewany przez prowadzących za to, że oświadczył się swojej narzeczonej w Licheniu (narzeczonej, z którą się rozstał). – Nie, mam trochę wrażenie, że... Nie obraźcie się, Państwo, ja się zastanawiałem, po co mnie tu zaprosiliście, ale mam wrażenie, że zaprosiliście mnie tu po to, żeby troszeczkę mi jakby ubliżać i troszeczkę wyśmiewać [...], nie chcieć poznać mojego stanowiska, tylko w jakikolwiek sposób próbować... To są moje wartości. Ja się dziwię, że Pani przyznaje się, że jest Pani osobą wierzącą, a w jakiś sposób walczy Pani z Bogiem [...]. Podejrzewałem, że rozmowa będzie w tym kierunku, że będę łapany za słówka – ocenił. – No wie Pani co, jeżeli dla mnie zaręczyny, przepraszam, że wejdę w słowo, dla mnie zaręczyny to był bardzo ważny moment. OK, media podłapały, że to było w Licheniu. A teraz Pani się ze mnie śmieje, że może kolejny raz w Świętej Lipce... – dodał. Onet wyśmiewa wiarę? Stare, znaliśmy. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż obserwujemy czasem sport i rozgrywki międzynarodowe z pobudek czysto socjologicznych – usiłujemy zrozumieć prymitywne instynkty stadne, które za nimi stoją – to pozostawaliśmy na bieżąco również z Eurobasketem, a więc mistrzostwami Europy w koszykówce.

Koszykówka to dość dziwny sport, niestety wykluczający osoby nieuposażone wzrostowo, a w dodatku bardzo kontaktowy i na nasze oko – brutalny. Poczuliśmy się jednak mile zaskoczeni, gdy zobaczyliśmy, iż w reprezentacji tego kraju występuje zawodnik pigmentalnie uposażony, czego np. nie obserwujemy w ewidentnie bardziej konserwatywnej piłce nożnej.

Zadowolił nas też fakt, iż reprezentacja tego kraju odpadła w ćwierćfinale, tym samym nie eskalując nadmiernie nastrojów narodowościowych i fashystoffskich. Co prawda, chwilę wcześniej eskalowała nastroje antysemickie, wygrywając z reprezentacją Izraela, ale sami już nie wiemy, jak z tym antysemityzmem teraz jest, i chwilowo nie mamy pojęcia, co o tym myśleć – musimy uważniej prześledzić, co nam mówią o tym autorytety.

No ale wracając do głównego wątku (uwielbiamy dygresje, dzięki nim sprawiamy wrażenie, jakbyśmy się znali na większej liczbie rzeczy xD), całe to pozytywne wrażenie zostało skutecznie zniszczone jednym zdaniem, które wypowiedział przed kamerami kapitan reprezentacji tego kraju Mateusz Ponitka, który ogłosił, iż jest dumny z bycia Polakiem.

No cóż – większy przypał było trudno sobie wyobrazić. Co gorsza, poszło to w świat. I teraz jaką my będziemy mieć opinię? Że sport buduje w tym kraju postawy patriotyczne – znów siara na całą Europę.

Widzieliście nową stylówkę Rafała Trzaskowskiego? OSOM!!! Serio, jesteśmy pod wielkim wrażeniem, jak świetnie Rafał wygląda z wąsami. Widać ten luz, a odświeżenie stylówki sprawia, iż Rafał wygląda teraz jak klasyczny 30-letni warszawiak w drodze na spotkanie z przyjaciółmi nad Wisłą (czy gdzie tam się w Warszawie spotykacie, chyba już nie na zbawixie?).

Jest to też niesamowicie celny, ironiczny strzał wprost w kosmaty pysk polskiego konserwatyzmu. Wiecie, z kim się do tej pory najbardziej kojarzyły wąsy? No proste, że z takim typowym januszem z podkarpacia. A tu proszę – Rafał przejmuje ten negatywny dotąd kulturowy symbol tak, iż pisowcy w te pędy pognają do niemieckiego Rossmanna po przybory do golenia.

Bardzo nam się podoba koncept walki z januszerią za pomocą jej własnej broni. Teraz tylko czekać, aż dla beki w Warszawie powstanie strefa transportu tylko dla starych diesli, Rafał zacznie chodzić do urzędu w gumofilcach, a cała Warszawa niebawem zacznie uczestniczyć w roratach.

To tak genialne w swojej prostocie, że aż nam głupio, iż na to sami nie wpadliśmy. Przecież jak Nowy z Tarnowa zobaczy nas za te dwa–trzy tygodnie, jak przyjdziemy z zapuszczonym pięknym wąsem, to na pewno zgoli swojego xD. Szykuje nam się kolejne małe zwycięstwo nad fashysmem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Damy radę

Władek, a może by tak słoikiem z ogórkami spróbować?
Znaczy, że jak, Adam? Drona słoikiem z ogórkami?

No tak. Nie pamiętasz, jak jakaś babcia na Ukrainie tak strąciła ruski samolot? Skoro ona dała radę samolot, to my drony chyba też damy radę.
Ale ten słoik to z czego będziemy wystrzeliwać?

No, nie wiem... Może by Ukraińców zapytać? Oni muszą mieć know-how.

Z bazooki jakiejś chyba czy coś... Nie znam się.
A to musi być słoik z ogórkami akurat?

Nie wiem...
Bo ja mam w piwnicy zapas, ale z pomidorami. Weź do Kijowa zadzwoń, czy to się nadaje. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Klęska Nawrockiego, popis skuteczności rządu, Tuska i Sikorskiego. Rząd rządzi, pałac bruździ".

TOMASZ LIS, *publicysta, na X o polskiej polityce zagranicznej*

eprasa.pl ada7bc27a8

FOT. NIRANJAN SHRESTHA/AP/EAST NEWS

BUNT POKOLENIA Z.
NEPAL SPŁYNĄŁ KRWIĄ

Co najmniej 51 osób zginęło, a ponad 1360 zostało rannych w starciach, do których doszło w ubiegłym tygodniu w Katmandu oraz innych miastach Nepalu.

Wśród ofiar śmiertelnych co najmniej 21 osób to protestujący zabici przez policję. Krwawe antyrządowe protesty wybuchły w ubiegły poniedziałek, gdy rząd tego himalajskiego kraju ogłosił decyzję o dezaktywowaniu 26 platform społecznościowych oraz komunikatorów.

W kolejnych dniach rozwścieczeni przedstawiciele pokolenia Z pod hasłem walki z korupcją i bezrobociem podpalili będący głównym budynkiem administracyjnym rządu pałac Singha Durbar (na zdjęciu), pałac prezydencki, siedzibę parlamentu oraz zaatakowali domy nepalskich polityków. Młodzi podłożyli ogień m.in. w rezydencji jednego z byłych premierów. W wyniku odniesionych w pożarze obrażeń w szpitalu zmarła żona polityka. Bunt młodych doprowadził do dymisji premiera. Khadga Prasad Sharma Oli musiał nie tylko pożegnać się z teką szefa rządu, lecz także uciekać z kraju na pokładzie śmigłowca (jego dom również spalili demonstranci). Ostatecznie władze wycofały się z decyzji o zablokowaniu dostępu do mediów społecznościowych.

„Rząd Nepalu upadł, młodzież wygrała protest. Przyszłość należy do nas" – ogłosił na Instagramie 38-letni lider protestujących Sudan Gurung. Porządku na ulicach strzeże armia. Krwawe starcia sprawiły jednak, że pod koniec tygodnia na głównym lotnisku w Katmandu zgromadziły się setki osób, próbujących wydostać się z kraju. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", wciąż nie wiadomo było, kto stanie na czele nowego rządu. ***(jap)*** © ℗

eprasa@adarbs27a8

Drony nad Polską

Łukasz Warzecha

Jak do każdego zdarzenia, wkraczającego w sferę bezpieczeństwa państwa, a już szczególnie w warunkach toczącej się obok wojny, tak do ubiegłotygodniowego nalotu dronów powinniśmy podchodzić z wyczuciem, na chłodno i nie wyciągając pochopnych wniosków. Tak jednak się tym razem niestety nie stało

Z frakcją szabelkistów, rwących się, aby wyruszyć na Rosję i „Putina wdeptać w ziemię" (by zacytować marszałka Sejmu), jest jak z organizmami mającymi zdolności przeczekania bardzo niekorzystnych warunków: na jakiś czas przyjmują formę przetrwalnikową, gdy sytuacja im nie sprzyja, a gdy dostaną pożywienie i warunki staną się korzystne – wybudzają się i zasypują nas swoimi bojowymi okrzykami. To właśnie wydarzyło się w środę w ubiegłym tygodniu.

Jak do każdego zdarzenia, wkraczającego w sferę bezpieczeństwa państwa, a już szczególnie w warunkach toczącej się obok wojny, tak do tego powinniśmy podchodzić z wyczuciem, na chłodno i nie wyciągając pochopnych wniosków. Tak jednak się tym razem niestety nie stało. Dla szabelkistowskiej frakcji reprezentatywna była wypowiedź na konferencji prasowej wicepremiera i ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego z Nowej Lewicy, który stwierdził: „Ukraina nie wciąga Polski do wojny. Ci, którzy twierdzą inaczej, kłamią. To Rosja odpowiada za ten atak". Wicepremier określił, na kogo spada odpowiedzialność, zanim jeszcze polskie służby zdołały odnaleźć na ziemi wszystkie drony. Trudno nazwać takie

eprasa.pl ada7bc27a8

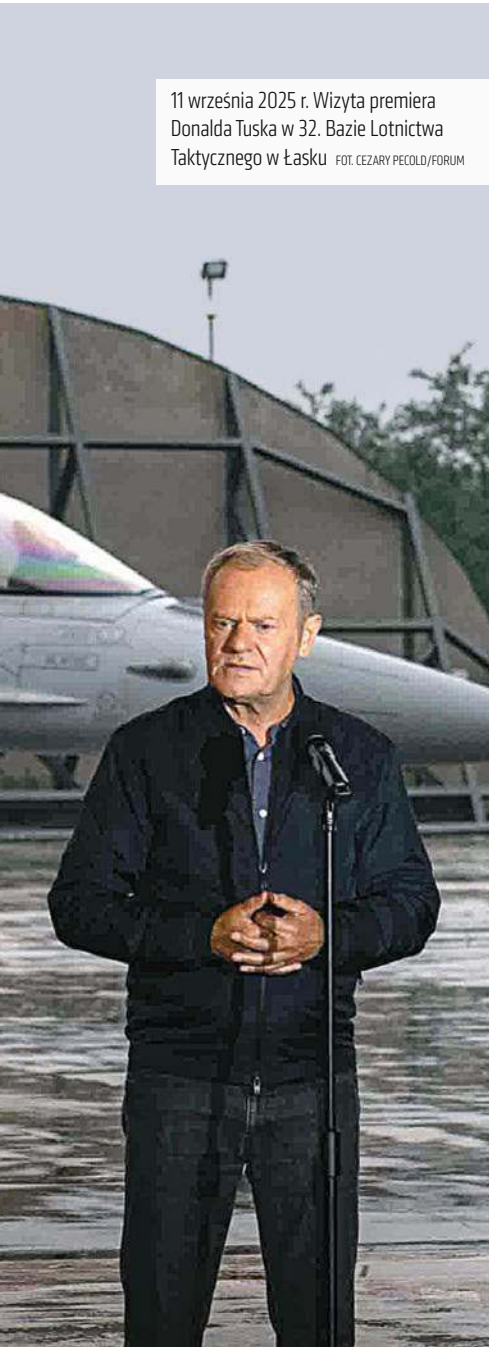

11 września 2025 r. Wizyta premiera Donalda Tuska w 32. Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku FOT. CEZARY PECOLD/FORUM

zachowanie inaczej niż niepoważnym – i jest to najdelikatniejsze określenie.

Mogliśmy poczuć się także jak w „Dniu świstaka", słysząc, że jest „kłamstwem", jakoby Ukraina wciągała Polskę do wojny. Krzysztof Gawkowski wygłosił te słowa już po tym, jak ukraiński minister spraw zagranicznych Andrij Sybiha oznajmił, że nalot dronów powinien przekonać Polskę do objęcia ochroną ukraińskiej przestrzeni powietrznej – to postulat od dawna wysuwany przez Kijów – co właśnie oznaczałoby włączenie się Polski do wojny.

Wobec tych dwóch – mówiąc najdelikatniej: pochopnych – stwierdzeń użycie słowa „atak" można już miłosiernie pominąć.

EMOCJE WZIĘŁY GÓRĘ

Zwłaszcza że Gawkowski nie był tutaj sam. Zadziwiającego języka użyło w swoim komunikacie prasowym, opublikowanym m.in. na portalu X, Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych (kryjące się pod uroczym akronimem DORSZ). Mogliśmy zatem przeczytać: „W wyniku dzisiejszego ataku Federacji Rosyjskiej na terytorium Ukrainy doszło do bezprecedensowego w skali naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez obiekty typu dron. Jest to akt agresji [podkr. Ł.W.], który stworzył realne zagrożenie dla bezpieczeństwa naszych obywateli".

Sformułowania „akt agresji" mógłby użyć zwykły Kowalski, ewentualnie mniej rozgarnięty dziennikarz czy publicysta. Jednak osoba odpowiadająca za publiczną komunikację dowództwa Wojska Polskiego nie może w takiej sytuacji stosować pojęcia, które ma swoje konkretne prawnomiędzynarodowe skutki, nie mówiąc już o wzbudzaniu paniki wśród obywateli. „Akt agresji" w prawie międzynarodowym publicznym swoją najnowszą definicję znajduje w znowelizowanej w roku 2010 wersji statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego. Mówi on (art. 8 bis), że aktem agresji jest „użycie przez państwo sił zbrojnych przeciwko suwerenności, terytorialnej integralności lub politycznej niepodległości innego państwa lub w jakikolwiek inny sposób niezgodny z Kartą Narodów Zjednoczonych". Jako żywo nie jest rolą DORSZ stwierdzanie, czy znalezienie się dronów (w większości tzw. wabików, czyli maszyn nieuzbrojonych) w polskiej przestrzeni powietrznej jest aktem agresji. Wojskowi mogą jedynie w najbardziej neutralny sposób komunikować wydarzenia. Rolą polityków jest podejmowanie decyzji o ich interpretacji. Zdaje się zatem, że kogoś w dziale prasowym DORSZ poniosły emocje lub wykonywał ryzykowne polityczne polecenie.

W tym samym tonie wypowiadało się niestety wielu prominentnych polityków. Jarosław Kaczyński grzmiał: „Mamy dzisiaj szczególny dzień. Mamy do czynienia z atakiem na Polskę. To już nie jest przypadek w żadnym wypadku, to nie jest coś, co można by przypisać jakimś nieprzewidzianym działaniom, to jest po prostu atak!". Można się tylko cieszyć, że pozycja prezesa PiS jest dziś już na tyle słaba, że jego słowa są w większości lekceważone lub odbierane jako emocjonalna tyrada starszego pana. W przeciwnym wypadku mogłyby mieć ogromne, szkodliwe konsekwencje.

JAK PORADZIŁA SOBIE POLSKA?

Jeśli nie był to akt agresji czy atak, to z czym w takim razie mieliśmy do czynienia? Na razie możemy użyć możliwie neutralnych określeń: masowe naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej lub bardzo poważny incydent zagrażający bezpieczeństwu państwa. Nie ma bowiem wątpliwości, że takie zagrożenie miało miejsce – wszak jedna z maszyn (najpewniej tych zestrzelonych) spadła na dom mieszkalny.

Jak poradziła sobie z tym Polska? Ocena komentatorów głównego nurtu była jednoznaczna: bardzo dobrze. Jednak przyglądając się tematowi uważniej, można mieć ambiwalentne odczucia.

Faktycznie – chyba po raz pierwszy w historii naruszeń polskiej przestrzeni powietrznej ze wschodu mieliśmy do czynienia z natychmiastowym i w jakiejś mierze skutecznym działaniem. Do akcji ruszyły siły powietrzne, pomogli nam europejscy sojusznicy, byliśmy w stanie śledzić trasę lotu dronów, a kilka z nich – najpewniej trzy lub cztery – zostały zestrzelone. Jednocześnie najważniejsi urzędnicy polskiego państwa, na co dzień trwający w klinczu i zwarciu, a więc przede wszystkim prezydent i premier, zaprezentowali modelową wręcz współpracę. Można mieć wątpliwości, czy był to nagły przebłysk poczucia odpowiedzialności za państwo czy też raczej obie strony doszły na chłodno do wniosku, że nie będzie im się opłacało kontynuowanie wewnętrznej wojny wobec zewnętrznego zagrożenia, bo oberwą za to po głowie od swoich wyborców. Jakakolwiek by była motywacja, trudno mieć tutaj zastrzeżenia do Karola Nawrockiego i Donalda Tuska.

Problem w tym, że konkretny rezultat działań – mniej niż 25 proc. maszyn

eprasa.pl ada7bc27a8

zneutralizowanych za pomocą potężnych zaangażowanych środków – obnażył ewidentną dziurę w naszym systemie obrony: brak systemu antydronowego. Żeby było śmieszniej – a może bardziej ponuro – to stwierdzenie oczywistego i bezspornego faktu zostało przez część polityków i komentatorów uznane za sprzyjanie „rosyjskiej narracji".

Wyjątkowo niezręcznie w tym kontekście wypadł powielany na X setki razy przez użytkowników komunikat prywatnej polskiej firmy Advanced Protection Systems: „Spółka Advanced Protection Systems S.A. informuje, że posiada sprawdzoną technologię oraz gotowe rozwiązania w zakresie wykrywania, śledzenia i neutralizacji zagrożeń powietrznych, w tym dronów typu Shahed, które minionej nocy naruszyły przestrzeń powietrzną Rzeczypospolitej Polskiej.

Nasze systemy zostały potwierdzone w praktycznym użyciu na terytorium Ukrainy, gdzie systemowo i skutecznie zwalczają istniejące tam zagrożenia dronowe, w tym FPV, Shahed oraz Geran. Rozwiązania APS są przy tym kosztowo efektywne i charakteryzują się wysoką precyzją zarówno w zakresie wykrywania, jak i neutralizacji bezzałogowych statków powietrznych.

Spółka jest gotowa do szybkiego dostarczenia i wdrożenia swoich rozwiązań w celu wzmocnienia obrony polskich granic oraz zapewnienia bezpieczeństwa przestrzeni powietrznej RP".

Pod komunikatem pojawiły się setki komentarzy, głównie wyrażających zdziwienie lub oburzenie, że polska firma, dysponująca technologią pozwalającą ochraniać polskie niebo przed dronami, musi ogłaszać się w mediach społecznościowych, aby zyskać zainteresowanie Ministerstwa Obrony Narodowej. Szefostwo APS to ludzie z dużym doświadczeniem naukowym i biznesowym. Prezes i założyciel, Maciej Klemm, zdobył doktorat z elektroniki na prestiżowym Eidgenössische Technische Hochschule w Zurychu, pracował przez większość kariery w Wielkiej Brytanii, komercjalizował projekty naukowe. Drugi z założycieli, Piotr Piesiewicz, jest doktorem telekomunikacji – tytuł obronił na politechnice w Brunszwiku, zajmował się pilotowaniem międzynarodowych projektów naukowych. Nie mówimy zatem o przypadkowych osobach czy firmie krzaku. O ile dziennikarze wykonają swoje zadanie, o tyle MON powinien zostać w najbliższym czasie przyciśnięty w kwestii zarówno braku ochrony antydronowej, jak i reakcji na propozycje współpracy w tej sprawie ze strony prywatnego polskiego sektora wysokich technologii. Zwłaszcza że niedawno pojawiły się informacje, że Polska zamierza kupić system Skyranger produkcji niemieckiej. Trzeba przyznać, że wyglądałoby to fatalnie, gdybyśmy posiłkowali się niegotową wciąż niemiecką technologią, mając u siebie produkt gotowy do zastosowania.

Rosyjskie drony wleciały na terytorium Polski

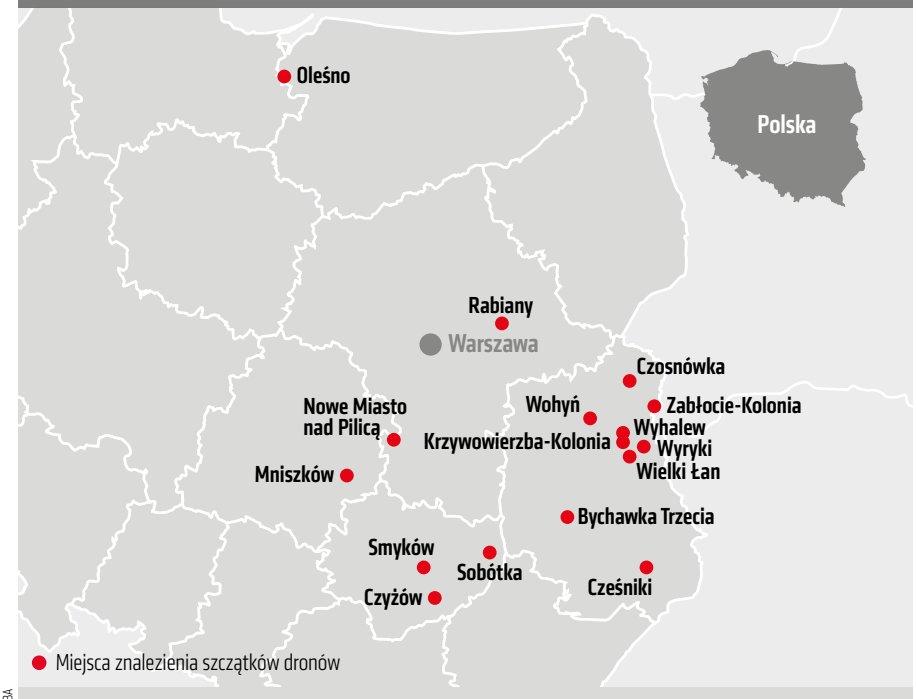

RYS. OBA

Szczątki dronów odnaleziono w pięciu województwach

OSTRZEŻENIE Z BIAŁORUSI

Tu pojawia się kolejny ważny, a trochę i zagadkowy wątek zdarzeń z ubiegłego tygodnia. W ciągu dnia w środę oświadczenie w sprawie incydentu przedstawił gen. Paweł Murawiejka, szef Sztabu Generalnego Białorusi. Murawiejka oznajmił: „Podczas nocnej wzajemnej wymiany uderzeń bezzałogowych statków powietrznych między Federacją Rosyjską a Ukrainą siły i środki obrony powietrznej Republiki Białorusi stale śledziły bezzałogowe statki powietrzne, które straciły kurs w wyniku działania systemów walki elektronicznej obu stron. Część utraconych dronów została zniszczona przez siły obrony powietrznej naszego kraju nad terytorium republiki. Za pośrednictwem istniejących kanałów interakcji, od godziny 23:00 9 września do godziny 4:00 10 września, nasze siły i środki dyżurne wymieniały informacje o sytuacji powietrznej i radarowej z siłami i środkami dyżurnymi Polski i Republiki Litewskiej. W ten sposób powiadamiano je o zbliżaniu się nieznanych statków powietrznych do terytorium ich krajów. Umożliwiło to stronie polskiej szybką reakcję na działania dronów poprzez podniesienie sił dyżurnych w powietrze. Dla sprawiedliwości należy zauważyć, że strona polska poinformowała również białoruskie dyżurne załogi bojowe o zbliżaniu się niezidentyfikowanych statków powietrznych z terytorium Ukrainy do granicy Republiki Białorusi. Wymiana informacji o sytuacji powietrznej jest ważnym elementem zapewnienia bezpieczeństwa w całym regionie i przy-

eprasa.pl ada7bc27a8

czynia się do ustanowienia środków budowy zaufania oraz wzmocnienia bezpieczeństwa. Republika Białorusi będzie nadal realizować swoje zobowiązania w ramach wymiany informacji o sytuacji powietrznej z Rzecząpospolitą Polską i krajami bałtyckimi".

Oświadczenie początkowo wywołało niedowierzanie i zaskoczenie. W optyce polskich władz Białoruś jest bowiem przedstawiana jako państwo Polsce wrogie, co zresztą nie jest zaskakujące, gdy weźmie się pod uwagę kwestię migrantów szturmujących polską granicę od strony białoruskiej. Jednak wkrótce informacje o przekazywaniu informacji przez Mińsk potwierdził DORSZ, a potem szef Sztabu Generalnego gen. Wiesław Kukuła. Generał powiedział w TVN24, że „Białorusini nas uprzedzali, że przez ich przestrzeń powietrzną w naszym kierunku zmierzają drony. Nie odrzuciliśmy tej współpracy". Dodał też, że było to zaskakujące, zważywszy na sytuację na granicy lądowej.

O ile można, a nawet trzeba z zasady wątpić w białoruskie informacje dotyczące domniemanego zgubienia kursu przez drony – nie jesteśmy w stanie tego zweryfikować – o tyle informacja o efektywnej wymianie informacji nie ulega już wątpliwości. W takim razie pojawiają się dwa pytania. Po pierwsze: Czy Polska byłaby w stanie działać równie efektywnie, gdyby nie współpraca z Mińskiem, szczęśliwie nieodrzucona przez nasze wojsko? Po drugie: Skoro nawet gen. Kukuła stwierdza, że informacje uzyskane od strony białoruskiej były w jakiejś mierze zaskakujące, to czy nie należy tego – przy całym sceptycyzmie i z ostrożnością – odczytywać jako swego rodzaju sygnału, wysyłanego już drugi raz w ostatnim czasie przez Białoruś w stronę Polski? Po raz pierwszy z taką sytuacją mieliśmy do czynienia w czerwcu, gdy Mińsk zasygnalizował chęć podjęcia z Polską rozmów. Jak dowiedzieliśmy się pod koniec sierpnia, ta oferta została przez MSZ odrzucona z infantylnym uzasadnieniem, że Białoruś współdziała z Rosją w ataku na Ukrainę. A przecież właśnie dlatego warto było choćby spróbować wybadać jej stanowisko!

Jest wreszcie i trzecie pytanie: wiemy, że w namierzeniu dronów pomogła nam Białoruś. Ale czy dostaliśmy w tej kwestii jakąkolwiek pomoc od Ukrainy? Natomiast – przynajmniej teoretycznie – białoruska wersja o maszynach zbaczających z kursu z powodu zastosowania wobec nich środków walki radioelektronicznej nie musi być fałszywa, przynajmniej co do części dronów. Wiemy bowiem, że Ukraina od co najmniej miesięcy dysponuje sprzętem umożliwiającym zmylenie bezzałogowców i skierowanie ich ku Białorusi lub na powrót do Rosji. W grudniu ubiegłego roku odsetek dronów „zagubionych" podczas jednego z ataków na Ukrainę, czyli skutecznie zmylonych, sięgał już 45 proc. Rósł też odsetek dronów przekierowywanych na Białoruś lub do Rosji. Wiadomo, że białoruskie lotnictwo było pod koniec 2024 r. podrywane w celu przechwycenia takich (rosyjskich) bezzałogowców.

JAKA ROLA UKRAINY?

To z kolei kieruje nas ku najważniejszemu pytaniu – o ukraińską rolę w tym incydencie. O ile nie jest prawdopodobne, aby – jak twierdzą niektórzy – masowa inwazja dronów na Polskę była dziełem Ukraińców, o tyle nie ulega wątpliwości, że próbowali oni tę sytuację wykorzystać przynajmniej do wywarcia na nasz kraj politycznego i psychologicznego nacisku w celu skłonienia nas do czynnego zaangażowania się po ich stronie. Jednak powstają i inne pytania. Czy Ukraińcy ostrzegali nas przed nadlatującymi dronami, tak jak zrobił to Mińsk? Czy wiedzieli, że ich środki walki elektronicznej mogą ewentualnie spowodować przekierowanie dronów w stronę Polski? Może celowo zachowując się biernie, a może nawet podejmując jakieś działania, przyczynili się do wtargnięcia dronów w naszą przestrzeń powietrzną?

Nawet jeśli Donald Trump grozi dzisiaj Rosji kolejnymi sankcjami, to nie po to, żeby zaspokoić głód moralnego zwycięstwa polskich szabelkistów, ale żeby osiągnąć od początku pożądany przez siebie efekt: dogadanie się z Moskwą co do warunków pokoju

Rosjanie w oświadczeniu stwierdzili, że stosowane przez nich drony mają maksymalny zasięg 700 km, co oznacza, że nie miałyby szans dotrzeć do niektórych miejsc, gdzie znalazły się odnalezione w Polsce maszyny. Oczywiście nie można słów Rosjan traktować jako wiarygodnych – jednak do ich stwierdzenia powinny się odnieść polskie służby po dokonaniu analizy odnalezionych dronów. Zbyt dużo było od lutego 2022 r. sytuacji niejasnych i wątpliwych. Nie ma żadnego powodu, aby przyjmować na wiarę i jako dogmat twierdzenia którejkolwiek ze stron – czy to rosyjskiej, czy białoruskiej, czy wreszcie również ukraińskiej. A im bardziej władza naciska, żeby traktować enuncjacje Kijowa jako z zasady prawdziwe, tym większy budzi to opór u części obywateli.

Zwłaszcza że do incydentu doszło po wecie prezydenta Nawrockiego do ustawy przedłużającej pomoc dla Ukraińców w Polsce, a zarazem w dniu, gdy w Sejmie odbyło się głosowanie nad rządowym projektem nowelizacji tej samej ustawy. Za odrzuceniem w całości były tylko klub Konfederacji i koło Korony Grzegorza Brauna. Z PiS w ten sposób zagłosował jedynie poseł Dariusz Matecki – cała reszta głosujących wraz z Jarosławem Kaczyńskim koniunkturalnie wstrzymała się od głosu.

AMOK SZABELKISTÓW

Wróćmy na koniec do szabelkistów. Ci wpadli w amok. Niezależnie od aktywności trolli zaroiło się od wpisów prawdziwych użytkowników, nawołujących przede wszystkim do cenzurowania debaty i rzucających na prawo i lewo oskarżeniami o onucyzm. Całkiem jakbyśmy cofnęli się o trzy lata.

Tymczasem trzeba pamiętać, że nawet jeśli Donald Trump grozi dzisiaj Rosji kolejnymi sankcjami, to nie po to, żeby zaspokoić głód moralnego zwycięstwa polskich szabelkistów, ale żeby osiągnąć od początku pożądany przez siebie efekt: dogadanie się z Moskwą co do warunków pokoju. Rosja tego na razie nie chce, ale ten stan nie musi trwać wiecznie. Z czym wówczas zostaniemy, poza potrząsaniem szabelką?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Piotr Semka

Prezydent i powiew wojny

Prezydent Karol Nawrocki po zrobieniu dobrego pierwszego wrażenia staje przed realnym egzaminem z pełnienia swojej funkcji

Prezydent Karol Nawrocki w 31. Bazie Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu-Krzesinach

FOT. MAREK LAPIS/FORUM

O ile pierwszy miesiąc po zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego przypominał po części miesiąc miodowy, a po części okazję do zaprezentowania się nowej głowy państwa Polakom, o tyle wtargnięcie na terytorium Polski sporej liczby rosyjskich dronów zmieniło nagle atmosferę. Rosyjska prowokacja przypomniała o brutalnych realiach politycznych w naszej części Europy.

Dla Karola Nawrockiego akcja rosyjska musiała mieć dodatkową znaczącą wymowę. Nietrudno jest zinterpretować nalot dronów jako swoistą odpowiedź Kremla na deklaracje Donalda Trumpa o utrzymaniu kontyngentu żołnierzy amerykańskich nad Wisłą z dodatkową opcją zwiększenia ich liczby. Na razie prezydent ten egzamin zdaje dość dobrze. Wypowiada się na temat nowej kryzysowej sytuacji w sposób spokojny, ale zdecydowany. „Wszystkie te testy zdaliśmy. I test polityczny, i test partnerski, w ramach NATO, wykonując od nocy swoje zadania dyplomatyczne, a przede wszystkim test wojskowy naszej gotowości do tego, aby na rosyjską prowokację zareagować" – stwierdził, odwiedzając 11 września 31. Bazę Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu-Krzesinach.

Najważniejszym jak dotąd elementem polityki głowy państwa była rozmowa telefoniczna z Donaldem Trumpem. Niestety, wiemy o niej niezwykle mało. Prezydent opowiedział o niej na platformie X w sposób bardzo zdawkowy: „Dzisiejsze rozmowy potwierdziły jedność sojuszniczą". Dodał też, że „rozmowa wpisuje się w szereg konsultacji prowadzonych przeze mnie z naszymi sojusznikami".

Czego dotyczyć mogła rozmowa z Trumpem? Jedynym medium, które zdobyło się na takie dywagacje, był portal amerykańskiej stacji CNN. Według jej dziennikarzy rozmowa mogła dotyczyć szybkiego sprowadzenia do Polski rakiet Patriot. Jedyna tego typu bateria umiejscowiona koło strategicznego polskiego lotniska wojskowego w Jesionce koło Rzeszowa i należąca do RFN miała być do końca tego roku wycofana z powrotem do Niemiec. Przyspieszenie sprowadzenia amerykańskich patriotów do Polski jest więc w tej sytuacji kluczowe. Według CNN drugim możliwym tematem rozmowy było przyspieszenie sprowadzenia do Polski nowych samolotów bojowych F-35. Amerykańskie maszyny miały trafić planowo do Polski w styczniu 2026 r., ale wobec ewidentnie wrogich zachowań Rosji Polska jest w naturalny sposób zainteresowana skróceniem tego terminu. I wreszcie trzecim tematem rozmowy miały być nowe sankcje amerykańskie wobec Rosji. Jako ewentualną zapowiedź nowych restrykcji przyjmowano też wpis Trumpa na platformie X: „O co chodzi z Rosją naruszającą przestrzeń powietrzną Polski za pomocą dronów? Zaczyna się!".

Dość szczęśliwie tuż przed akcją Rosji Amerykanie poinformowali o wysłaniu do Polski partii 200 wozów bojowych Bradley, które mają służyć oddziałom amerykańskim stacjonującym na terenie Polski. Niewykluczone, że dalsze szczegóły amerykańskiej szybkiej pomocy poznamy w najbliższym czasie. Bardzo pozytywne wrażenie zrobić mogły na Polakach dość twarde deklaracje sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego, obietnice szybkiej pomocy wojskowej dla Polski ze strony ministra obrony Wielkiej Brytanii Johna Healeya i solidarnościowy gest rządu Czech w postaci wysłania do Polski trzech śmigłowców bojowych wraz z wojskowym personelem. Jeśli dodamy do tego wezwanie Litwy do wywierania presji na Rosję, to bilans pierwszych reakcji naszych partnerów z NATO nie jest rozczarowujący.

GORZKA ANALIZA

Nie zmienia to jednak tego, że zarówno Polska, jak i kraje NATO wydawały się zaskoczone skalą i demonstracyjnością akcji rosyjskiej. Sam fakt, że holenderskie sa-

eprasa.pl ada7bc27a8

moloty patrolujące w ramach wewnętrznych ustaleń NATO polską strefę graniczną zestrzeliły tylko trzy z 19 dronów, pokazuje, jak bardzo dziurawa jest nasza ochrona polskiej przestrzeni powietrznej. Czy po dwóch poprzednich przypadkach pojawienia się rosyjskich dronów nad Polską nie można było wcześniej rozpocząć publicznej dyskusji nad optymalnym zabezpieczeniem antydronowym polskiej granicy?

Na tym tle dość dobitnie wybrzmiała wypowiedź gen. Bena Hodgesa, byłego dowódcy sił lądowych w Europie. Wskazał, że działanie Rosji to następstwo wcześniejszej biernej postawy Zachodu wobec pierwszych prowokacji. „Tak właśnie wygląda nieudana próba odstraszenia" – stwierdził Hodges. „Fakt, że Rosjanie to zrobili, wiedząc, że w Polsce stacjonuje 10 tys. amerykańskich żołnierzy, pokazuje, że nie mają żadnego szacunku dla Stanów Zjednoczonych ani Europy. I są całkiem pewni, że nikt z nas nie podejmie żadnych znaczących działań". Amerykański generał zwrócił też uwagę, że siły NATO użyte do neutralizacji tego zagrożenia ujawniły brak przygotowania na tego typu sytuacje.

Przestrzegł też, że brak szybkiej i zdecydowanej odpowiedzi na akcję Rosjan teraz zachęcać będzie Kreml do dalszych prowokacji. „Zestrzelenie jedynie czterech bezzałogowców nie jest dobrym komunikatem wysłanym do Putina". W jego opinii kraje NATO są bardzo opóźnione w ćwiczeniach, które pomagają w sposób integralny zintegrować wszystkie systemy wczesnego ostrzegania przed dronami.

Słowa gen. Hodgesa potwierdzili swoimi krytycznymi uwagami tacy analitycy strategiczni jak Jacek Bartosiak czy Marek Budzisz z ośrodka Strategy & Future. Przestrzegli oni przed przesadną dumą z akcji, w której holenderskie myśliwce strąciły zdecydowaną mniejszość dronów lecących w kierunku Polski. Marek Budzisz ostrzega, że Rosja może kontynuować akcję wysyłki dronów, a zwalczanie ich za pomocą drogich w użytkowaniu i nie tak licznych myśliwców NATO-wskich przypominać będzie strzelanie z armaty do wróbli. I zachęca, by jak najszybciej Polska zapoznała się z ukraińskimi systemami obrony i lokalizacji rosyjskich dronów. Prezydent Zełenski już zadeklarował gotowość pomocy Polsce na tym polu.

W pierwszej turze międzynarodowych wizyt prezydenta Karola Nawrockiego znalazły się Waszyngton, Rzym, Wilno i Helsinki z zapowiedzią kolejnych wypraw dyplomatycznych do Berlina i Paryża, ale na liście tej nie znalazł się Kijów. Oczywiście był to efekt pewnego ochłodzenia relacji polsko-ukraińskich, który charakteryzował ostatnie pół roku prezydentury Andrzeja Dudy. Potem strona ukraińska bardzo chłodno przyjęła weto prezydenta Nawrockiego w sprawie rządowej ustawy na temat zasad świadczeń dla obywateli ukraińskich na terenie Polski. Deklaracja prezydenta Zełenskiego, oferującego możliwość współpracy w sprawie tworzenia systemów obrony antydronowej, jest więc w tym momencie okazją do ocieplenia relacji. Prezydent musi się więc zastanowić, jak odnieść się do nowego projektu rządowego, który zaakceptował część zastrzeżeń prezydenta wobec zasad pomocy dla obywateli ukraińskich.

Nasi wschodni sąsiedzi są w tej chwili najlepszymi na świecie fachowcami od radzenia sobie z różnymi formami rosyjskiej agresji i rosyjskimi prowokacjami. A w polityce, tak jak w życiu, obowiązuje zasada: jeśli chcesz otrzymać pomoc, musisz sam wykazywać się gotowością do pomocy. Atak rosyjski przypomniał nam, że Rosja jest gotowa testować zdolność Polski do obrony, a jednocześnie uważnie sprawdzać skalę realnej reakcji (w sensie czynów, a nie jedynie deklaracji) na rosyjskie prowokacje.

Warto też zauważyć, że szef BBN, minister Sławomir Cenckiewicz, bardzo zdecydowanie odniósł się do pojawiających się w sieci sugestii, że atak dronów mógł być prowokacją Ukrainy w celu wciągnięcia Polski do wojny. Cenckiewicz jednoznacznie zaznaczył, że atak był dziełem Rosji.

Jak prezydent poprowadzi teraz swoją politykę wobec Kijowa? I jak odpowie na to w praktyce prezydent Zełenski? Potrzeba szybkiego zbudowania zapory antydronowej, która będzie stosunkowo tania i dostosowana do doświadczeń z rosyjskimi technikami ataku, staje się w obecnej sytuacji kwestią pierwszoplanową. A tu know-how znajduje się w gestii Ukrainy.

DRONOWY „POKÓJ BOŻY"

Pierwsze reakcje na polskich szczytach władzy po ataku rosyjskim mile zaskakiwały. Donald Tusk, przemawiając w Sejmie, podkreślał, że wystąpienie Polski do władz NATO o wdrożenie art. 4 paktu to wspólna decyzja prezydenta i rządu. Premier zadeklarował, że w tej chwili nie ma miejsca na jakiekolwiek tarcia między oboma głównymi ośrodkami władzy. Także reakcja większości liderów politycznych na atak rosyjski była zgodna i znamionowała klimat politycznej mobilizacji w chwili zewnętrznego zagrożenia.

Od tego standardu odstawała jedynie wypowiedź Grzegorza Brauna, który na platformie X pisał: „Kto pochopnie ulega ewidentnej prowokacji, sam staje się prowokatorem-podwykonawcą. Kto buńczucznie eskaluje napięcie, ten staje się wspólnikiem podżegaczy. Kto dziś ochoczo bije w tam-tamy wojenne, ten realizuje cudzy scenariusz – w którego zakończeniu Polska już nie występuje".

To swoiste votum separatum wobec konsensusu większości sceny politycznej, że mamy do czynienia z rosyjską agresją, jeszcze bardziej podkreśliło obecne zjednoczenie w tej kwestii ponad podziałami. W chwili, gdy piszę te słowa, nie doszło jeszcze do posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, które prezydent zarządził w związku z rosyjskim atakiem. Pytanie, jak długo tej swoisty „pokój Boży" wokół kwestii obronności będzie trwać. Kolejną kwestią jest to, czym konkretnym zakończy się pilna konsultacja liderów państw NATO, o które Polska wystąpiła na podstawie wspomnianego już art. 4 paktu. Prezydent Nawrocki po zrobieniu dobrego pierwszego wrażenia teraz będzie zdawał realny egzamin z pełnienia swojej funkcji. Na pewno pomoże mu w tym spory kapitał zaufania, który zyskał w ostatnim miesiącu od Polaków. Ale jednocześnie też będzie rozliczany z zachowania Stanów Zjednoczonych pod przywództwem Donalda Trumpa.

Na swoje szczęście, jak się zdaje, polski prezydent trafił na moment rozczarowania Waszyngtonu brakiem odpowiedzi Putina na gesty wykonane podczas szczytu na Alasce. A Polacy muszą powoli przyzwyczajać się do faktu, że graniczymy z państwem, które nie wyzbyło się agresywnych zachowań. Dla społeczeństwa przyzwyczajonego do ostatnich ponad 30 lat pokoju i przewidywalności może być to niełatwa próba. A na horyzoncie być może powrót do dyskusji o powrocie powszechnej służby wojskowej. Prezydent nie będzie mógł narzekać na nudę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Rafał A. Ziemkiewicz

Wojna złudzeń

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Historycznym zadaniem Konfederacji jest zagospodarowanie, po zjedzeniu Szymona Hołowni, „normalsów" rozczarowanych PO, tak jak niegdyś PO zagospodarowała wyborców SLD. Natomiast PiS powinien przeprowadzić rachunek sumienia w zakresie błędów, które popełnił podczas ośmiu lat swoich rządów

Niewczesne żale, potępieńcze swary – trudno nie użyć tych mickiewiczowskich określeń, komentując wojenkę (i oby pozostała ona wojenką, a nie przerodziła się w prawdziwą wojnę) pomiędzy PiS a Konfederacją. Można odnieść wrażenie, że przynajmniej część liderów obu partii wypiera ze świadomości oczywisty fakt, że naprawa Polski, której jedni i drudzy gromko się domagają, dokonana może być tylko wspólnym wysiłkiem i zgodną współpracą obu partii z prezydentem. Są więc one po prostu skazane na przyszłą koalicję, czy się to liderom uśmiecha czy nie, i kwestią otwartą jest jedynie wyważenie w tej koalicji proporcji wzajemnych wpływów. Jeśli zgody miałoby zabraknąć, oznaczałoby to przedłożenie przez kogoś własnych osobistych lub partyjnych interesów ponad dobro kraju, a do czegoś podobnego dopuścić po prostu nie wolno.

Oczywiście w tym momencie, gdy od wyborów dzielą nas być może nawet prawie dwa lata (choć osobiście spodziewam się ich znacznie szybciej), partie muszą zaznaczać swą odmienność. Rywalizacja, nawet ostra, jest zrozumiała i potrzebna wyborcom – ale musi to być rywalizacja merytoryczna, nie wzajemne dyskredytowanie się i jadowite obelgi czy insynuacje, prowokujące do równie ostrych albo jeszcze ostrzejszych ripost. Łatwo przekroczyć w ten sposób granicę, poza którą przyszła współpraca stanie się dla obu stron trudna, a dla wyborców wręcz niestrawna, jak niestrawny był przed prawie 20 laty powrót PiS i Samoobrony do koalicji po tym, jak ich liderzy zbluzgali się nawzajem publicznie od „chamów" i „warchołów".

PRZYCZYNA WZAJEMNEJ NAPASTLIWOŚCI

Niestety, polscy politycy wydają się dziś zatruci wieloletnią wojną polsko-polską i nakręcaną przez nią agresją, wszechobecną w mediach i przestrzeni publicznej. Ponieważ obracają się głównie w habitacie mediów – zarówno tradycyjnych, jak i społecznościowych – nasiąkają przekonaniem, że polityka polega głównie, jeśli nie wyłącznie, na generowaniu i obsługiwaniu negatywnych emocji, wzajemnym obrażaniu się, poniżaniu i delegitymizowaniu. Wielu działaczy Konfederacji odruchowo kopiuje zachowania krytykowanego „duopolu", zamiast proponować inną jakość debaty.

Co ciekawe, zdają się oni nie zauważać, że taki model polityki, uprawianej od lat przez PO i rywalizujący z nią w wykluczającej retoryce PiS, spowodował kompletne zabetonowanie styku pomiędzy okładającymi się złośliwościami partiami: od wielu lat praktycznie nie ma pomiędzy nimi przepływu wyborców. W wypadku PO i PiS było to jak najbardziej zamierzone. W wypadku PiS i Konfederacji jest całkowicie sprzeczne z nieskrywanym zamiarem przejmowania wyborców „prawicowego" konkurenta.

Przyczyną wzajemnej napastliwości jest bowiem żywione przez każdą z partii złudzenie, że może się wybić na rządy samodzielne. Szczególnie mocna jest ta wiara w PiS, który wciąż pamięta wielki sukces roku 2019, którym było osiągnięcie większości rządowej, pomimo że wszystkie startujące partie przekroczyły próg wyborczy. Tę wiarę krzepić miałby przeciek o „zamówionym przez partię badaniu, które trafiło na biurko prezesa" i które pokazało, że powtórka tamtej sytuacji jest możliwa (Marcin Palade zapytał złośliwie, ale celnie, czy ten „wewnętrzny sondaż" to dzieło tych samych ekspertów, którzy we wrześniu roku 2023 zapewniali prezesa, że PiS jest na progu zdobycia samodzielnie większości konstytucyjnej). Na podstawie tego „wewnętrznego sondażu", którego nikt nie widział i nie zobaczy, prezes postawić miał swoim podwładnym zadanie: samodzielna większość i rządy bez żadnych koalicji. I sam dał przykład, szturchając przyszłego koalicjanta żądaniem złożenia deklaracji, że nigdy nie zawrze przymierza z nikim innym niż PiS.

Politycy PiS znaleźli wdzięcznego partnera do gry we wzajemne przyga-

eprasa.pl ada7bc27a8

dywanie sobie w upojonym niedawnym sukcesem kandydacie Konfederacji na prezydenta, Sławomirze Mentzenie. Padły różne epitety, które paść nie powinny, bo nie miały sensu. Bo żaden zwolennik Konfederacji nie przeniesie głosu na PiS dlatego, że PiS oskarżył Konfederatów o chęć rządzenia z Donaldem Tuskiem i żaden zwolennik PiS nie przeniesie głosu na Konfederację, bo ta mu powiedziała, że PiS to tak naprawdę wcale się niczym od Tuska nie różni. Cała wymiana złośliwości jest więc tylko masowaniem własnego ego sypiących zjadliwymi bon motami polityków, w stylu tweetów Radosława Sikorskiego.

Ale PiS i Konfederacja, przynajmniej w sporej części, zdają się tego nie rozumieć. Wydaje im się, że istnieje jakiś wielki wyborczy ląd, który waha się, którą prawicę poprzeć – tę Jarosława Kaczyńskiego czy tę Mentzena i Krzysztofa Bosaka. I że nawzajem się w jego oczach oskarżając, przeciągają go ku sobie.

Bzdura. W żadnych znanych mi badaniach nie widać znaczącego przepływu między Konfederacją a PiS. Pomimo uporczywego wpychania tych partii do jednego worka przez propagandę lewicowo-liberalną, wyliczającą sondaże „obóz demokratyczny tyle, a tyle, PiS z Konfederacją tyle", pomimo powszechnej świadomości faktu zaznaczonego na wstępie, iż trwała zmiana władzy wymagać będzie ich koalicji, wyborcy nie myślą etykietkami „prawicowe – lewicowe". Badania pokazują bezdyskusyjnie, że najwięcej wyborców wahało się między Mentzenem a Zandbergiem. Nie dzielą oni bowiem partii na „prawicowe" i „lewicowe", tylko na „stare" i „nowe". W Konfederacji, podobnie jak w Razem, widzą partię nową, tak jak w roku 2023 widzieli partię nową w Trzeciej Drodze, i nie przeszkadzało im, że ta „nowa" partia będzie rządzić razem ze „starą" PO, bo wyborcy na tyle już rozumieją demokratyczny mechanizm, że ówczesne zapowiedzi Konfederacji „nie wejdziemy w koalicję z nikim, uniemożliwimy powstanie jakiegokolwiek rządu i będziemy zrywać kolejne sejmy tak długo, aż dostaniemy samodzielną większość" uznali za głupotę i ukarali, mimo wcześniejszych deklaracji sondażowych, marginalnym wynikiem.

Moment polityczny przypomina przesilenie początku wieku, po aferze Rywina, gdy wygasał podział postkomunistyczny i Polacy powszechnie spodziewali się wspólnych rządów dwóch formacji – jak się to wtedy im jawiło – postsolidarnościowych. Jedni wybierali z tej dwójki komponent bardziej liberalny, PO, drudzy bardziej tradycjonalistyczny, PiS, ale 70–80 proc. Polaków i wtedy, i jeszcze długo potem, praktycznie do tragedii smoleńskiej, deklarowało w badaniach, że chcieliby rządów koalicji PiS-PO. Niestety, Donald Tusk wybrał drogę konfrontacji i narzucił ją stopniowo całemu krajowi.

PORZUCIĆ MRZONKI O SAMODZIELNEJ WIĘKSZOŚCI

W tej chwili wygasa podział PiS-PO i w tej sytuacji Konfederacja nie powinna starać się być „lepszym PiS", tylko tym, czym była dla wyborców w roku 2005 PO: partią nowoczesną, liberalną, ale patriotyczną i szanującą tradycję. Szarpanie się z PiS nic jej nie da, bo żelazny elektorat partii Kaczyńskiego (innego już PiS nie ma) jest elektoratem tożsamościowym. Łowisko dla Konfederacji jest gdzie indziej, jej historycznym zadaniem jest zagospodarowanie, po zjedzeniu Szymona Hołowni, „normalsów" rozczarowanych PO, tak jak PO zagospodarowała tych wyborców, którzy w latach 90. dwukrotnie wybrali na prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i dawali SLD wynik na pograniczu samodzielnej większości. Niech zepchnie PO do rezerwatu giertychowskich maniaków, tak jak kiedyś PO zepchnęła SLD do rezerwatu „partyjno-mundurowego". I niech ta poroniona formacja, podobnie, powoli sobie tam dogorywa. Uporczywe wypominanie PiS polityki covidowej i kapitulanctwa wobec Zielonego Ładu, przy jednoczesnym przemilczaniu tego, że, jakkolwiek by patrzeć patrzeć, ekipa Mateusza Morawieckiego wykazała się największą jak dotąd skutecznością w administrowaniu krajem i pilnowaniu budżetowego porządku oraz inwestycji państwa, w niczym tej perspektywy nie przybliża i z tej racji jest marnowaniem politycznej energii.

> **Im bardziej partie stanowiące naturalne zaplecze prezydenta Karola Nawrockiego się kłócą, tym bardziej wyrasta on ponad nie, na pozycję arbitra i trybuna ludowego**

Także „jazda" PiS na Konfederację nie ma żadnego sensu, bo ani Mentzen z Bosakiem nie podbierają znaczącego elektoratu Kaczyńskiemu (w większym stopniu czyni to Braun), ani PiS w obecnym kształcie nie ma zdolności pozyskiwania wyborców Konfederacji. PiS zresztą, powiedzmy sobie szczerze, nie ma w ogóle zdolności przyciągania nowych wyborców skądkolwiek. I to się nie zmieni tak długo, jak długo będzie upierał się, że nie popełnił w ciągu ośmiu lat swych rządów żadnych, ale to żadnych błędów, opowiadał macierewiczowskie bajki o tupolewie, który przez miesiąc latał z dwoma czekającymi na mgłę bombami na pokładzie, i co miesiąc szarpał się pod smoleńskim pomnikiem z nasyłaną przez Tuska polityczną żulią.

Im szybciej jedni i drudzy porzucą mrzonki o samodzielnej większości do rządzenia, im szybciej sobie uświadomią, że nawet gdyby, to taka samodzielna większość i tak nic im nie da – bo przełamać polską „ogólną niemożność wszystkiego" i zmienić „państwo z dykty" w państwo z prawdziwego zdarzenia będzie można, dopiero zgromadziwszy większość konstytucyjną – tym lepiej. Bo do takiej większości zabraknąć może tych „niepolitycznych", niewidocznych na co dzień wyborców, których wojenka wewnątrz „KonfedePiSu" zniesmaczy, pozbawi nadziei i zniechęci do pójścia na wybory.

Jest tu też wielkie zadanie dla prezydenta Karola Nawrockiego, który, im bardziej partie stanowiące jego naturalne zaplecze się kłócą, tym bardziej wyrasta ponad nie, na pozycję arbitra i trybuna ludowego, by w razie potrzeby postawił je do pionu i tą czy inną metodą, narzędziami polityki gabinetowej czy zorganizowaniem nacisku społecznego na partie zmusił do działania na rzecz realnej zmiany. Bo tego właśnie oczekują Polacy, a nie kolejnego obrotu personalnej karuzeli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Z Januszem Kowalskim, posłem Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Koniec miękkiej gry

FOT. FILIP NAUMENKO/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Prezydent Karol Nawrocki zdecydował o usunięciu ze swojego gabinetu flagi Unii Europejskiej. To sygnał, że miękka gra z Unią Europejską przynajmniej ze strony ośrodka prezydenckiego się skończyła?

JANUSZ KOWALSKI: Elity III RP, zaczadzone perspektywą robienia karier w Brukseli, zapomniały, że Polska jest po to w Unii, żeby realizować polskie interesy, a nie po to, aby w Polsce realizować unijne interesy. Taki sam gest powinien wykonać przyszły marszałek Sejmu z prawicy. Flaga UE powinna zniknąć z sali plenarnej Sejmu. Jesteśmy dumnym narodem. Uważam, że we wszystkich polskich urzędach powinny być wyłącznie biało-czerwone flagi.

Hasło „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy" brzmi dobrze, ale ze względu na pozycję ustrojową prezydent Nawrocki ma ograniczone możliwości wpływu na kurs polskiej polityki wobec Unii. Instrument w postaci weta jest niewystarczający?

Polska znajduje się w kluczowym momencie historii. Za dwa lata rozstrzygną się losy rozgrywki o nowy budżet Unii na lata 2028–2034. Wynik tej batalii zdecyduje o poziomie naszej suwerenności jako państwa członkowskiego w UE. Nowy budżet UE krojony jest pod dyktando Niemiec i wpisuje się w projekt Unii jako superpaństwa kosztem państw narodowych. Musimy odrzucić kurs na centralizację UE, instrument warunkowości, politykę migracyjną, Zielony Ład i ograniczyć samowładztwo TSUE.

Do tych wyzwań trzeba podejść na zimno, z profesjonalnie przygotowanym programem działania. W pierwszym wariancie rząd prawicy, po upadku rządu Tuska i przedterminowych wyborach, powinien zablokować niekorzystny dla Polski budżet, stawiając własne żądania, np. decentralizację UE, ograniczenie do minimum brukselskiej biurokracji. Jestem zwolennikiem likwidacji Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego oraz wzmocnienia Rady Europejskiej. Polska musi mieć swój pomysł na UE i o niego walczyć!

W wariancie drugim opozycyjna prawica musi zbudować z innym państwem sojusz, który zablokuje nowy unijny budżet do czasu utworzenia rządu prawicy w grudniu 2027 r. Widzę tu partnera np. we Francji.

Jak należy zdefiniować strategiczny cel negocjacyjny Polski?

Moja koncepcja jest w istocie powtórzeniem koncepcji „Weto albo śmierć" z 2020 r. To plan maksymalny, żadna korekta unijnego kursu. Unia Europejska upada na naszych oczach, dlatego potrzebne jest przywrócenie w UE zdrowego rozsądku. Musimy odzyskać tę część suwerenności, która została nam zabrana przez eurokratów. To jest możliwe, dlatego że Polska posiada kluczowy instrument w postaci weta do budżetu. Bez budżetu Unia nie będzie w stanie spłacać długu zaciągniętego w związku z mechanizmem KPO. Teraz spłacane są wyłącznie odsetki, ale od 2027 r. aż do 2058 r. konieczna będzie spłata kapitału programu „NextGenerationUE".

Notabene nikt w Polsce nie jest dziś w stanie powiedzieć, jaki jest koszt pieniądza w ramach KPO. To najdroższy kredyt w dziejach III RP. W pierwszych miesiącach nowy rząd prawicy musi uwolnić się od KPO, spłacając ten lichwiarski dług. Jeśli chodzi o cele negocjacyjne Polski,

eprasa.pl ada7bc27a8

to są one oczywiste. Musimy odwrócić skutki wszystkich niekorzystnych decyzji UE, które uderzyły nas w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Trzeba przywrócić zasadę finansowania Unii wyłącznie ze składek państw członkowskich. Żadnych podatków na rzecz UE traktowanych jako dochody własne. Musimy uwolnić się od zasady warunkowości i odrzucić politykę migracyjną i Zielony Ład.

To plan maksymalny. Wierzy pan, że PiS zdobędzie się na odwagę, żeby go wprowadzić w czyn? Przecież na większość unijnych polityk, które chce pan wyrzucić do kosza, zgodził się rząd Morawieckiego.

Rzeczy dobre dla Polski są z zasady trudne. Jednak jeśli idzie się do negocjacji z nastawieniem, że nasze cele są niemożliwe do wykonania i nikogo nie przekonamy, to przegramy każde negocjacje.

Powiedział pan, że w celu zablokowania nowego budżetu powinniśmy sprzymierzyć się z Francją? Niby dlaczego Francuzi mieliby „umierać za Polskę"?

Dlatego, że w pierwszej połowie 2027 r. we Francji odbędą się wybory prezydenckie. Jest szansa, że wygra je Marine Le Pen albo Jordan Bardella. Właśnie we Francuzach, których państwo upada w każdym tego słowa znaczeniu, mamy w mojej ocenie sojuszników do zmiany konstrukcji Unii Europejskiej. Wyobrażam sobie także tandem Nawrocki-Bardella zmieniający Unię Europejską w ciągu następnej dekady. Stary porządek w UE upada i to jest szansa na nowych liderów w Europie, takich jak właśnie prezydent Karol Nawrocki, który przebojem wdarł się do europejskiej i światowej polityki.

A co, jeśli we Francji znów wygra kandydat lewicowo-liberalnego mainstreamu?

Możemy liczyć na Węgry. Wierzę, że wiosną przyszłego roku wygra na Węgrzech Viktor Orbán. W 2027 r. czekają nas jeszcze wybory we Włoszech i w Hiszpanii. Choć z Włochami mamy protokół rozbieżności. Włosi chcą przyjęcia umowy UE-Mercosur i nie są gotowi na twardą grę wewnątrz UE. Różni nas też podejście do polityki migracyjnej czy Zielonego Ładu. Być może po tegorocznych wyborach w Czechach zyskamy partnera. Cel dla Polski: zablokować nowy budżet UE, uzgodnić kurs na zmiany w UE i wywrócić unijny stolik, przywracając w Europie zdrowy rozsądek.

Myślę, że jest pan niepoprawnym idealistą.

Nie jestem żadnym idealistą. To realna polityka. Bez polskiego weta nie ma nowego budżetu UE. Byłem przeciwnikiem Zielonego Ładu, „Fit for 55", warunkowości i KPO. Niestety dla Polski, we wszystkich prognozach sprzed pięciu lat nie pomyliłem się, stąd moja determinacja w stawianiu ambitnej agendy dla Polski na 2027 r.

Weto można ominąć, zamieniając je kwalifikowaną większością. W kręgach rządzących Unią taki trend zaznacza się coraz mocniej.

Trzeba byłoby zmienić traktaty. Na razie instrument weta obowiązuje i jest stosowany przez różne państwa. Musimy dysponować agendą negocjacyjną. Do tego konieczne będzie przygotowanie pakietu ustaw przez rząd prawicy. Tu kluczowa będzie rola prezydenta Nawrockiego. Prezydent już wpisuje się w tę agendę, choćby przez zawetowanie szkodliwej dla rolników ustawy o środkach ochrony roślin implementującej kolejne unijne obowiązki. Trzeba będzie pójść za ciosem, przygotować pakiet ustaw i jednostronnie wypowiedzieć szkodliwe dla Polski unijne polityki po wygranych wyborach. I bić się twardo o polską wizję w UE.

Twarda agenda wobec Unii wymaga twardych graczy. Twardym graczem na pewno nie są ani były premier Morawiecki, ani ludzie, którzy w czasie jego rządów odpowiadali za politykę europejską.

Nie skupiam się na nazwiskach, lecz na interesie Polski. Stawką tej gry jest przyszłość Polski. Wskutek narzucenia Polsce unijnych polityk mamy dziś zaorane górnictwo, przemysł energochłonny ledwie zipie. Rozwijanie bandyckiego podatku klimatycznego jest ekstremalnie niekorzystne dla gospodarki. Wypowiedzenie systemu EU ETS jest więc konieczne dla bezpieczeństwa Polski. To uwolni polską gospodarkę, sprawi, że ceny prądu spadną o 30–40 proc.

Prawo i Sprawiedliwość jest gotowe na „wywrócenie stolika" w Unii?

Nie ma innego wyjścia. Jeśli chcemy ocalić rolnictwo, przemysł, zachować zdolność produkcji energii elektrycznej na własnym terytorium, jeżeli chcemy mieć pieniądze na zbrojenia, to musimy to przeprowadzić. Kolejnym krokiem powinna być likwidacja subsydiów na OZE. Żadnych dotacji na wiatraki czy fotowoltaikę. To pozwoli zaoszczędzić dziesiątki miliardów złotych. Reasumując: warunkiem poparcia przez Polskę budżetu Unii, który nie może być dla Polski gorszy niż ten z 2020 r., musi być odejście od polityki migracyjnej, Zielonego Ładu, EU ETS. Polska musi się zbroić, a nie przepalać miliardy na bezsensowną transformację energetyczną.

Dlaczego PiS rozpoczyna wojenkę z Konfederacją, jeśli chcemy twardo postawić się Unii i powalczyć serio o polską suwerenność?

Skupiamy się na pozytywnej konkurencji na prawicy. Rywalizujemy na postulaty programowe. Wszystko po to, żeby profesjonalnie przygotować się jako PiS do rządzenia. Wierzę, że Prawo i Sprawiedliwość może mieć 40 proc. poparcia.

Musiałby pan zostać premierem, żeby to się udało...

Gwarantuję panu, że premierem nowego polskiego rządu będzie twardy i doświadczony polityk. Jesteśmy w tak trudnej sytuacji gospodarczej i geopolitycznej, że jakiekolwiek półśrodki na nic się zdadzą.

Kogo ma pan na myśli?

Nie skupiam się na personaliach, tylko na programie. Przedstawiam plan maksymalny na negocjacje w 2027 r. Strategię, która odpowiada oczekiwaniom 10 mln wyborców prezydenta Karola Nawrockiego i jest spójna z przedstawioną przez Jarosława Kaczyńskiego „Deklaracją Polską". W 2027 r. Unię czeka gigantyczny kryzys. Ten kryzys jest paradoksalnie dla Polski korzystny, gdyż otwiera Polsce drogę do frontalnej konfrontacji z Ursulą von der Leyen i eurokratami o wizję Europy. Musimy odzyskać Polskę dla Polaków.

Skoro tak, to może nadszedł czas, żeby ostatecznie opuścić Unię Europejską?

Jest oczywiste, że jeżeli do 2027 r. nie zdołamy zrealizować scenariusza, który uwolni nas od polityki godzącej w polskie bezpieczeństwo i styl życia, to postulat wyjścia Polski z Unii Europejskiej albo budowy nowej UE na gruzach starej stanie się najważniejszym postulatem polskiej polityki po 2027 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Poradnik łamania prawa

Instrukcja lewicowych pseudosamarytan zawiera oczywiście wskazówki dotyczące tego, jak skutecznie omijać polskie prawo, chociażby zasłaniając się tym, że dany aktywista ratował cudze „zdrowie lub życie", czyli „działał w stanie wyższej konieczności" FOT. ADOBE STOCK

Michał Murgrabia

Na lewicowym portalu o nazwie OKO.press znalazłem poradnik przygotowany dla osób, które planują ułatwiać nielegalnym imigrantom pobyt w Polsce. Czy samo w sobie nakłanianie do omijania polskiego prawa nie jest aby czasem złamaniem go?

W ostatnim czasie natrafiłem w sieci na dość niecodzienne znalezisko, które przykuło moją uwagę w sposób szczególny, i to w zasadzie z dwóch powodów. Jednym z nich była treść artykułu, który niejako wpadł mi w ręce, co wydaje się dość oczywiste i prozaiczne, choć to, o czym w nim pisano, było bez wątpienia bulwersujące. Drugim powodem było to, że – jak się zdaje – praktycznie wszystkim na prawej stronie umknął fakt publikacji tego tekstu. O czym mowa? Na lewicowym portalu o nazwie OKO.press znalazłem poradnik przygotowany dla osób, które planują ułatwiać nielegalnym imigrantom pobyt w Polsce. Nie jest to bynajmniej nadużycie z mojej strony. Tekst zatytułowano bowiem: „Jak legalnie pomóc osobom, które nielegalnie przekroczyły granicę? 15 pytań. Komentarz prof. Łętowskiej". Artykuł ten wyraźnie odnosi się do sytuacji, w której w razie „ewentualnych kłopotów z policją czy prokuraturą" instruuje się osoby zaangażowane w ową „pomoc", aby mówiły o swoich „prawdziwych motywacjach", czyli „chęci pomocy człowiekowi w potrzebie". Czy samo w sobie nakłanianie do omijania polskiego prawa nie jest aby czasem złamaniem go?

O jakie kłopoty „z policją czy prokuraturą" może chodzić? Odpowiedź dostajemy w tekście. Autorzy wymieniają bez ogródek wiele artykułów z Kodeksu karnego, wobec których trzeba mieć się na baczności, aby móc bez większych obaw włączyć się w opisywany proceder. O których przepisach jest mowa? Lewicowi aktywiści boją się jak diabeł święconej wody art. 264 § 3 k.k. mówiącego o „pomocnictwie w nielegalnym przekraczaniu granicy", a także art. 264a § 1. k.k., który zabrania „ułatwiania pobytu na terytorium RP wbrew przepisom". Także zielone światło tutaj jedynie może im zaszkodzić. O tym jednak opowiem więcej w dalszej części artykułu. Ustawowa kara za złamanie pierwszego z przepisów wynosi „od 6 miesięcy do lat 8" pozbawienia wolności. Za złamanie drugiego grozi kara „pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5", a ten, „kto w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej umożliwia lub ułatwia innej osobie pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej wbrew przepisom", takiej właśnie karze podlega.

NA GRANICY PRAWA

Instrukcja lewicowych pseudosamarytan zawiera oczywiście wskazówki dotyczące tego, jak skutecznie omijać polskie prawo, chociażby zasłaniając się tym, że dany aktywista ratował cudze „zdrowie lub życie", czyli „działał w stanie wyższej konieczności". Sugerują również, aby za zgodą imigrantów dokumentować (w postaci zdjęć i filmów) wszystko to, co mogłoby o takiej sytuacji świadczyć. Podawane są również przepisy, na podstawie których może chcieć działać prokuratura. Nie jest to więc zestaw rad przygotowany przez osoby zatroskane o czyjś los, lecz raczej dość sprawne narzędzie mające za zadanie skutecznie przeprowadzić pomiędzy przepisami polskiego prawa, krok po kroku, kogoś, kto działa z premedytacją, nie mając przy tym czystych zamiarów, i chce świadomie poruszać się na granicy prawa, nierzadko je faktycznie przy tym łamiąc.

Dlaczego tak twierdzę? Powód jest prosty. Instrukcja wygląda jak recepta wyłącznie na uzyskanie wiarygodnego alibi od strony prawnej.

Taki stan rzeczy zdaje się potwierdzać również to, że poradnik ma ponadto

eprasa.pl ada7bc27a8

na celu przygotowanie przyszłych podejrzanych na ewentualne konfrontacje z sądami, przed którymi być może będą toczyć się postępowania dotyczące aktywistów ułatwiających czy to nielegalne przekraczanie granicy RP, czy też udzielających takim osobom schronienia, a więc pobytu na terytorium Polski. Autorzy tekstu ubolewają także nad tym, że polskie organy ścigania mogą nie zrozumieć „szlachetnych" pobudek, którymi rzekomo mieliby się kierować przygraniczni aktywiści.

NOCLEG I DROGA NA ZACHÓD

Instrukcja zawiera 15 zagadnień wytypowanych przez redakcję. Przy omawianiu tego, jak omijać polskie prawo, pojawiają się wyraźne sugestie zarówno o tych rzeczach, których czynić bezwzględnie nie wolno, jak i o tych, które czynić można, ale wraz ze stosowną sugestią, żeby zachować przy tym podwyższoną ostrożność. Wśród takich „ostrożnych" porad znajdują się możliwości podwożenia nielegalnych imigrantów, którzy np. łapią tzw. stopa lub którym aktywiści wskazują drogę w lesie. Mało jednak prawdopodobne, że doszłoby do przypadkowego spotkania lewicowych aktywistów z nielegalnymi imigrantami w lesie tuż przy granicy. Choć być może aktywiści spadli właśnie w tamtym miejscu przypadkiem z chmurki.

Kolejne rozpatrywane zagadnienie jest równie szokujące: „Czy mogę dać takiej osobie nocleg? Przenocować ją w swoim domu lub na swojej działce w otwartej przestrzeni?". Według wytycznych wolno przenocować u siebie nielegalnego imigranta, o ile nie weźmie się za to zapłaty. Instrukcja kilkukrotnie przestrzega o nieprzyjmowaniu żadnych pieniędzy, ponieważ mogłoby to zostać zinterpretowane jako kierowanie się zamiarem osiągnięcia korzyści majątkowej z tego tytułu. Jak widać, aktywiści starają się być czujni, a przynajmniej pewnymi rzeczami starają się nie chwalić. Jeżeli faktycznie nie biorą za to pieniędzy, to wtedy odpada art. 33 § 2 k.k. mówiący, że „sąd może wymierzyć grzywnę także obok kary pozbawienia wolności […], jeżeli sprawca dopuścił się czynu w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub gdy korzyść majątkową osiągnął". Moim skromnym zdaniem

Artykuł opublikowany na portalu OKO.press FOT. OKO.PRESS

będzie to jednak „ułatwianie innej osobie pobytu na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej wbrew przepisom" bez względu na to, czy szły za tym pieniądze czy nie, ale może ja nie rozumiem języka polskiego, a pani Łętowska nosi lepsze okulary ode mnie i widzi więcej.

O ile dany osobnik nie przyzna się, że zapytany o drogę „rozmawiał o przedostaniu się na Zachód", o tyle również to ujdzie mu płazem. Może wówczas, według twórców poradnika, wskazać dalszy kierunek podróży nielegalsom, a nawet pokazać go na mapie, o ile oczywiście nie będzie dopytywał o finalny cel podróży. Trzeba przyznać, że ta instrukcja jest dość dokładna.

Na tym jednak nie koniec i choć nie będę przytaczał wszystkiego, to skupię się na jeszcze jednej kwestii. W poradniku omijania polskiego prawa, bo tak należałoby go zatytułować, a więc poradniku zachęcającym do popełniania przestępstwa, ostatnie pytanie wraz z padającą na nie odpowiedzią było, nie ukrywam, dość zaskakujące: „Czy zapalenie zielonego światła na ganku/werandzie jest karalne? Nie, dobór koloru oświetlenia jest wyłączną decyzją właściciela domu". W pierwszym momencie zabrzmiało to dla mnie tak, jak gdyby chodziło o przemycenie informacji o jakimś umówionym sygnale. Po szybkiej weryfikacji tego w wyszukiwarce okazuje się, że intuicja mnie nie zawiodła. Oto nagłówki, które znalazłem: „Wiadomo, co oznacza zielone światło przed domami na Podlasiu" (portal Natemat), „Domy przyjazne uchodźcom. Tu, gdzie się pali zielone światło, migranci mogą liczyć na pomoc" („Wyborcza"), „Zielone światło – tam uchodźcy mogą znaleźć pomoc. By nie tracili nadziei, żeby chcieli żyć" (ponownie OKO.press) itd.

Okazuje się, że to tajny sygnał umieszczany w domach, w których mieszkańcy czują większą więź z nielegalnymi imigrantami, a zatem z obcymi, niż z własnymi rodakami. To taki nowy typ kosmopolity. No bo jak nazwać kogoś, kto bardziej dba o przestępców nielegalnie wdzierających się do naszego kraju niż o porządek publiczny, bezpieczeństwo Polski czy też zdrowie i życie Polaków?

NIEPRZYPADKOWE MIEJSCE

Puentując. Artykuł, na który natrafiłem, wygląda na nieudolnie zamaskowany poradnik prawny przygotowany pod kątem udzielania pomocy nielegalnym imigrantom przez lewicowych aktywistów, którzy zostali w nim określeni jako „dobrzy ludzie, którzy chcieliby wesprzeć migrantów". Z pewnością są to ludzie, ale nie dobrzy i nieprzypadkowi, a raczej mamy tu do czynienia wręcz z osobnikami pokroju członków Grupy Granica.

Co więcej, artykuł sygnowany jest m.in. nazwiskiem założyciela i redaktora naczelnego Piotra Pacewicza (nie jest on jego jedynym autorem), który nie jest człowiekiem znikąd, a jego historia mówi nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć. Był on bowiem sekretarzem Bronisława Geremka w trakcie obrad Okrągłego Stołu, a także współzakładał „Gazetę Wyborczą" i przez wiele lat był jej wiceaczelnym. Nie dziwi więc, że instrukcja, jak obchodzić polskie prawo, znalazła się na tym portalu. Chociaż poradnik ten nie jest nowy (został opublikowany 13 listopada 2021 r.), to widnieje na stronie do dzisiaj, a biorąc pod uwagę narastający problem z masową imigracją, sprawia, że redakcja działa z premedytacją na szkodę i przeciwko bezpieczeństwu Polek i Polaków, ponosząc pełną odpowiedzialność za tych, którzy będą działać na podstawie ich przestępczej inspiracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Jak opiłować Kanał Zero

Radosław Wojtas

Kanał Zero dominuje na YouTube, stara się o koncesję telewizyjną, przygotowywany jest portal. Krzysztof Stanowski rozpycha się na rynku medialnym coraz bardziej. Co przysparza mu nie tylko przyjaciół. Ostatnio Dorota Wysocka-Schnepf zarzuciła mu, że zaatakował jej syna

Długo znosiłam łgarstwa i nagonkę na moją rodzinę. Szkoda czasu na hejterów i pozwy. Ale piętnowanie 14-latka?! Podłe. Mało wam dzieci zaszczutych wskutek polowania na ich rodziców? Spotykamy się w sądzie. Na początek Stanowski i Mazurek. I nie tylko oni. Cdn. – napisała w niedzielę 7 września na portalu X Dorota Wysocka-Schnepf. – My, dorośli, uodporniliśmy się na ataki. Ale cierpię, gdy mój synek drży, chce uciekać z Polski, boi się tu żyć. Patostreamerzy muszą za to przeprosić. I zapłacić. Niech zaboli. Choć strat moralnych to nie wyrówna. Ale może coś zrozumieją?".

Wyraźnie zaskoczony Krzysztof Stanowski odpowiedział: „Babo, jedyne, co napisałem albo powiedziałem o twoim synu, to że ma imię po dziadku (informacja z Wikipedii). Ja mu imienia nie dawałem, więc ewentualne pretensje możesz mieć do siebie".

Wideo, w którym Krzysztof Stanowski wspomniał o synu Doroty Wysockiej-Schnepf, pochodzi z maja i wówczas przeszło bez echa, nikt nie dopatrzył się hejtu wobec nastolatka. Chodzi o film zatytułowany „STANOWSKI: MILION ZŁOTYCH DLA MNIE OD TVP, ONET I SCHNEPF". A dokładniej o kilkusekundową wypowiedź: „Teścia się nie wybiera, to prawda, ale już imię dla syna po teściu się wybiera, to też prawda". Na przebitce pokazano wpis w Wikipedii z imionami dzieci państwa Schnepfów, a także tweet obecnej pracownicy TVP w likwidacji z 4 czerwca 2023 r., w którym opublikowała zdjęcie jej rodziny z marszu zorganizowanego przez PO.

Na zapowiedź spotkania w sądzie Stanowski odpowiedział w swoim stylu: „Czy to będzie sąd kapturowy?". Żart się zmaterializował, kapturowy sąd internetowy odbył się szybko. Do frontalnego ataku natychmiast ruszyli politycy, dziennikarze wspierający obóz obecnie rządzący Polską, ich sympatycy, a także liczne anonimowe konta na portalach społecznościowych (w takich wojenkach za „zwykłych Polaków" często robią fejkowe profile). Nie przytaczano słów Stanowskiego, nie wskazywano, na czym atak miał polegać. Szefowi Kanału Zero po prostu przylepiano etykietę dziecięcego boksera, który powinien zapaść się pod ziemię, któremu nie warto podawać ręki, a już na pewno nie wolno występować w jego mediach lub je finansować.

„Gdyby to było 15 lat temu, Krzysztofa Stanowskiego zjedliby w dwa dni. Zniszczyliby go i cały projekt. Dziś zostało im tylko udawane oburzenie i nieudolny brudny spin. Nie doceniają ludzi. Trzymają się na resztkach lodu, który topnieje szybciej niż ich wiarygodność. Przegrają" – ocenił na X Marcin Czapliński.

PANI DALEJ JEST NA DEBACIE

To, czy w całej aferze rzeczywiście chodzi o 14-latka, chyba najlepiej pokazuje rozłożenie akcentów w piśmie skierowanym do Krzysztofa Stanowskiego, od którego Dorota Wysocka-Schnepf domaga się 100 tys. zł zadośćuczynienia. W opublikowanym przez Stanowskiego uzasadnieniu roszczeń niewiele miejsca poświęcono „atakowi" na dziecko, za to wiele wypowiedziom założyciela Kanału Zero

eprasa.pl ada7bc27a8

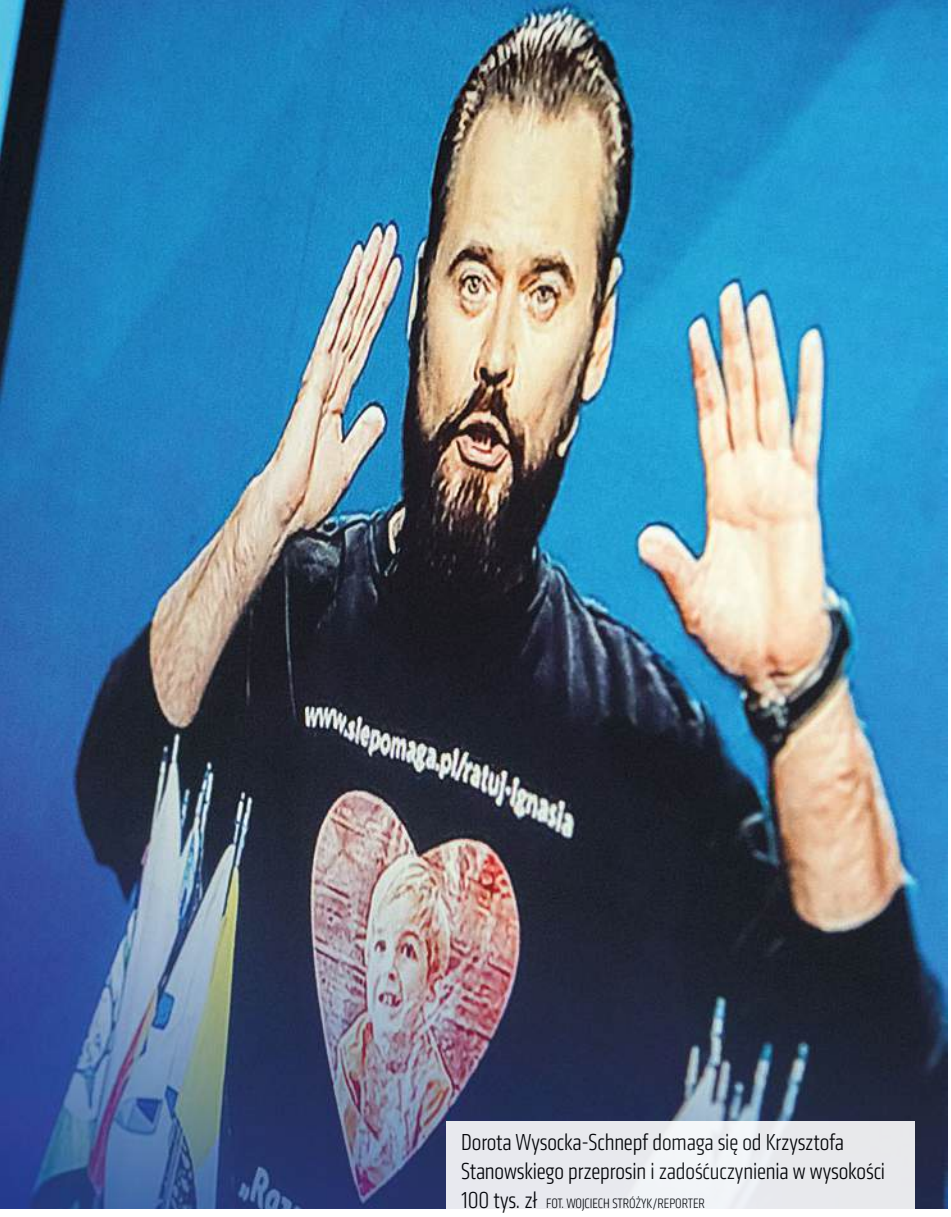

Dorota Wysocka-Schnepf domaga się od Krzysztofa Stanowskiego przeprosin i zadośćuczynienia w wysokości 100 tys. zł FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

o pracownicy TVP w likwidacji. Wymieniono m.in.: „arcykapłanka propagandy"; „twarz propagandy"; „Osobiście uważam, że każdy z kandydatów na prezydenta jest inteligentniejszy od pani Schnepf, więc każdy by sobie z nią poradził"; „Pani Schnepf nie może przeżyć, że została zgruzowana podczas debaty w TVP i że przez następne lata będzie chodziła z takim napisem na czole [...] z napisem »propagandystka«"; „Nie można się bać tak [...] tępej propagandystki"; „Nie wykluczam też, że jest po prostu wyjątkowo głupia"; „W historię Schnepfów nie będę się za bardzo zagłębiał, bo ktoś mógłby powiedzieć, że uprawiam tu prawdziwą obławę augustowską".

Sporą część pisma poświęcono Maksymilianowi Sznepfowi, teściowi Doroty Wysockiej-Schnepf, uczestnikowi obławy augustowskiej. „Określenia w rodzaju »kat« czy »zbrodniarz« nie mają charakteru opinii, lecz stanowią kategoryczne stwierdzenia o popełnieniu czynów zabronionych, co w odniesieniu do Maksymiliana Sznepfa jest całkowicie pozbawione podstaw" – napisano.

„Moim zdaniem tobie nie chodzi o dobro dziecka, tylko ty ciągle nie możesz wyleczyć traumy z kampanii prezydenckiej, z debaty prezydenckiej – mówił Stanowski w nagraniu odpowiedzi na zarzuty Wysockiej-Schnepf. – Mentalnie jesteś cały czas w tym studiu na Woronicza. Pamiętam, jak próbowałaś wtedy ripostę znaleźć przez dwie minuty. Ty jesteś tam cały czas i szukasz riposty. Uznałaś we wrześniu, że riposty nie masz, więc się zasłonisz dzieckiem". I dodawał: „To się naprawdę w głowie nie mieści, że wysmażyliście pismo, które w połowie stanowi obronę człowieka, który brał udział w największym powojennym mordzie na Polakach, podczepiliście pod to dziecko i metodą na syna chcecie wyłudzić ode mnie 100 tys. zł i od Roberta drugie 100 tys. zł".

STAŃCZYK MUSI ODEJŚĆ

Dlaczego atak za słowa wypowiedziane w maju nastąpił dopiero teraz? I czy – jak twierdzą niektórzy komentatorzy – ma to związek z wystąpieniem Kanału Zero do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji o koncesję telewizyjną? Sam Stanowski raczej dystansuje się od łączenia tych zdarzeń, ale faktem jest, że rosnąca pozycja Kanału Zero jest poważnym zagrożeniem dla tradycyjnych (zaliczając do nich już także portale internetowe) mediów i polityków. Szybkość tego wzrostu dobrze opisuje tweet Stanowskiego z 3 września: „To w ogóle jest chore. Dwa lata temu Kanał Zero nie istniał. Dwa lata temu Andrzej Duda był prezydentem, a generał Rajmund Andrzejczak dowodził polską armią. Dokładnie w tym momencie nagrywają obok siebie, w dwóch różnych studiach. Duma mnie rozpiera".

W dwa lata medium Stanowskiego dokonało rewolucji. Zajmujący się m.in. analizą danych w Internecie Res Futura Data House podsumował kanały podejmujące na YouTube tematy polityczne. „W sierpniu 2025 roku Kanał Zero odpowiadał za 79,3 proc. wszystkich wyświetleń materiałów informacyjno-publicystycznych opublikowanych na YouTube przez czołowych nadawców w Polsce" – podali. „Drugie miejsce zajęło Polsat News z wynikiem 11,5 proc., a kolejne pozycje przypadły Telewizji Republika (4,6 proc.) oraz TVP – zsumowane kanały TVP Info i TVP World – które uzyskały 3,6 proc.". Wynik TVN24 był na tyle mizerny, że zsumowano go z kanałem „Okiem Wiejskiego", co łącznie dało 1 proc. udziału.

„Co to oznacza? Dla odbiorcy zainteresowanego polityką oznacza to, że dominującą narrację na YouTube kształtuje dziś jeden nadawca Kanał Zero (w tym kluczowi Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek), który decyduje o tonie i rytmie debaty publicznej w sieci" – pisze Res Futura Data House. I dalej: „Dla polityków to zmiana reguł gry. Wpływ na opinię publiczną przesunął się z tradycyjnych

eprasa.pl ada7bc27a8

nadawców do jednego, komercyjnie zarządzanego kanału on-line. Obecność w Kanale Zero staje się praktycznie obowiązkowa, jeśli celem jest dotarcie do masowego, zaangażowanego wyborcy. Jednocześnie to właśnie Kanał Zero – a nie partie czy instytucje – kontroluje kontekst i sposób prezentacji polityków".

Taka miażdżąca przewaga to także sygnał dla algorytmów, które lubią treści dominujące i angażujące, promują je, nakręcając jeszcze bardziej oglądalność. I zysk. „Po raz piąty z rzędu mamy miesiąc z ponad 70 milionami wyświetleń (oczywiście miesiąca maja – 175 milionów – nie pobijemy bardzo, bardzo długo) – podsumowywał sierpień Stanowski. – W te wakacje (lipiec–sierpień) zrobiliśmy niespełna 150 milionów wyświetleń vs 80 milionów rok wcześniej (wzrost o 87,5 proc.). W filmie podsumowującym zeszły rok zastanawiałem się, czy jest możliwe wygenerowanie miliona złotych z samego YouTube'a (w sensie: reklamy adsense) w miesiąc. Po 8 miesiącach mamy z tego źródła 8,3 mln przychodu, co oznacza, że nie tylko się da zrobić milion, ale da się mieć średnio ponad milion miesięcznie. Rzecz jasna, poza YT mamy jeszcze naszych wspaniałych sponsorów (aktualnie chyba 27)".

Wraz z kanałem na lidera opinii w social mediach wyrósł jego założyciel. „Emocje w sieci" podsumowało wyświetlenia postów dziennikarzy w sierpniu na platformie X. Stanowski: 73,3 mln, potem długo, długo nikt, następnie Jakub Wiech (23,4 mln), Patryk Słowik (19,5 mln), Tomasz Lis (15,7 mln).

Krzysztof Stanowski przysporzył sobie wielu wrogów. Kpi z polityków, celebrytów i dziennikarzy. Jak wtedy, gdy obnażył prawdę o opowieściach Natalii Janoszek, jakoby była wielką gwiazdą Bollywood, które to opowieści inni łykali bezrefleksyjnie (inną rzeczą jest sposób, w jaki to zrobił). Albo wtedy, gdy wyciekło nagranie z kolegium redakcyjnego Kanału Zero, na którym Stanowski mówił, że w jego medium nie atakuje się Zbigniewa Ziobry. W autentyczność wideo uwierzyło wielu dziennikarzy, wyrok wydano bez sądu, mimo że materiał upubliczniła osoba o wątpliwej reputacji, czyli Zbigniew Stonoga. Okazało się, że nagranie było prowokacją przygotowaną przez Stanowskiego.

Ale to wszystko – jak piórem Marka Migalskiego pogroziła „Rzeczpospolita" – to były tylko niewinne igraszki w porównaniu ze startem Krzysztofa Stanowskiego w wyborach prezydenckich. Migalski ostrzegał: „[...] jego [Stanowskiego] aktywność w kampanii ostatecznie zagrozi wiceszefowi PO. Jeśli mam rację, że tak właśnie może się stać, to szefa Kanału Zero może czekać kilka niemiłych niespodzianek ze strony państwa. Czym innym jest bowiem »dojeżdżanie« libków i lewaków w swoich mediach społecznościowych, a czym innym wejście w drogę »dużym misiom«. [...] nie dość, że Stanowski nie zawojuje świata polityki, to jeszcze może sobie (wbrew oczekiwaniom i nadziejom) napytać kłopotów z prowadzeniem biznesu. Ale kto odważnemu, beztroskiemu i bogatemu zabroni zabaw z zapałkami na stacji benzynowej?".

Na początku roku duże medium w demokratycznym kraju ostrzegło kandydata na urząd prezydenta, że jego udział w wyborach może zakończyć się dla niego „niemiłymi niespodziankami ze strony państwa", a nawet bankructwem. Kilka miesięcy później w Pałacu Prezydenckim rozgościł się Karol Nawrocki, a poseł formacji rządzącej wzywa do uderzenia w podstawy biznesu ekskandydata: „Stanowski bezczelnie atakuje dzieci swych przeciwników. Uważam, że wszyscy powinniśmy napisać do władz YouTube o interwencję w sprawie tego podżegacza do nieszczęść. Wara pisowcom od naszych dzieci!".

Skuteczne uderzenie w Kanał Zero poprzez platformę YouTube może być bolesne. Produkcje Kanału Zero dostępne są tylko tam, co przynosi imponujące wyniki, jeśli chodzi o zasięgi i o finanse, lecz jest zarazem ryzykowne, bo administratorzy YouTube mogą zablokować czasowo albo na stałe wybrane treści lub cały kanał. Duże zasięgi kont w social mediach ułatwiłyby budowę nowego kanału, gdyby stary został trwale zablokowany, lecz szkody byłyby ogromne. A wiemy, że Google potrafi blokować lub demonetyzować materiały i konta pod wątpliwymi pretekstami.

Krzysztof Stanowski już dawno zapowiadał rozwój swojego medialnego projektu i stworzenie portalu, który dostępny pod własną domeną, postawiony na niezależnych serwerach, byłby znacznie bardziej odporny na próbę cenzury. Zapowiedź jego uruchomienia powtórzył niedawno przy okazji potwierdzenia informacji o wystąpieniu do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z wnioskiem o nadanie koncesji na kanał telewizyjny. Ambicje pewnie ma duże. „W Kanale Zero słychać głosy, że serwis ma docelowo rzucić wyzwanie największym na rynku. Stawiać na newsy z dnia codziennego. Do tego jednak potrzeba odpowiednich osób, których – jak wskazywał sam Krzysztof Stanowski – nadal brakuje. Ostatnie odejścia nie poprawiają tej sytuacji" – pisał na początku roku portal Wirtualnemedia.pl, wskazując na duże rotacje w zespole Kanału Zero.

EFEKT STREISAND

Jak do tej pory starcia z politykami i dziennikarzami nie szkodzą biznesowi Stanowskiego, wręcz są dodatkowym wiatrem w żagle. Także starcia Doroty Wysockiej-Schnepf z szefem Kanału Zero wywołują skutek odwrotny do zamierzonego. Boleśnie przekonuje się ona, czym jest efekt Streisand, kiedy to próba cenzury w Internecie powoduje lawinowe zainteresowanie tematem. Zabieranie głosu w obronie Maksymiliana Sznepfa sprawiło, że z osoby znanej głównie historykom, stał się powszechnie rozpoznawalnym symbolem i bohaterem memów. Obława augustowska w zbiorowej świadomości Polaków zaistniała dużo wyraźniej niż przed próbami obrony „dobrego imienia" pułkownika LWP. A nazwisko Sznepf/Schnepf na dobre skleiło się z pojęciem obława augustowska i trudno już mówić o tym wydarzeniu w oderwaniu od ojca obecnego kierownika ambasady Polski we Włoszech.

Tweet pracownicy TVP w likwidacji o rzekomym ataku na jej syna zadziałał podobnie. Przed tą publikacją chłopcem nikt się specjalnie nie interesował. Wpis na X jego matki i pismo skierowane do Stanowskiego to zmieniły. Również dlatego, że w uzasadnieniu roszczeń napisano, iż żądana kwota 100 tys. zł to koszt rocznej edukacji syna za granicą. „Może mi Pani powiedzieć, jak Pani syn chce uciec z Polski, skoro przebywa w Rzymie z tatą, gdzie uczęszcza do anglojęzycznej Marymount International School, którego czesne w wysokości 25 tys. euro opłaca polski podatnik" – zapytał na X Cezary Gmyz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ada7bc27a8

Cała prawda o reparacjach od Niemiec

Mariusz Muszyński

Reparacje z tytułu drugiej wojny światowej w szerokim tego słowa rozumieniu otrzymały od Niemiec nie tylko państwa zwycięskiej koalicji. Tylko Polska została ograna. Wypowiedź prezydenta Nawrockiego z 1 września dobrze przysłużyła się Polsce

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Politycy rządzącej partii zachowują się w sprawie należnych Polsce reparacji od Niemiec skandalicznie. Na wyścigi starają się spychać sprawę na margines, drwią z niej lub wprost bronią stanowiska Berlina. Ta mentalna germanizacja osłabia racje Polski. Walka o reparacje nie będzie prosta, ale jest uzasadniona i warta poświęconego czasu.

Na początek wyjaśnię, co oznacza pojęcie reparacji, bo nawet w tym punkcie sprawę wielokrotnie wyśmiewano. O ironio, głównie na poziomie kierownictwa polskiego MSZ. Rządowi PiS zarzucano, że występując w 2023 r. do Niemiec, domagał się „rekompensaty" za szkody wyrządzone w czasie drugiej wojny światowej zamiast reparacji.

Dziś słowo „reparacje" używane w stosunku do Niemiec to skrót myślowy. To pojęcie przeniesione do polityki z prawa międzynarodowego, gdzie stosuje się je powszechnie jako synonim ogólnego obowiązku naprawienia szkody (zob. Draft Articles on Responsibility of States for Internationally Wrongful Acts). A w przypadku wojny obowiązek ten nie spadł z nieba. Jest oczywisty i stanowi konsekwencję dawnej zasady płacenia przez przegranego trybutu na rzecz zwycięzcy. W XIX w. obowiązek ten oparto na pozorach sprawiedliwości i początkowo nazywano „odszkodowaniem", z angielskiego „indemnization" czy francuskiego „indemnite". Właśnie o „indemnizacji" czytamy w traktacie prusko-francuskim z 1871 r. Słowo „reparacje" pojawiło się dopiero w traktacie wersalskim jako tytuł części VIII Reparations (franc.) lub Reparation (ang.). Jednak już w języku niemieckim jest tam nazwa Wiedergutmachung (odpowiednik angielskiego „to make good", a polskiego słowa „zadośćuczynienie"). Polska nazwa tego tytułu brzmi „Odszkodowania".

W późniejszych czasach pojawiają się inne pojęcia, tj. rekompensata czy zadośćuczynienie itp. Ale wszędzie chodzi o naprawienie szkody. To oznacza, że dziś liczy się nie nazwa, a konkretna treść, którą strona podnosząca roszczenie wstawia pod to pojęcie.

DLA WSZYSTKICH Z WYJĄTKIEM POLSKI

Co więcej, istota skutków drugiej wojny światowej zmieniła pierwotne rozumienie tego pojęcia, tak jak druga wojna światowa odbiegała w zbrodniczych skutkach od klasycznych wojen. Tu nie chodzi tylko o klasyczne materialne szkody wojenne, ale kryje się pod nim szerokie rozumienie potrzeby właśnie „zadośćuczynienia" za wszelkie działania – również straty ludzkie, za prześladowania narodowościowe, ludobójstwo, niszczenie dóbr kultury itp. A zdaniem części doktryny także o karę za agresję. Słowem: za wojnę i jej złe skutki. Dlatego w protokole z konferencji jałtańskiej z lutego 1945 r. nie ma mowy o reparacjach, ale czytamy generalnie o „question of the damage caused by Germany to Allied Nations in this war".

Warto też podkreślić, że reparacje z tytułu drugiej wojny światowej w szerokim tego słowa rozumieniu otrzymały od Niemiec nie tylko państwa zwycięskiej koalicji. Nowością w prawie międzynarodowym było wypłacenie przez Niemcy w 1952 r. reparacji państwu, które nie istniało w trakcie drugiej wojny światowej – Izraelowi. Ich suma wynosiła 3 mld marek niemieckich. Na marginesie przypomnę, że duża część żydowskich ofiar posiadała w latach 1939–1945 polskie obywatelstwo. Swego rodzaju „reparacje" otrzymała w tym samym roku nawet organizacja społeczna – Conference on Jewish Material Claims against Germany (450 mln marek).

ZSRS zaspokoił się nie tylko reparacjami z Niemiec, lecz także majątkiem niemieckim z Węgier, Rumunii, Finlandii, Austrii itp. oraz tym, co ukradł z polskich Ziem Zachodnich. Państwa zachodnie pobierały reparacje do 1954 r., kiedy je traktatowo zawieszono. Ale jeszcze w la-

eprasa.pl ada7bc27a8

tach 60. –70. XX w. 13 krajów Europy Zachodniej otrzymało zadośćuczynienie za prześladowania nazistowskie ich obywateli. A nawet w latach 90. XX w. Niemcy, zagrożone konfiskatą majątku niemieckiego przemysłu w USA, wypłaciły takie zadośćuczynienie dla obywateli amerykańskich. Jaskrawą drwiną jest natomiast to, że dziś w ramach KPO wypłacane są różne formuły zadośćuczynienia z tytułu niemieckich prześladowań obywatelom włoskim. Nie chodzi nawet o KPO, czyli o to, że te roszczenia zaspokoiła Unia Europejska, a więc także Polska, ale o ich formalną podstawę prawną. Włochy były jednak sojusznikiem Hitlera. I jako pokonane „państwo Osi" zawarły traktat pokojowy z aliantami w 1947 r. Ustalenia jałtańsko-poczdamskie nie stawiały ich w roli beneficjentów „reparacji od Niemiec".

O takich państwach jak Egipt, Albania, Związek Południowej Afryki (dziś RPA) jako „mocarstwach" zwycięskich z drugiej wojny światowej i beneficjentach reparacji już nie wspomnę. Tylko Polska została ograna. Miała odbierać należne reparacje za pośrednictwem ZSRS. I dostała z Moskwy m.in. wagony dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina czy transport sadzonek drzew wiśniowych dostarczony w lutym 1953 r.

SŁABE ARGUMENTY

RFN używa dziś różnych argumentów, by odmawiać Polsce reparacji. Przyjrzyjmy się kilku. Pierwszym jest zarzut, że Polska zrzekła się reparacji „wobec Niemiec". Chodzi o deklarację Rady Ministrów PRL z 23 sierpnia 1953 r. wydaną w związku z Porozumieniem ZSRS-NRD z 22 sierpnia 1953 r. o zaprzestaniu pobierania reparacji.

Jest to bzdura, ponieważ ta deklaracja była ściśle związana z tym porozumieniem. Nie mogła wyjść poza jego zakres. Dlatego słowo „Niemcy" znajdujące się w deklaracji należy odnosić do NRD. Deklaracja nie dotyczyła RFN, ponieważ w 1953 r. NRD była przez PRL uważana za jedyne państwo niemieckie. Zresztą, jak zauważył już w 1971 r. prof. Klafkowski, słowo „Niemcy" nie jest też użyte w kontekście reparacji.

Są też poważne wątpliwości co do prawdziwości i legalności deklaracji. Z dokumentacji archiwalnej wynika, że spotkanie ówczesnej Rady Ministrów odbyło się w niedzielę w godzinach wieczornych, trwało pół godziny, między 19 a 19.30. Nie ma śladu dyskusji nad oświadczeniem (protokół z posiedzenia).

Jedyny tekst deklaracji, który w formie pisanej znajduje się w Niemczech, jest tekstem w języku polskim spoczywającym w Archiwum MSZ NRD, które zostało przejęte po zjednoczeniu Niemiec przez Archiwum MSZ RFN.

Rozpoczyna się on od zdania: „OBIAD WYDANY PRZEZ G. M. MALENKOWA NA CZESC DELEGACJI RZADOWEJ NRD". Potem następuje tytuł i tekst z wieloma błędami o charakterze rusycyzmów (np. UCZNIC, WIESC, MILUJACZYCH, POEZIETE, NIEZBEDNACH). Również w nagłówku napisanym po niemiecku w wyżej wymienionym dokumencie występują błędy. Powstaje pytanie, czy tekst ten został napisany dla Polski przez ZSRS i NRD podczas pobytu delegacji NRD w Moskwie, gdyż to tam właśnie miał miejsce obiad wydany przez przewodniczącego Rady Ministrów ZSRS G.M. Malenkowa.

W trakcie negocjacji nad układem z 27 grudnia 1970 r. o normalizacji stosunków między RFN a PRL strona niemiecka zaproponowała, by Polska potwierdziła w tym układzie, że oświadczenie o zrzeczeniu obowiązuje. Miało to przyjąć formę części traktatu. Niemiecki projekt traktatu zawiera nawet stosowne passusy. Polska nie zgodziła się na wpisanie tego do traktatu. Także polska delegacja odmówiła potwierdzenia zrzeczenia wobec RFN, co pokazują dokumenty archiwalne. A strona niemiecka zapisała jednostronnie w biuletynie rządowym z 8 grudnia 1970 r., że takie potwierdzenie padło w trakcie rozmów. Tak się robi politykę w Berlinie.

Kolejnym argumentem Niemiec jest rzekome zamknięcie kwestii reparacji w Układzie 2+4 w 1990 r. Układ rzeczywiście reguluje ostatecznie powojenny status Niemiec, ale nie wspomina o reparacjach. Przypomnijmy, że każdy traktat prawnie wiąże tylko państwa strony. A Polska stroną Układu 2+4 nie jest.

Niemcy i ich sympatycy sugerują, że było to „milczące zrzeczenie się". Ale nawet przy takiej formule konieczne jest dochowanie wymogów formalnych. Zgodnie z prawem międzynarodowym traktat może nakładać na państwa trzecie zobowiązania (tzw. pactum in detrimendum tercii), ale konieczne jest tu wyraźne potwierdzenie przyjęcia takiego zobowiązania przez takie państwo. Podkreślę – wyraźne. Polska nigdy tego nie potwierdziła.

Odwrotnie. Na przestrzeni powojennych lat Polska wielokrotnie przeczyła zrzeczeniu się swoich praw w omawianym względzie. W latach 70 XX w. w PRL pracowała Komisja do spraw opracowania problemu odszkodowań niemieckich. W 2004 r. stosowną uchwałę podjął Sejm RP. Podobną uchwałę podjął Sejm we wrześniu 2022 r. I wreszcie mamy wystąpienie prezydenta Karola Nawrockiego z 1 września 2025 r. Po 1970 r. były też różnego rodzaju umowy z Niemcami o zadośćuczynieniu dla ofiar prześladowań nazistowskich, których finał stanowiło utworzenie Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie.

NA SZKODĘ POLSKI

Owszem, były też wystąpienia różnych politycznych sympatyków Niemiec, jak np. premiera Belki, ministra Cimoszewicza czy wreszcie premiera Tuska. I żeby było jasne – nie było to zwykłe publiczne „pieprzenie głupot". Ci politycy świadomie działali tu na niekorzyść Polski, bo w świetle prawa krajowego do takich oświadczeń nie mieli upoważnienia. Groziło to rzeczywiście wywołaniem skutku oczekiwanego przez Niemcy w postaci tzw. aktu jednostronnego. Stronie polskiej służy jednak to, że były też trwałe stanowiska odwrotne, również wydawane przez inne organy państwa.

Dlatego wypowiedź prezydenta Nawrockiego z 1 września dobrze przysłużyła się Polsce. Wzmocniła istnienie roszczeń reparacyjnych, które mają wiele kontekstów. Tak naprawdę to w interesie Niemiec jest zamknąć wreszcie tę sprawę, bo świat się zmienia. Liczba kontekstów potencjalnych polskich roszczeń z czasem tylko rośnie. Każda niemiecka odmowa powoduje, że będzie to jeszcze ciągnąć się dziesiątki lat i przypominać zbrodniczy okres funkcjonowania niemieckiego państwa. I wiele planów politycznych Berlina to położy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym nauk prawnych, profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, byłym sędzią i wiceprzewodniczącym Trybunału Konstytucyjnego.

eprasa.pl ada7bc27a8

Piotr Semka z Rzymu

Marysieńka na Kapitolu

Oglądając wystawę o Sobieskich w Rzymie, nie sposób nie zauważyć, jak długo w opinii Europy Polska wciąż była uważana za silne mocarstwo. Trudno się temu dziwić. Także ówcześni mieszkańcy Rzeczypospolitej sporo lat nie zauważali, jak nasz kraj zaczyna się staczać na drodze do samozagłady

Polska pamięć zbiorowa zachowała imię tej polskiej królowej w pieszczotliwej, zdrobniałej formie – Marysieńka. Skąd ten sentyment? Pewnie dlatego, że Maria Kazimiera, żona króla Jana III Sobieskiego (1641–1716), była symbolem epoki ostatniego władcy Polski, który budował jej wielkość przed przygnębiającym upadkiem epoki saskiej. Jednocześnie mało znane są u nas rzymski okres w życiu wdowy po odważnym wojowniku i wielka gra Sobieskich w dynastycznych kontredansach pierwszego ćwierćwiecza XVIII w. W tej rozgrywce dynastycznych szachów przymierzano Jakuba Sobieskiego, syna Jana III, do paru tronów europejskich. Potem wydano Marię Klementynę Sobieską, wnuczkę zwycięzcy spod Wiednia, za Jakuba III Stuarta – pretendenta do tronów Anglii, Szkocji i Irlandii.

O tym wszystkim opowiada wystawa „Polska królowa na Kapitolu: Maria Kazimiera i królewska rodzina Sobieskich w Rzymie". Jej miejsce – Muzeum Kapitolińskie – to niezwykle prestiżowa lokalizacja. Polski serwis Radia Watykańskiego tak reklamuje tę wystawę: „Autorzy ekspozycji przypominają królewski ród z Polski, którego losy splotły się z historią Wiecznego Miasta i który – choć z dala od ojczyzny – pozostawił trwały ślad w kulturze i sztuce Rzymu".

„W TYM ZNAKU ZWYCIĘŻYSZ"

Wielu Polaków, którym dane było trafić do jednaj z sal Muzeum Watykańskiego, z miłym zdziwieniem odkrywa obraz Jana Matejki „Jan Sobieski pod Wiedniem". To

Plakat wystawy z wizerunkiem Marii Kazimiery FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ada7bc27a8

płótno nasz mistrz podarował papieżowi Leonowi XIII w 1883 r., w 200. rocznicę bitwy wiedeńskiej. Wspaniałe malowidło przypomina o gigantycznej sławie, którą nasz pogromca Turków zdobył w Stolicy Apostolskiej za rządów pontifexa Innocentego XI i jego następców.

Ówczesne papiestwo z ogromnym niepokojem śledziło inwazję Porty Otomańskiej na Europę. Wizja zamiany wiedeńskiej katedry św. Szczepana na meczet nie była wówczas abstrakcją. Innocenty XI organizował nawet za pomocą swej dyplomacji Święty Alians przeciw nawale tureckiej. Z tym większą ulgą Rzym świętował odsunięcie militarnego zagrożenia spod znaku półksiężyca.

Dość przypomnieć, że Wspomnienie Najświętszego Imienia Maryi dla uczczenia zwycięstw nad Turkami papież Innocenty XI wyznaczył właśnie na 12 września – na dzień wiktorii wiedeńskiej. Zresztą sam Sobieski przywiązywał do swego zwycięstwa silne religijne znaczenie. Z pobojowiska zwycięskiej bitwy nasz król wysłał list do Innocentego XI z doniesieniem o triumfie, który kończyły słowa: „Przybyłem, zwyciężyłem, Bóg zwyciężył". W zbiorach Muzeum Czartoryskich w Krakowie można do dziś podziwiać tzw. tarczę wróżebną króla Jana III Sobieskiego, na której przedstawiono bitwę przy moście Mulwijskim w roku 312, gdy cesarz Konstantyn miał zobaczyć pośród chmur krzyż i usłyszeć słowa: „In hoc signo vinces," czyli: „Pod tym znakiem zwyciężysz". Sobieski uznawał tę tarczę jako zapowiedź zwycięstwa nad Turkami. Nic więc dziwnego, że pierwsza część kapitolińskiej wystawy mówi o sławie i wdzięczności, którą nasz król zdobył sobie w Rzymie. Nasz władca otrzymał od papieża oficjalny tytuł Fidei Defensor, czyli „obrońca wiary".

Na wystawie obejrzeć można liczne portrety Sobieskiego i sztychy z wizerunkami bitwy, które zdobywały wówczas w Wiecznym Mieście ogromną popularność.

Na akwaforcie Jacques'a Blondeau, Agostina Scilli i Arnalda Westerhouta na głowę Sobieskiego spada snop światła z nieba czyniący go narzędziem Boga. W polskiej demokracji szlacheckiej takie obrazy wywołałyby pewnie sprzeciw szlachty nerwowo reagującej na wszelkie próby kultu władców elekcyjnych. W absolutystycznym z definicji Rzymie papieskim ten sposób „uświęcania" polskiego króla uważano za coś oczywistego.

Apoteoza Jana III Sobieskiego – sztych opublikowany po zwycięstwie pod Wiedniem z 1683 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tuż obok marmurowa tablica pamiątkowa wmurowana wtedy w ścianę kapitolińskiego Palazzo Nuovo: „Innocentemu XI, papieżowi, za to, że zadbał o zagrożone bezpieczeństwo religii katolickiej w Wiedniu [...], w roku ocalenia 1683, bronionym przed oblężeniem tureckim nieustanną czujnością, błaganiem o pomoc u Boga, modlitwami i łzami cesarza Leopolda [...], i Janowi III Polskiemu, zawsze niepokonanemu królowi, będącemu dowódcą armii chrześcijańskiej, oraz Karolowi V, księciu Lotaryngii – Senat i Lud Rzymski na wieki pozostający w pamięci". Gdy w końcu czerwca 1696 r. do Wiecznego Miasta dotarła wieść o śmierci zwycięzcy spod Wiednia, sam papież Innocenty XII przewodził uroczystej Mszy żałobnej.

Papież Innocenty XII bardzo życzliwie przyjął polską królową i jej dzieci. Znał osobiście Marię Kazimierę z lat 1660–1668, gdy był nuncjuszem papieskim w Polsce. W 1665 r. to on osobiście udzielił w Warszawie ślubu Janowi Sobieskiemu i Marysieńce

MARYSIEŃKA SZUKA PRZYSTANI

W nocy z 23 na 24 marca 1699 r. Maria Kazimiera d'Arquien przybyła do Rzymu. Przewodziła 200-osobowej grupie złożonej z członków rodu Sobieskich, dworzan i służących. Stać ją było na tak wielki orszak – dysponowała sporym majątkiem osobistym. W Polsce – po tym, jak nie udało się jej przeforsować elekcji swego syna Jakuba Ludwika na tron – nie miała już czego szukać. Nowy władca, August II Mocny, przesuwał ośrodek władzy do Drezna – stolicy Saksonii. Ale w Rzymie nazwisko Sobieskich wciąż coś znaczyło. Marysieńka miała wtedy 58 lat i wciąż dysponowała imponującą urodą. Papież Innocenty XII bardzo życzliwie przyjął polską królową i jej dzieci. Znał osobiście Marię Kazimierę z lat 1660–1668, gdy był nuncjuszem papieskim w Polsce. W 1665 r. to on osobiście udzielił w Warszawie ślubu Janowi Sobieskiemu i Marysieńce, wtedy jeszcze byłej dwórce Marii Ludwiki, żony króla Jana Kazimierza.

Przyjazd Marysieńki do Rzymu przypadł akurat na przygotowania do ogłoszonego na 1700 r. Jubileuszowego Roku Świętego.

Królowa zamieszkała w Palazzo Odescalchi jako gość księcia Livia Odescalchiego. Po roku nasza królowa przeniosła się do własnej siedziby – Palazzetto Zuccari na wzgórzu Pincio, znanym z kościoła Trinità dei Monti i wspaniałych Schodów Hiszpańskich. W pałacu gości witało na portalu godło Rzeczypospolitej z herbem Sobieskich „Janina".

Ta część wystawy przedstawia Marię Kazimierę jako mecenasa sztuki, muzyki i gospodynię spotkań literackich. Bywali na nich zarówno wybitniejsi artyści z Wiecznego Miasta, jak i goście z rodzin dworu papieskiego. Dla polskiej królowej komponowali lub pisali swe dzieła tacy artyści jak np. kompozytor Domenico Scarlatti. Ich wydania z dedykacjami dla „Regina Polacca" zgromadzono na kapitolińskiej ekspozycji.

eprasa.pl ada7bc27a8

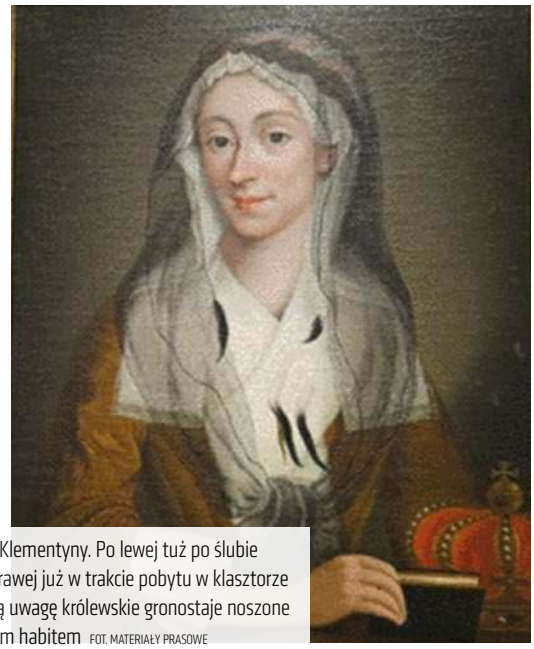

Dwa porterty Marii Klementyny. Po lewej tuż po ślubie z Jakubem III i po prawej już w trakcie pobytu w klasztorze św. Cecylii. Zwracają uwagę królewskie gronostaje noszone pod quasi-zakonnym habitem FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dwór Sobieskich w odległym Rzymie błyszczał smakiem i kulturą jako jedno z niewielu już świateł przypominających o wielkości Rzeczypospolitej w latach, gdy Polska zaczęła przygasać w mrokach „nocy saskiej".

Palazzetto Zuccari był jednocześnie ośrodkiem starań ambitnej królowej o jakąś koronę dla syna Jakuba Ludwika. Zabiegów bezskutecznych, choć kandydatura królewicza na rozmaite trony parę razy wydawała się mieć nawet pewne szanse.

Na wystawie podziwiać można reprodukcje sześciu barokowych medalionów ze scenami z życia króla Jana III z rzymskiego kościoła św. Stanisława Kostki, świątyni, która zarówno wtedy, jak i dziś jest centrum „polskiego" Rzymu.

Zasługi dla rzymskiej sztuki papież Klemens XI uhonorował, przyjmując Marię Kazimierę w poczet członków papieskiej artystycznej akademii Arkadia jako pierwszą kobietę w dziejach tej instytucji.

W 1714 r. królowa bardzo przeżyła śmierć swego syna Aleksandra. Pogrążona w żałobie postanowiła na ostatni okres życia wrócić do rodzinnej Francji. Opuściła Włochy równie efektownie, jak do nich przybyła – odbiła z portu Civitavecchia w papieskiej galerze, użyczonej jej przez papieża Klemensa XI. Czekało ją jeszcze półtora roku życia. Umarła w Blois, w Dolinie Loary, 30 stycznia 1716 r. Żyła 74 lata.

MNIEJ SZCZĘŚLIWA MARYSIEŃKA

Ostatnią spadkobierczynią rzymskiej sławy rodu Sobieskich była Maria Klementyna Sobieska (1701–1735), wnuczka Jana III i córka Jakuba Ludwika. Jej ojciec oddał jej rękę żyjącemu od lat na wygnaniu w Rzymie Jakubowi III Stuartowi, formalnemu królowi Anglii, Szkocji i Irlandii. Jak się wydawało – nie była to wtedy zła partia. Dynastii Stuartów wróżono spore szanse na powrót do Londynu i objęcie prawowitego tronu. I właśnie z tego powodu tajne służby angielskie w sojuszu z Habsburgami zrobiły wiele, by do tego małżeństwa nie dopuścić. Biedną Klementynę porwali nawet austriaccy agenci i osadzili na zamku Ambras koło Innsbrucku, ale dzięki wiernym Stuartom Irlandczykom udało się jej uciec i przedostać do Rzymu.

3 września 1719 r. we włoskim mieście Montefiascone odbyły się zaślubiny Klementyny z Jakubem III, dziedzicem korony Anglii, Szkocji i Irlandii. Wnuczka polskiego króla urodziła Jakubowi dwóch synów, ale związek nie był szczęśliwy. W końcu, w 1725 r., tytularna królowa Albionu wycofała się do rzymskiego klasztoru benedyktynek św. Cecylii, gdzie żyła jak mniszka aż do swej śmierci 17 stycznia 1735 r.

Dwa portrety Klementyny – jeden przedstawiający ją w kwiecie młodości, być może ok. 1722 r., i drugi z 1727 r., po ośmiu latach nieudanego małżeństwa – uderzają kontrastem. Na pierwszym widzimy pełną nadziei młodą dziewczynę, na drugim – kobietę zjadaną przez melancholię, znajdującą pocieszenie już tylko w wierze.

Jej mało szczęśliwe życie wynagrodził nieco papież Klemens XII, udzielając jej po śmierci nie lada zaszczytu. Polecił pochować wnuczkę zwycięzcy spod Wiednia w bazylice św. Piotra. Ten przywilej spotkał w ciągu wielu wieków tej świątyni tylko cztery kobiety.

Epitafium ku jej czci znaleźć można w lewej nawie bazyliki – naprzeciw grobowca trzech zmarłych w Rzymie wygnanych z ojczyzny i wiernych wierze katolickiej aż do śmierci Stuartów: Jakuba II, Jakuba III i Karola Edwarda Stuarta.

Karol Edward, pierwszy syn Klementyny Sobieskiej, ostatni Stuart aspirujący do władzy nad Wyspami Brytyjskimi, wszedł do legendy Szkotów jako wódz powstania przeciw Anglikom z 1745 r. Choć w świecie anglosaskim mało kto pamięta o jego półpolskim pochodzeniu.

Oglądając wystawę o Sobieskich w Rzymie, nie sposób nie zauważyć, jak długo w opinii Europy Polska wciąż była uważana za silne mocarstwo. Trudno się temu dziwić. Także ówcześni mieszkańcy Rzeczypospolitej sporo lat nie zauważali, jak nasz kraj zaczyna się staczać na drodze do samozagłady. Czy gdyby Maria Kazimiera dopięła swego i umieściła swego syna Jakuba na polskim tronie, Polska by wróciła do potęgi? Tego nie dowiemy się nigdy. Ale podobnie jak w wypadku królowej Bony lojalna wobec Polski żona z zagranicy, nawet wiedziona rodzinnymi ambicjami, często lepiej widziała zagrożenia czyhające na nasz kraj niż wielu przedstawicieli najświetniejszych rodów Rzeczypospolitej. Dlatego dziś można myśleć o Marysieńce z szacunkiem. A rzymska wystawa pokazuje, że królowa wdowa dodatkowo dobrze znała się na sztuce i szukała piękna. Czy to mało?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Polska królowa na Kapitolu: Maria Kazimiera i królewska rodzina Sobieskich" czynna będzie w Muzeum Kapitolińskim w Rzymie do 21 września br. Szczegóły na: www.museicapitolini.org.

eprasa.pl ada7bc27a8

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu

MIŁOSZ KŁECZEK

W RUCHU

PREMIERA

w każdy poniedziałek
na kanale @Telewizja_Republika

i w każdą niedzielę o 17:45
w REPUBLICE

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ada7bc27a8

Grany przez Denzela Washingtona bogacz David King to człowiek zasadniczy, surowy i we własnym mniemaniu utalentowany oraz sprawiedliwy FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Opowieść prawie wigilijna

Piotr Gociek

Przeróbka Kurosawy, moralitet w formie kryminału, świetna rola Denzela Washingtona – wiele jest powodów, by obejrzeć film „Highest 2 Lowest"

Oto David King, twórca sukcesu firmy Records, najlepsze ucho w biznesie. Ale najzimniejsze serce, jak mu wytyka własny syn. Fenomenalna rola Denzela Washingtona, który zasłużył tym razem na oscarową nominację o wiele bardziej niż występem w słabiutkim „Gladiatorze II". David King, czyli król Dawid: aluzja biblijna jest tu czytelna, zresztą film pełen jest takich odniesień, poczynając od tytułu. „Highest 2 Lowest" to odwołanie do Księgi Samuela (1 Sm 5,9). Po tym, jak Filistyni odebrali Żydom Arkę, nastąpiła seria niepokojących wydarzeń, m.in. w Gat „ręka Pana dotknęła miasto wielkim uciskiem, zsyłając popłoch na mieszkańców miasta, tak na małych, jak i wielkich". „Tak na małych, jak i wielkich" – w popularnym amerykańskim wydaniu Pisma Świętego mamy właśnie „highest to lowest", tak jak w tytule filmu Spike'a Lee.

„Highest 2 Lowest" to także tytuł piosenki, którą usłyszymy w finale filmu; śpiewa ją obdarzona oryginalnym, mocnym głosem Aiyana-Lee, prywatnie siostrzenica wokalisty The Temptations Davida Ruffina. Najpierw bohater filmu domknie piosenkę słowem „amen", potem powtórzy je jego rodzina. Spike Lee nakręcił moralitet w formie thrillera, pokazując, że o potrzebie wiary mówić można nie tylko kliszami christian movies. To spotkanie po latach jest zwieńczeniem długiej przyjaźni i owocnej współpracy. Denzel Washington grał wszak u Spike'a Lee najpierw w filmie „Czarny blues" („Mo' Better Blues", 1990), a potem spotykali się na planie „Malcolma X" (1992), „Gry o honor" („He Got Game", 1998) i „Planu doskonałego" („Inside Man", 2006). Teraz współpracują po raz piąty – z bardzo dobrym efektem. „Highest 2 Lowest" jest od niedawna dostępny w Apple TV+.

OSTRA GRA

Grany przez Denzela Washingtona bogacz David King to człowiek zasadniczy, surowy i we własnym mniemaniu nie tylko niezwykle utalentowany, lecz także sprawiedliwy. Mieszka w luksusowym wieżowcu z widokiem na Nowy Jork, niczym sam Pan Bóg obrzucając wzrokiem maluczkich; dla artystów stojących w kolejce pod jego biurem w istocie jest figurą wszechmocnego. Jedno skinienie dłoni może wynieść nieznanego nikomu wykonawcę na szczyt popularności.

eprasa.pl ada7bc27a8

Ten chodzący wzorzec cnót zostaje wystawiony na próbę, gdy porwany zostaje jego syn, Trey. Kidnaperzy żądają 17,5 mln dol. okupu – inaczej chłopak zginie. Dla rodzica życie dziecka jest bezcenne, to jasne. Trzeba będzie zapłacić. Ale co zrobi pan King, gdy okaże się, że porywacze przez pomyłkę ujęli nie jego syna, lecz kierowcy?

Tu sprawa się komplikuje. Niby to tylko pieniądze, ale David King jest właśnie w krytycznym momencie zawodowej kariery. Próbuje dopiąć transakcję, dzięki której zostanie większościowym udziałowcem koncernu Stackin' Hits Records, i potrzebny jest mu każdy cent. Żeby wszystko doprowadzić do szczęśliwego końca, zadłużył się po uszy: kto gra ostro, ryzykuje bardzo wiele. King gra ostro. Czy z właściwych powodów? W pierwszych partiach filmu oglądamy wiele podpowiadającą rozmowę między Kingiem a jego żoną Pam (Ilfenesh Hadera). Kiedy King opowiada o tym, jak bardzo chce znów być na szczycie, budować od nowa swoje imperium muzyczne, Pam wytyka mu, że od dawna nie widziała, żeby praca sprawiała mu taką radość jak dawniej. Zatem dlaczego chce brnąć w to dalej? Dla pieniędzy? Cóż, przysłowie „all money ain't good money" powraca w tym filmie jak refren – najbliższym odpowiednikiem w języku polskim byłoby chyba „nie wszystko złoto, co się świeci".

David King jest człowiekiem, który zapomniał o tym, że „wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnie uczyniliście". Jest hipokrytą: mówi wiele o zasadach, ale w chwili próby zawodzi – i to jak bardzo! Dwie sceny w tym filmie poruszyły mnie najbardziej: w jednej David King całkiem serio zastanawia się, czy rozgłos, który przyniosło porwanie syna, da się jakoś wykorzystać na chwałę firmy. Później, gdy dokładnie to zrobią jego konkurenci w walce o kontrolę nad Stackin' Hits Records (użyją dramatu w celach promocyjnych), King oczywiście będzie oburzony. I druga scena, bez słów, w której widzimy, jak główny bohater odmawia wypłacenia okupu. Wszystko rozgrywa się bez słów, oglądamy tylko Denzela Washingtona z Jeffreyem Wrightem (znakomitym w roli szofera) za szklaną ścianą, na tarasie luksusowego penthouse'u. Nie musimy słyszeć. Wszystko jest jasne, i choć King zmieni potem zdanie, to więź między dwoma mężczyznami została zerwana na zawsze.

Mądrość i miłość kobiety oraz czyste serce dziecka, które nie potrafi pojąć, jak ojciec może dopuścić się złych czynów – to rzeczy, które przyniosą Kingowi niechętne otrzeźwienie, ale w efekcie – ocalenie. Drugą szansę, na którą nie jesteśmy pewni, czy zasłużył. Jednak aby rozpocząć nową drogę, będzie musiał odrzucić dawne „ja". Wiara, nadzieja, miłość, rodzina – uda się tylko dzięki temu wszystkiemu.

FILM DOBRY I WAŻNY

W pewnym sensie jest „Highest 2 Lowest" współczesną opowieścią wigilijną. Nowoczesny nowojorski Scrooge o zimnym sercu widzi siebie w trzech wersjach, a lustrami są inni bohaterowie filmu, tak jak duchy były nimi u Dickensa. Rozmowa z żoną porywacza – nic o porwaniu niewiedzącą – to spotkanie z duchem świąt minionych. King widzi, jak ważne było dla innych ludzi to, co robił kiedyś, ile dobra wniósł w życie innych. Rozmowa ze wspólnikiem Patrickiem pokazuje mu, jak nisko upadł, rozważając (nawet teoretycznie) rodzinną tragedię w kategoriach zysków i strat. To spotkanie z duchem świąt obecnych. I jest wreszcie rozmowa z duchem świąt przyszłych, kiedy King zagląda do pokoju syna i słyszy od niego, że jest właścicielem najzimniejszego serca na świecie. I wie już, że jeśli wybierze źle, to jego własne dziecko już nigdy nie spojrzy na niego z podziwem i miłością. Równie trzeźwiąca jest finałowa konfrontacja Kinga ze sprawcą porwania, który okazuje się uosobieniem tego wszystkiego, kim King nie chciałby się stać, ale owej transformacji jest bliski.

„Highest 2 Lowest" to opowieść na motywach głośnego filmu Akiry Kurosawy „Piekło i niebo" („Tengoku to Jigoku", 1963), w którym świetną kreację jako King Gondo, właściciel fabryki butów, stworzył Toshiro Mifune. Spike Lee, uwspółcześniając tę historię, zachował moralne dylematy, ale zaszył oczywiście w treści rozmaite przesłania charakterystyczne dla własnej grupy etnicznej. Zatem jedyni biali, jacy pojawiają się w filmie, to osobnicy niesympatyczni lub niekompetentni. Wrogiego przejęcia i wykorzystania tragedii do celów promocyjnych dopuszcza się trzeci, obok Davida i Patricka, ze wspólników „Highest 2 Lowest" – dziwnym trafem jedyny biały w tym gronie.

Konkurencyjny wielki koncern płytowy, który chce przejąć firmę Kinga, oskarżony zostaje o to, że chce ukraść czarną muzykę czarnym – podobne oskarżenia słuchać, kiedy tylko jakiś biały artysta zaczyna odnosić sukces, sięgając po estetykę soul czy bluesa: że niby kradnie cudze dziedzictwo kulturowe. Szofer Kinga jest głęboko wierzącym muzułmaninem, siedział bowiem kiedyś w więzieniu, gdyż oczywiście dla upadłego Afroamerykanina jedyną drogą odkupienia jest przyłączenie się do Narodu Islamu itd. Ale przecież nie możemy robić Spike'owi Lee czynić zarzutów, że jest… cóż, Spikiem Lee.

Ważniejsze jest to, że powstał film dobry i ważny, film nietypowy we współczesnym Hollywood. Film z jednej strony zwodniczo lekki, bo barwny i wartki niczym komedie kryminalne Stevena Soderbergha, a przecież gdy idzie o przesłanie to jak najbardziej poważny: poważny film dla dorosłych ludzi. Kapitalna jest muzyka Howarda Drossina wywiedziona z kolei z klimatów lat 60., ale nie przebojów pop czy rock, lecz ówczesnej muzyki filmowej; pasowałyby jego kompozycje do oryginalnego filmu Kurosawy.

A dla kronikarskiej ścisłości dodać jeszcze należy, że korzenie tej fabuły sięgają jeszcze głębiej. Kurosawa inspirował się bowiem powieścią Eda McBaina [właściwie Evan Hunter – przyp. red.] „King's Ransom" z 1959 r. Była to książka należąca do słynnego cyklu kryminałów „87. posterunek". Od historii o zdesperowanej białej biedocie, przez rozmowy w korytarzach japońskich fabrykantów, do wieloetnicznego tłumu na ulicach Nowego Jorku – tło można zmieniać bez szwanku, jeśli tylko w samej opowieści zadaje się właściwe pytania.

REŻ. SPIKE LEE
„HIGHEST 2 LOWEST"
USA, JAPONIA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

FOT. NAC

Z Małgorzatą Czyńską, pisarką i dziennikarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Rusałka poezji polskiej

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Defekt cielesny Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wynikał z błędnej diagnozy, względnie niewłaściwego leczenia?

MAŁGORZATA CZYŃSKA: Wadę postawy spowodowała zapewne krzywica. A terapie istotnie były, przynajmniej częściowo, chybione, ponieważ opisy bolesnych masaży i narzędzi tortur, włącznie z zagipsowaniem korpusu, mającym wyprostować krzywe plecy Marii Kossakówny, przyprawiają o dreszcz zgrozy. Rodzice dołożyli starań, żeby wyleczyć córkę, wozili ją do sławnych ortopedów – od Krakowa do Berlina! Lilka, jak ją nazywano, od 10. roku życia nosiła gorset ortopedyczny. Wada postawy stanowiła jej głęboki kompleks.

Brak wykształcenia bohaterki biografii nie powinien dziwić?

Była bardzo oczytana, ale miała luki w edukacji. Przez Kossakówkę przetoczyło się wiele nauczycielek, zwłaszcza języków obcych. Karol Estreicher zauważył, że Lilka i jej młodsza siostra Madzia „miały szczególne wykształcenie". Były ostatnimi przedstawicielkami pokolenia nauczanego domowym sposobem – przez guwernantki, a potem na kursach przygotowawczych. Już ich rówieśniczki, nie mówiąc o trzy, cztery lata młodszych panienkach z dobrych domów, kończyły krakowskie szkoły średnie, aby później studiować na uniwersytecie. Zarówno Lilka, jak i Magdalena zdumiewały naiwnością poglądów, którą maskowały umiejętnościami lingwistycznymi oraz inteligencją. Kiedy stanęły na własnych nogach i zaczęły pisać, te ich niedostatki wiedzy szybko minęły. Pracowały nad sobą: Maria czytała bardzo wiele, chłonęła zwłaszcza wielką literaturę, szczególnie Szekspira, jakby pragnąc przeniknąć tajemnicę „Snu nocy letniej".

Beata Obertyńska twierdziła, że bohaterka pani książki niepotrzebnie zamieniła pędzel na pióro...

Lilka od dziecka pisała, rysowała i malowała. Nic dziwnego, była przecież wnuczką Juliusza i córką Wojciecha Kossaków. Te talenty długo rozwijała równolegle. Studiowała – jako wolna słuchaczka – w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nawiązywała do modernistów i do formistów. Nie wiadomo, dlaczego w drugiej połowie lat 20. całkowicie odstawiła paletę. Ale malarskie wyczucie barwy i formy widoczne jest aż nadto w jej poezji.

Kierowała się w życiu ezoteryką?

Metafizykę, chęć szerszego spojrzenia poza realność, traktowała bardzo poważnie. Nie były to powierzchowne zainteresowania modnej pani, która dla rozrywki chodzi do wróżki, bo Lilka podchodziła do sprawy naukowo, studiowała fachową literaturę z zakresu białej i czarnej magii. Dość przypomnieć, że jednym

eprasa.pl ada7bc27a8

z jej przewodników był filozof Wincenty Lutosławski, z którym korespondowała. Jako młoda dziewczyna zaczytywała się w jego – wydanej w 1909 r. – książce „Rozwój potęgi woli przez psychofizyczne ćwiczenia według dawnych aryjskich tradycji oraz własnych swoich doświadczeń", gdzie opisał m.in. swoje samoleczenie stanów depresyjnych przy pomocy praktyki jogi.

Od dwóch pierwszych małżeństw dłużej trwały starania wiodące do ich unieważnień?!

Wtedy te sprawy rzeczywiście się ciągnęły. W pierwszym przypadku chodziło również o unieważnienie ślubu kościelnego, a nie tylko o rozwód cywilny. Wiadomo, że Wojciech Kossak wydał dużo pieniędzy na sprawę rozwodową Lilki i Władysława Bzowskiego i jeszcze dorzucił kilka obrazów. Lilka, która czekała na rozwód z Bzowskim, była już potajemnie narzeczoną Jana Pawlikowskiego. Niestety, i ta miłość, znane z poezji „szczęście, które się nie trafia", trwała krócej niż okres rozpadu związku.

Z Witkacym połączyła ją nie tylko literatura?

Mieli krótką przygodę. Witkacy był jej powiernikiem i pocieszycielem w czasie, kiedy Jaś Pawlikowski prowadził już podwójne życie, a nawet spodziewał się dziecka z tancerką Walerią Konczyńską. Lilka i Witkacy pisali razem sztukę teatralną, on namalował jej dwa portrety. Pikanterii dodaje fakt, że żona Witkacego i Lilka były kuzynkami.

O względy Marii Morskiej konkurowała z Antonim Słonimskim oraz... Anną Iwaszkiewiczową?

Morska była zafascynowana Lilką, przyjaźniły się. Może element fascynacji romantycznej czy erotycznej też grał rolę w tej relacji. Anna Iwaszkiewiczowa, zakochana w Morskiej, była o Lilkę Pawlikowską zazdrosna.

Portugalskiego pilota poderwała listownie?

José Manuel Sarmento de Beires objawił się Lilce w artykule prasowym. Lotnik, bohater narodowy, pionier lotów długodystansowych, a do tego poeta, wywarł na niej ogromne wrażenie. Napisała do niego list – na adres francuskiej redakcji, gdzie publikował – a on odpisał. Odkryli w sobie bratnie dusze, pisali namiętne listy, spotkali się w Paryżu. Lilka miała nadzieję na długotrwały związek, ale romans szybko się skończył, może zresztą jednym z powodów było polityczne zaangażowanie kochanka, który działał przeciwko reżimowi w swoim kraju.

Szczęście w miłości zapewnił dopiero inny awiator?

Małżeństwo ze Stefanem Jasnorzewskim, nazywanym przez Kossaków Lotkiem, okazało się bardzo udane. W depeszy do rodziców napisał: „Znalazłem egzotyczny kwiat, którego nie opuszczę", i nie opuścił. Opiekował się żoną w chorobie, był z nią do ostatniej chwili.

Poezje Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – zrazu marginalizowane – zyskały na wartości dopiero po latach?

Ówcześni recenzenci pisali o jej wierszach okropne rzeczy, uważali je za bezwartościowe. Niemniej miała też grono wielbicieli, którzy ją podziwiali i wspierali, jak choćby koledzy skamandryci. Jan Lechoń określił ją mianem rusałki, Tadeusz Boy-Żeleński nazwał „polską Safoną", chwaliła Irena Krzywicka, wpływowa publicystka II Rzeczypospolitej... ale dla szerszej publiczności długo nie istniała.

Sztuki teatralne, choćby głośna u schyłku międzywojnia „Baba-Dziwo", okazały się mniej odporne na upływ czasu?

Uważam, że to twórczość poetycka Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej się mu oparła, co więcej – jest bardzo nowoczesna. Przywykliśmy określać ją mianem poetki miłości, i to oczywiście ma sens. Chociaż dla mnie Pawlikowska-Jasnorzewska jest przede wszystkim poetką przemijania. A wiem też, że młodzi ludzie widzą w niej poetkę depresji.

Z kręgu bohemy II RP wyróżniał ją wegetarianizm?

Okresowo była jaroszką, pewnie nie ona jedna, choć ta postawa należała w jej czasach do rzadkości. Napisała oskarżycielski wiersz pt. „Do mięsożerców", bardzo mocny. Wielu wegetarian mówi mi teraz, że jest on dla nich zaskakującym odkryciem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Małgorzata Czyńska *– pisarka, dziennikarka, kuratorka wystaw, z wykształcenia historyk sztuki. Autorka wywiadów z wybitnymi malarzami: Leonem Tarasewiczem „Nie opuszczam rąk" i Edwardem Dwurnikiem „Moje królestwo", a także biografii artystek: „Berezowska. Nagość dla wszystkich, „Tamara Łempicka. Tryumf życia", „Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy" oraz najnowszej „Zgiełk serca. Opowieść o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej".*

REKLAMA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl ada7bc27a8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Potwory istnieją

★★★★☆☆

REŻ. DAVID HENRIE
„UPIORNE WAKACJE" („MONSTER SUMMER")
USA 2024

wyst. Mason Thames, Mel Gibson, Lorraine Bracco

Błahy film za maleńkie pieniądze, ale trzeba zauważać takie okruchy normalności. Wszystko tu idzie pod prąd hollywoodzkim ideologicznym zaleceniom. Klimat jak z serialu „Stranger Things": wakacje w małym miasteczku, czworo dzieciaków na rowerach i zderzenie ze złem. Za czyją sprawą trafiło do miasteczka? Reżyser David Henrie (aktor, który grał syna Teda Mosby'ego w „Jak poznałem waszą matkę") świetnie czuje popkulturę i bawi się odniesieniami do klasyki: akcja rozgrywa się na wyspie Martha's Vineyard, tam, gdzie Spielberg kręcił „Szczęki". Dostajemy więc i scenę z zagrożeniem kryjącym się pod wodą, i postać naczelnego lokalnej gazety, który równie mocno dba o dobrą reputację wyspy, jak burmistrz Larry Vaughn w „Szczękach". U Spielberga lekceważono doniesienia o rekinie, u Henriego – o wiedźmie.

Jesteśmy więc w krainie trochę ze Stephena Kinga, trochę z Dana Simmonsa, akcja zresztą rozgrywa się w roku 1997. Tajemnicę próbuje rozwikłać marzący o karierze dziennikarza Noah (Mason Thames znany z „Czarnego telefonu" – będzie z niego gwiazda), któremu pomaga emerytowany gliniarz Carruthers, którego bezbłędnie gra Mel Gibson. Producent John Blanford mówił amerykańskiej Catholic News Agency, że pomysł był prosty: nakręcić rozrywkowy film dla całej rodziny, do wspólnego oglądania, trochę straszny, trochę zabawny. Dodam od siebie: staromodny. I to się udało. Reżyser David Henrie przypominał, że zło triumfuje, gdy dobrzy ludzie stoją bezczynnie. Jego film jest pochwałą przyjaźni, odwagi i cierpliwej, dobrej roboty.

Nie ma „silnych postaci kobiecych", są matki i córki, które potrzebują miłości i opieki swych synów i mężów. Znalazło się miejsce dla Różańca. Nie ma agendy LGBT, za to jeden z głównych zwrotów akcji doprowadzi jej zwolenników do szału. Życie napędza film: mieliśmy po aferze Weinsteina falę filmów ery #MeToo, z kolei „Upiorne wakacje" to moim zdaniem film ery afery Epsteina, podobnie jak głośny thriller „Sound of Freedom. Dźwięk wolności" o walce z siatką pedofilską. Henrie sięga po kostium horroru, ale jego przesłanie jest proste: zło istnieje. Potwory istnieją. Mają ludzką postać. Krzywdzą nasze dzieci. Trzeba się z nimi rozprawić. ©℗

GRA TYGODNIA: „KIRBY AND THE FORGOTTEN LAND" (NS2) + „STAR-CROSSED WORLD" ★★★★★☆

Udana platformówka w cukierkowej oprawie i ulepszonej dla Nintendo Switch 2 wersji. Wyższa rozdzielczość w 60 klatkach na sekundę robi swoje – gra prezentuje się lepiej. Niech w pakiecie tym nie umknie państwa uwadze dodatek, bo to bardzo przyjemne DLC, z ciekawymi poziomami i nieco podwyższonym poziomem trudności. Po położeniu dzieci do łóżek konsole do rąk mogą brać więc także rodzice. W trybie kooperacyjnym jedna osoba pełni jedynie rolę towarzysza, co starszych może nudzić, ale w zabawie z młodszymi graczami może się sprawdzić. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *zręcznościowe*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, dystrybutor:*** *HAL Laboratory; Nintendo, PL: ConQuest*

eprasa.pl ada7bc27a8

Sami w domu

KINO

Łatwiej uratować wieloryba, niż wzniecić na nowo małżeński płomień. Ivy, mistrzyni patelni, i Theo, ekstrawagancki architekt, byli jak dwie połówki jabłka. Potem jednak proza życia tudzież nieoczekiwana zamiana miejsc sprawiły, że się znienawidzili. Brzmi znajomo? Nic dziwnego: „Państwo Rose" to nowa wersja czarnej komedii z przełomowego dla chińskiej demokracji roku 1989. Pomijając zylion mało istotnych szczegółów, obrazek jest z grubsza ten sam. Jak dla mnie film z Kathleen Turner i Michaelem Douglasem zawsze będzie miał przewagę. Choćby dlatego, że był pierwszy, bardziej drapieżny i pojawił się w odpowiednim momencie. Podobno lekarze zalecali go jako odtrutkę na oderwane od rzeczywistości rom-comy.

Entuzjaści remake'u dostrzegają w nim psychologiczną głębię. Twierdzą, że pierwsza ekranizacja powieści Warrena Adlera emanowała uproszczeniami i fatalizmem. Po prawdzie film Jaya Roacha również nim grzeszy. Przyjmuje bowiem za pewnik, że główną przyczyną katastrof związków damsko-męskich jest brak równowagi, a na ołtarzu małżeńskiego szczęścia należy złożyć wszystkie osobiste ambicje. W przypadku państwa Rose kryzys wchodzi w fazę krytyczną, gdy ona bierze na siebie utrzymanie rodziny, natomiast on zostaje kurem domowym i musi cieszyć się jej zawodowym sukcesem. Zawistni znajomi życzą im wszystkiego najgorszego i nawet się z tym nie kryją. Dzieci, widząc, co się święci, biorą nogi za pas. Nakręca się spirala wzajemnych, uzasadnionych pretensji. Amerykanie w takiej sytuacji szukają ratunku u psychoanalityków, ale Ivy i Theo – brytyjscy do szpiku kości – łączą siły, by doprowadzić terapeutkę do kapitulacji. Spędziwszy więcej niż dekadę za wielką wodą, nie zatracili typowego dla wyspiarzy sardonicznego poczucia humoru. Przyznaję, w tym momencie zwątpiłem. Czy to możliwe, by ludzie tak inteligentni, zdolni do samokrytycyzmu z maniackim uporem zmierzali ku przepaści? Drugą rzeczą, którą można Roachowi i spółce wytknąć, jest gadulstwo. Owszem, dialogi są ostre jak brzytwa golibrody z londyńskiej Fleet Street, Colman i Cumberbatch plamy nie dali. W szkołach uczą jednak, że film powinien przemawiać przede wszystkim obrazem. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. JAY ROACH
„PAŃSTWO ROSE" („THE ROSES")
WIELKA BRYTANIA/USA 2025

wyst. Olivia Colman, Benedict Cumberbatch, Andy Samberg

PIGMALION I GALATEA

arte

Nietypowy odcinek cyklu o słynnych kochankach X muzy: prawie godzinę poświęcono parze tak dyskretnej, że jedynym śladem ich związku jest pięć wspólnych filmów. Dwa ostatnie powstały, gdy Monica Vitti i Michelangelo Antonioni byli już tylko przyjaciółmi (i sąsiadami). Muza uwolniła się od mentora intelektualisty, stając się etatową gwiazdą włoskich komedii. Wcześniej rzucili na kolana krytyków tzw. trylogią alienacji. Rodacy uwielbiali zabawniejsze wcielenie Moniki, lecz do historii kina przeszła jako neurotyczka z „Przygody", „Nocy" oraz „Zaćmienia". Gdyby się z Michałem Aniołem rozminęli, on nie zrobiłby wielkiej kariery. Ona zaś marnowałaby się w teatrze, w radiu i dubbingu, ponieważ natura obdarzyła ją orlim profilem i chrapliwym głosem, nijak niepasującymi do ówczesnych wyobrażeń o boginiach kina. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. SANDRA RUDE, BERTRAND TESSIER
„LEGENDARNE PARY KINA. MONICA VITTI I MICHELANGELO ANTONIONI"
FRANCJA 2018

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Sztuka spogląda z plakatu

Plakat przeszedł daleką drogę od marginalizowanego medium w zestawieniu z tzw. sztuką wysoką do docenianej dziedziny. A dokąd zmierza w dobie sztucznej inteligencji – to pytanie pozostaje na razie bez odpowiedzi.

Nie udziela go również wystawa „Plakat ≠ Papier", choć znalazło się także miejsce dla AI. Jeden z plakatów to wspólne dzieło sztucznej i prawdziwej inteligencji. Efekt pracy oprogramowania, które stworzyło obraz na podstawie tekstowego opisu przygotowanego przez kuratora wystawy, uzupełniła ilustratorka Milena Paniak.

Na wystawie w Pałacu Sztuki w Krakowie zgromadzono ponad 200 prac wybitnych polskich twórców plakatu. Są nazwiska dobrze znane oraz mniej rozpoznawalne, ale zasłużone. Prezentowane są nie tylko plakaty, lecz także sztuka użytkowa w postaci okładek winyli, książek, magazynów, znaków graficznych i opakowań. ©℗

FOT. PAŁAC SZTUKI W KRAKOWIE/FACEBOOK

GDZIE? ***Pałac Sztuki w Krakowie***
KIEDY? ***do 30 września***

eprasa.pl ada7bc27a8

MOJA PÓŁKA

Tramwaje dzwonią po śląsku

KRZYSZTOF MASŁOŃ

To się nazywa pójść za ciosem. Zbigniew Rokita, nagrodzony w 2021 r. Nike za „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku", po nabraniu oddechu w trakcie pisania „Odrzanii. Podróży po Ziemiach Odzyskanych" wsiadł w tramwaj, siódemkę, „najśląszczą z wszystkich śląskich linii" spajającą Katowice, Chorzów, Świętochłowice i Bytom w jedną aglomerację, formalnie nieistniejącą wprawdzie, ale śniącą się tym wszystkim, którzy postrzegają Śląsk jako pępek świata. Pod każdym względem innego.

W tym innym świecie, ukazanym przez Rokitę w jego najnowszej książce „Aglo. Banką po Śląsku", nic nie jest takie, jakie może się wydawać. Na przykład jeden z przystanków siódemki – Dworzec – znajduje się przy ulicy 3 Maja. Nazwa nie upamiętnia jednak konstytucji, a wybuch trzeciego powstania śląskiego w 1921 r. A autorowi przejeżdżającemu przez Chorzów-Batory ulicą Armii Krajowej przypomina się stary śląski dowcip:

– Gdzie służyłeś?

– W AK.

– W Armii Krajowej?

– Nie, w Afrika Korps.

„Nie śmieję się jednak – komentuje Zbigniew Rokita. – Przede wszystkim dlatego, że dowcip dobrze znam. A poza tym przodków miałem i w Wehrmachcie na Ostfroncie, i w partyzantce Armii Krajowej w lasach pod Radomskiem".

Żart ma rzeczywiście długą brodę. Ale jest celny. W końcu sam autor przyznaje: „Rzadko uświadamiamy sobie, że śląskie społeczeństwo było uwikłane w nazizm, a III Rzesza nie rodziła się jedynie w Norymberdze i Monachium, ale też w Ostropie i na Lipinach". I to jego przodkowie oklaskiwali doktora Goebbelsa przemawiającego do 50 tys. Ślązaków w Gliwicach, 500 metrów od jego rodzinnego domu. Deklaruje, że nie ma z Polską żadnych rachunków do wyrównania, ale już taka prof. Joanna Rostropowicz, której oddaje głos – jak najbardziej. To Poloki zabrali tej urodzonej w 1943 r. filolożce klasycznej rodzinny dom w Znieszowicach i skazali ją na śmierć głodową, przed którą uchroniły ją zakonnice. „Niech Pan nie mówi, że Ślązaków do Polski zrazili komuniści – przekonuje. – To zrobił polski naród. Ja nie oddzielam PRL od III Rzeczypospolitej. Poloki mają inną mentalność, inne wartości".

„– Pani się nigdy Polką nie czuła? – pyta autor.

– Ja, Polką? Nigdy i nigdy się nie poczuję".

Wykłada następnie: „My mamy myślenie niemieckie, a używamy polskich słów. My jesteśmy odrębnym narodem. Niemieckość jest zawarta w śląskości. My za długo byliśmy w niemieckim kręgu kulturowym, a ten krąg rozwinął się, bo stanął na barkach Imperium Rzymskiego. Polska droga była zupełnie inna. Ślązacy zyskali na kontaktach z Niemcami".

W przeciwieństwie do Poloków. Mnie, dajmy na to, ci sami Niemcy zabili stryja, a ojca zamknęli na pięć lat w oflagu, bo walczył z nimi we wrześniu 1939 r. Jak na Poloka przystało. Nawiasem mówiąc, urodzonego w Sosnowcu. Pewnie i dlatego nie uważam wcale, że Górny Śląsk i Zagłębie to świat nierozszczepialny. I że – jak głosi autor „Aglo. Banką po Śląsku" – „nie ma Aglomeracji bez Zagłębia". Bo nie ma żadnej Aglomeracji, choćby pod szyldem Silesii.

Ma Rokita szajbę na punkcie tramwajów, ma też na punkcie futbolu. Już kiedyś popełnił książkę „Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium", teraz więc cały rozdział poświęca Lukasowi Podolskiemu czy przywołuje dni wielkości Szombierek Bytom, z dumą akcentując, że temu mistrzowi Polski z 1980 r. (tak, tak) kibicowała Wisława Szymborska. I co z tego? Za Odrę Opole trzymał kciuki Jerzy Putrament, choć nie jestem pewny, czy kiedykolwiek widział na boisku piłkarzy ze stolicy polskiej piosenki. Na tej samej zasadzie od lat jestem fanem klubu Izolator Boguchwała. Pięknie się nazywa.

Zachwyca się pisarz śląskimi pomnikami, a szczególnie pustym cokołem na katowickim placu Wolności: „Za Cesarstwa Niemieckiego był to pomnik niemieckich cesarzy, za II Rzeczypospolitej – powstańców śląskich, za III Rzeszy – żołnierzy Wehrmachtu, a za PRL – żołnierzy sowieckich. Co jakiś reżim przychodził do Katowic, stawiał na placu Wolności swoich bohaterów. Sołdaci wytrzymali długo. Do 2014 r., ale od tego czasu najatrakcyjniejszy cokół w Aglomeracji stoi pusty. Katowiczanie posłuchali Stanisława Jerzego Leca, który w »Myślach nieuczesanych« radził: »Burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły. Zawsze mogą się przydać«".

Pokpiwa sobie Rokita z dekomunizacji, w ramach której „na Śląsku usuwano czasem realnych bohaterów, jak Ziętek czy Gierek". No, to, że towarzysz Sztygar mógł pozostać herosem dla takiej postaci jak Ferdynand Kiepski, jest zrozumiałe, ale że tymi samymi tropami podąża laureat Nagrody Nike i wzięty autor „Tygodnika Powszechnego", jest, co najmniej, zastanawiające.

A kwestię polskości Śląska kwituje pisarz pytaniem: „Jak wyglądałoby w 2000 czy 2010 r. [...] referendum w Słubicach czy Zgorzelcu? Czy słubiczanie lub zgorzelczanie woleliby przyłączyć się do Niemiec czy pozostać w Polsce?". ©℗

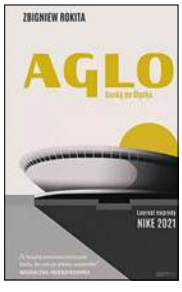

★★★☆☆☆

ZBIGNIEW ROKITA „AGLO. BANKĄ PO ŚLĄSKU" ZNAK, KRAKÓW 2025

eprasa.pl ada7bc27a8

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Swojska dekada

Tę opowieść o muzyce szalonej dekady polskiej transformacji (1990–2000) czytałem z uśmiechem i wzruszeniem, bo niemal każdy omawiany wykonawca, wspominany przebój czy płyta to kawałek mego dawnego radiowego życia. Tomasz Lada nagrał wypowiedzi rozmaitych bohaterów tamtych lat i z ich wspomnień skonstruował historię mówioną.

Dowiecie się więc, kto pierwszy przypomniał sobie, że jest taka dziewczyna jak Kayah, czemu żal zespołu Latawce, ile pieniędzy włożono w De Su, dlaczego nie do końca wypalił projekt pierwszego polskiego boysbandu Just 5, skąd bardziej popowe brzmienie płyty T.Love „I Love You", jak wyglądała histeria fanów wokół grupy Hey itd. Streścić się nie da, trzeba przeczytać, przenosząc się jednocześnie we wspomnieniach do czasów, gdy osobnicy gadający w radiu między piosenkami nie byli już „prezenterami" (jak głosiła nomenklatura Polskiego Radia), ale na miano „didżejów" też w pełni nie zasługiwali.

Książka o podtytule „Polski pop 1990–2000" jest kroniką potrójną: przemian biznesu muzycznego, narodzin komercyjnego radia w Polsce i oczywiście transformacji ustrojowej jako takiej. Choć dostaliśmy już kilka świetnych książek Rafała Księżyka (wypowiada się i u Lady), choć wciąż ukazują się biografie, wywiady rzeki i wspomnienia rozmaitych artystów, to historia ta nadal nie jest w pełni opowiedziana, co czyni tom „Wszystko jak leci" tym bardziej cennym. No i przede wszystkim czyta się to świetnie, nawet kiedy wiem, że niektórzy bohaterowie troszkę, hm… się wybielają albo nieco przeceniają własną rolę.

Jako pan, który przez całą opisywaną dekadę gadał między piosenkami w rozmaitych radiach, dopowiem jeszcze jedną rzecz, która czyniła tamte czasy wyjątkowymi. Nawet gdy było się szeregowym prezenterem/didżejem niezbyt wielkiego radia, to nie trzeba było się przebijać przez barierę dzielącą nas od gwiazd show-biznesu. Większość z nich znaliśmy osobiście, czasem spotykaliśmy się prywatnie i nie o suchym pysku, gdy potrzebny był gość w studiu, dzwoniło się po prostu do niego do domu: odbierała żona i dawała delikwenta do słuchawki. Dziś rzecz nie do wyobrażenia, bo wszystkim rządzą agenci, menedżerowie i specjaliści od PR, a i w radiu rozmowy muszą mieć podtytuł nie „o muzyce", tylko „z gwiazdami". ©℗

★★★★☆☆
TOMASZ LADA „WSZYSTKO JAK LECI" CZARNE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Życie codzienne NRD, komunistycznej części pobitych Niemiec. Opowieść intrygująca, bo także o instytucjach oraz relacjach z kapitalistycznym sąsiadem, czyli RFN – szpiegowanym i wykorzystywanym bezlitośnie.

KATJA HOYER „KRAJ ZA MUREM" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

„Niezwykła niedźwiedzica Wojska Polskiego": historia równie barwna jak opowieść o Wojtku z armii Andersa, ale wcześniejsza: od walk z bolszewikami pod Archangielskiem w 1918 r. do defilady w Warszawie w 1919 r.

TOMASZ SPECYAŁ „BAŚKA MURMAŃSKA" REPLIKA

Pisarz, krytyk, Inkling, przyjaciel C.S. Lewisa – Green był jedną z wielu barwnych postaci literatury brytyjskiej XX w. Jego książki opowiadające potoczystym stylem mity różnych kultur są nieustannie wznawiane.

ROGER LANCELYN GREEN „MITY I LEGENDY STAROŻYTNEGO EGIPTU" ZYSK I S-KA

Kolejny zbiór pod redakcją Piotra Kletowskiego. O Bondzie, Kenie Russellu oraz brytyjskich kryminałach oraz blok o włoskim kinie szoku. Plus rozważania o polskim kinie wojennym i narracjach postprawdy w kinie wojennym innych. ***Piotr Gociek***

AUTORZY RÓŻNI „EUROPEJSKIE KINO GATUNKÓW 5" WYDAWNICTWO UJ

KOMIKS TYGODNIA:
INNY SANDMAN

W Netflixie triumfy święci drugi sezon serialu na podstawie komiksów Neila Gaimana, w których Sandman jest jednym z bogów – władcą snów. Tymczasem „Teatr tajemnic" to powrót do klimatu oryginalnych opowieści o Sandmanie, Wesleyu Doddsie, walczącym z przestępcami w latach 30. XX w., dzierżąc w dłoni pistolet z gazem usypiającym. Trochę pastisz, trochę retro. ***Piotr Gociek***

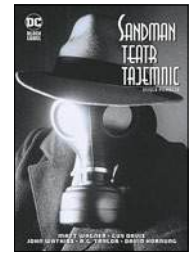

MATT WAGNER, STEVEN T. SEAGLE „SANDMAN. TEATR TAJEMNIC" EGMONT 2025

eprasa.pl ada7bc27a8

Bodnaryzacja polskiego prawa

Bartosz Lewandowski

Adam Bodnar brał czynny udział w odbywającej się od lat dyskusji, która miała przygotować grunt prawno-polityczny pod działania niezgodne z polskim ustawodawstwem oraz konstytucją.Celem było zabezpieczenie interesów formacji politycznej Donalda Tuska, a także zdławienie działalności partii opozycyjnych w ramach doktryny „demokracji walczącej"

Demokracja walcząca", „przywracanie praworządności", „sprawiedliwość okresu przejściowego". Te wyrażenia od grudnia 2023 r. są odmieniane przez rządzących przez wszystkie przypadki, znacznie chętniej w sytuacji kolejnego i jawnego złamania prawa w imię interesu rządzących. Warto zdawać sobie sprawę, że doktrynalne podstawy ich działania – wbrew wynikającej z art. 7 Konstytucji RP zasadzie legalizmu – nie wzięły się z kapelusza. Są wynikiem wieloletniej dyskusji w gronie prawników wspierających rząd Donalda Tuska, odbywającej się w publikacjach skierowanych do czytelnika zagranicznego, a które były finansowane m.in. przez instytucje niemieckie.

Wybór Adama Bodnara na stanowisko ministra sprawiedliwości w rządzie Tuska był oczywisty. Nie chodzi nawet o to, że były minister uzyskał bardzo dobry wynik w wyborach do Senatu czy że był wcześniej rzecznikiem praw obywatelskich, w sposób jednoznacznie opowiadającym się po jednej ze stron politycznego sporu. Dla premiera prawdziwą wartość Adama Bodnara stanowiło to, że brał on czynny udział w odbywającej się od lat dyskusji, która miała

eprasa.pl ada7bc27a8

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

przygotować grunt prawno-polityczny pod działania niezgodne z polskim ustawodawstwem oraz konstytucją, w celu zabezpieczenia interesów formacji politycznej Tuska, a także zdławienia partii opozycyjnych w ramach doktryny „demokracji walczącej". Dodatkową jego zaletą było to, że były prezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka faktycznie nie miał żadnych skrupułów w zaprzeczaniu samemu sobie jako prawnik na przestrzeni lat.

Aby zrozumieć działania Adama Bodnara, należy przypomnieć jego karierę zawodową. W roku 2000 przyszły minister sprawiedliwości ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, broniąc pracy na temat recepcji Europejskiej Konwencji Praw Człowieka do porządku prawnego Wspólnot Europejskich. Już rok później podjął studia podyplomowe LL.M. z konstytucyjnego prawa porównawczego na stworzonym w przez George'a Sorosa Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie – swoistej kuźni lewicowych prawników, która w 2018 r. ograniczyła działalność na Węgrzech i przeniosła się formalnie do Wiednia wskutek zmian prawnych dokonanych przez rząd Viktora Orbána. Wtedy w obronie uczelni publicznie głos zabierał m.in. prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier.

Adam Bodnar w ramach studiów na węgierskiej uczelni George'a Sorosa poznał swojego opiekuna i tutora wielu lewicowych prawników, prof. Andrása Sajó, będącego w latach 2008–2017 sędzią Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu i od lat popularyzującego koncepcję tzw. demokracji walczącej (militant democracy, streitbare Demokratie), swoistej konstrukcji polityczno-prawnej stworzonej w 1937 r. przez niemieckiego prawnika Karla Loewensteina, która zakładała możliwość podjęcia przez rząd „demokratyczny" wszelkich działań w celu obrony i zdławienia ruchów politycznych czy społecznych, które mogłyby wykorzystać instytucje demokratyczne do przejęcia władzy i „działań sprzecznych z demokracją". Jeden z prawników zaliczających się do zaplecza intelektualnego rządu Donalda Tuska, prof. Tomasz Koncewicz, zwracał uwagę, że chwalona przez niego militant democracy była przyjęta jako koncepcja w systemie konstytucyjnym powojennych Niemiec, a do jej przejawów zaliczał np. delegalizację ruchów i partii czy zakazywanie marszów oraz zgromadzeń, ubolewając zresztą, że przed 2015 r. w Polsce to nie nastąpiło (np. w przypadku Marszu Niepodległości). O roli Andrása Sajó w życiu Adama Bodnara niech świadczy nie tylko to, że obaj publikowali razem, lecz także to, że będący RPO Bodnar w 2019 r. odznaczył swojego mentora honorową odznaką „Za Zasługi dla Ochrony Praw Człowieka".

Przyszły prokurator generalny w roku 2006 obronił pracę doktorską pod kierunkiem ówczesnego sędziego Trybunału Konstytucyjnego prof. Mirosława Wyrzykowskiego na temat obywatelstwa wielopoziomowego w europejskiej przestrzeni konstytucyjnej. Wyrzykowski, będący zresztą późniejszym promotorem doktoratu byłego wiceministra sprawiedliwości Krzysztofa Śmiszka, miał także istotny wpływ na prace Adama Bodnara. Obaj panowie w późniejszym okresie wydawali wspólne publikacje naukowe, w tym poświęcone m.in. mowie nienawiści, prawnym aspektom marszów równości oraz orientacji seksualnej i tożsamości płciowej z punktu widzenia prawnego oraz społecznego.

ORIENTACJA LEWICOWA

Przegląd publikacji Adama Bodnara wskazuje na jego jednoznaczną orientację lewicową. W ówczesnym czasie publikował on na łamach m.in. „Krytyki Politycznej" czy „Gazety Wyborczej", ale również w wydawnictwach tropiącego i nagłaśniającego przypadki polskiego antysemityzmu Stowarzyszenia przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita" (w jego radzie programowej zasiada np. dr hab. Michał Bilewicz) czy Kampanii przeciwko Homofobii. Działalność naukowo-publicystyczna przyszłego ministra sprawiedliwości, a od 2006 r. adiunkta w Zakładzie Praw Człowieka WPiA UW, zaprowadziła go najpierw na stanowisko prezesa Fundacji Helsińskiej, a następnie do wyboru w roku 2015 na rzecznika praw obywatelskich.

Rola Adama Bodnara na stanowisku RPO jako osoby jednoczącej środowisko prawników krytycznych wobec reform prawicowego rządu wzrosła. W tym czasie rozwijał kontakty z prawnikami w Polsce (np. recenzentem jego monografii habilitacyjnej był prof. Sławomir Patyra – ten sam, który sporządził ministerialną opinię o możliwości „usunięcia" Dariusza Barskiego z funkcji prokuratora krajowego), także z tymi, z którymi wcześniej już publikował (np. prof. Ewą Łętowską czy późniejszą wiceminister w jego resorcie Marią Ejchart). Jako

eprasa.pl ada7bc27a8

rzecznik praw obywatelskich nawiązywał też relacje zagraniczne i brał udział w budowie doktrynalnych podstaw umożliwiających nie tylko uderzanie w polski rząd, lecz także uzasadnienie prawno-polityczne do działań zmierzających do natychmiastowego przejęcia wszystkich instytucji publicznych w państwie po zmianie władzy. To właśnie w gronie prawników krytycznych wobec rządów prawicowych w Polsce powstały pomysły zaangażowania TSUE w Luksemburgu oraz ETPC w Strasburgu, jak również innych organów UE i Rady Europy, do bieżącej walki politycznej. Jednocześnie wybór nowych sędziów do Trybunałów w Luksemburgu i Strasburgu był blokowany, aby nie doszło do obsadzenia ich przez prawnika zarekomendowanego przez stronę polską (prof. Marek Safjan zrezygnował długo po upływie jego kadencji w TSUE i już po zmianie władzy w 2023 r.). Ciekawostką jest to, że w komisji negatywnie opiniującej kandydatów z Polski na stanowisko sędziego TSUE zasiadał nie kto inny jak promotor Adama Bodnara, prof. Mirosław Wyrzykowski.

Właśnie w latach 2015–2023 w polskiej i zagranicznej prasie prawniczej ukazało się wiele artykułów, w których starano się znaleźć uzasadnienie dla zmian w Polsce oczekiwanych przez, wówczas opozycyjną, formację polityczną po zdobyciu władzy i reakcji na dokonywane reformy przyszłego rządu. Szczególnie wysiłki polskich prawników wspierały instytucje niemieckie.

„DEMOKRACI" VERSUS „FASZYŚCI"

Czołowym periodykiem wydawanym w formie elektronicznej jest Verfassungsblog (verfassungsblog.de, Blog Konstytucyjny) założony przez niemieckiego prawnika Maximiliana Steinbeisa i współtworzony przez Wissenschaftskolleg zu Berlin oraz państwowy Uniwersytet Humboldta w Berlinie. Sam Blog Konstytucyjny został nawet oficjalnie doceniony przez Komisję Europejską w 2020 r. jako kluczowy dla dyskusji o standardach praworządności w Europie. Teksty z Verfassungsblog były wykorzystywane także jako uzasadnienie orzeczeń polskiego Sądu Najwyższego, który np. wystąpił do TSUE z pytaniami prejudycjalnymi dotyczącymi statusu sędziów powołanych po 2017 r. w Polsce (postanowienie SN z 15 lipca 2020 r., sygn. akt II PO 3/20). Profil ideowy autorów tekstów na portalu jest jednoznaczny: liberalno-lewicowe siły polityczne to „demokraci", ci zaś, którzy się z nimi nie zgadzają to „populiści", „faszyści", „autokraci".

Teksty publikowane na blogu dotyczą prawa różnych krajów (w tym USA, Indii czy Niemiec), jednakże szczególną uwagę przykuwają te dotyczące Węgier i Polski, które przedstawiane są jako państwa wręcz autorytarne. Jeszcze w roku 2013 wspomniany wyżej Maximilian Steinbeis zachęcał czytelników do wypełnienia ankiety, w jaki sposób można na szczeblu unijnym i międzynarodowym ukarać Węgry za zmiany w konstytucji dokonane przez rząd Viktora Orbána. Zainteresowana tematyką Węgier i Polski prof. Kim Lane Scheppele – profesor socjologii i spraw międzynarodowych z Uniwersytetu Princton – w artykule z listopada 2022 r. nawoływała do niewypłacania funduszy unijnych państwom, które „naruszają zasady praworządności", podając jako przykład działania rządów w Budapeszcie i Warszawie. Amerykańska badaczka szczególnie dużo uwagi poświęciła Węgrom, które nazywa m.in. „państwem inwigilacyjnym". W 2021 r. – w związku z trwającymi już przygotowaniami do wyborów parlamentarnych w tym kraju – opublikowała artykuł o wiele mówiącym tytule: „Escaping Orbán's Constitutional Prison" („Ucieczka z konstytucyjnego więzienia Orbána"), w którym postawiła tezę, że chociaż, aby dokonać zmian w istotnych obszarach ustrojowych w państwie, należy zmienić konstytucję to nie trzeba się tym przyjmować, bo można oprzeć się na… prawie unijnym i międzynarodowym. „Dla węgierskich formalistów prawnych, którzy obawiają się naruszenia obowiązującego prawa węgierskiego w celu przywrócenia praworządności, przyjęcie prawa europejskiego stanowi sposób na wyjście z prawnego impasu, w którym znalazł się Orbán" – napisała badaczka.

W latach 2015–2023 wysiłki polskich prawników na rzecz zmiany politycznej w Polsce wspierały instytucje niemieckie

Na łamach Verfassungsblog publikowano teksty nie tylko samego Adama Bodnara (pisane wspólnie z samym redaktorem naczelnym), lecz także Wojciecha Sadurskiego, Andrása Sajó (np. na temat „walczących rządów prawa"), Mirosława Wyrzykowskiego, Martina Mycielskiego z Fundacji Otwarty Dialog i samego Lecha Wałęsy.

Lektura VB jest interesująca, pozwala bowiem nie tylko na prześledzenie tworzonych koncepcji w obronie działań rządu formacji określonej przez nią samą jako „demokraci", lecz także na zapoznanie się z nastrojami w tym środowisku. Całkiem niedawno – już po wyborach prezydenckich przegranych przez Rafała Trzaskowskiego – opublikowano tekst prof. Macieja Kisilowskiego z Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego George'a Sorosa oraz chętnie wypowiadającej się w mediach krytycznych wobec prawicy w Polsce prof. Anny Wojciuk (UW). W tekście zatytułowanym „A Constitutional Settlement Is Poland's Only Hope" („Porozumienie konstytucyjne jedyną nadzieją dla Polski") autorzy przedstawiają scenariusze po wygranej „ultrakonserwatysty" Karola Nawrockiego, który, w ich ocenie, nie pozwoli na przywrócenie „zdemolowanego" przez PiS i Andrzeja Dudę systemu konstytucyjnego w Polsce. Autorzy ubolewają nad tym, jednakże bardzo doceniają „demokratyczne" podejście rządu Donalda Tuska do sytuacji w Polsce. „Ważnym triumfem odnowy demokratycznej były wybory 1 czerwca, które ogólnie przebiegły w sposób wolny i uczciwy. Chociaż po obu stronach doszło do pewnych nieprawidłowości, a media pozostały spolaryzowane, to proces ten nie przypominał nadużyć obserwowanych za rządów PiS: nie było inwigilacji liderów opozycji przez Pegasusa, państwowe media nie pełniły funkcji orwellowskiej propagandy, nie doszło do bezczelnego wykorzystania przedsiębiorstw państwowych do finansowania kandydatów rządowych". Fragment ten kompletnie nie wspomina o raporcie OBWE, który

eprasa.pl ada7bc27a8

krytycznie oceniał przebieg wyborów w Polsce, podobnie jak pomija zupełnie nielegalne finansowanie z zagranicy kampanii Rafała Trzaskowskiego, jawne i rażące wsparcie jej przez media publiczne (np. debata w Końskich), wstrzymywanie pieniędzy kontrkandydatowi, a także angażowanie prokuratury i służb do prób zdyskwalifikowania Karola Nawrockiego.

PROJEKT PRZYSZŁOŚCI

Tuż przed wejściem przez Adama Bodnara do rządu wydana została jeszcze jedna ważna publikacja, której był współredaktorem, pod znamiennym tytułem „Transition 2.0. Re-establishing Constitutional Democracy in EU Member States" („Transformacja 2.0. Przywrócenie demokracji konstytucyjnej w państwach członkowskich UE"). Książka ukazała się nakładem niemieckiego wydawnictwa prawniczego Nomos Verlag z udziałem wydawniczym Towarzystwa Maxa Plancka, znanej i zamożnej instytucji naukowej finansowanej z budżetu Republiki Federalnej Niemiec. Jednym ze współredaktorów publikacji był zresztą prof. Armin von Bogdandy, dyrektor Instytutu Maxa Plancka zajmującego się porównawczym prawem publicznym oraz prawem międzynarodowym.

Na kartach ponad 600-stronnicowej pracy zbiorowej znalazły się artykuły prawników m.in. z Niemiec (w tym np. byłej wiceprezes ETPC Angeliki Nussberger na temat roli Komisji Weneckiej w „pilnowaniu" praworządności), USA (wspomniana wyżej Kim Lane Scheppele), Czech czy Polski (byłego sędziego TK, wspomnianego już parokrotnie prof. Mirosława Wyrzykowskiego, samego Adama Bodnara czy jego byłego zastępcy w biurze RPO i obecnie członka rady nadzorczej TVP w likwidacji prof. Macieja Taborowskiego). Płynący z publikacji przekaz jest dość czytelny. Zdaniem autorów kraje dawnego bloku wschodniego w ramach „transformacji 1.0" podniosły się z upadłych ustrojów postkomunistycznych i przyjęły system liberalnej demokracji konstytucyjnej. Zwieńczeniem tego było ich przystąpienie do Unii Europejskiej. Okres konserwatywnych rządów w niektórych państwach UE (tutaj mowa oczywiście o Polsce i Węgrzech) spowodował „upadek" systemów konstytucyjnych oraz działania sprzeczne z porządkiem międzynarodowym i unijnym. Autorzy we wstępie piszą: „Transition 2.0 to projekt dotyczący przyszłości. Jego głównym pytaniem jest następujące: załóżmy, że obecne rządy w tych państwach członkowskich zostaną pewnego dnia pokonane w wyborach na rzecz partii politycznych zorientowanych na demokrację i praworządność. Co i w jaki sposób nowy rząd może zrobić, aby przywrócić demokrację konstytucyjną, a także naprawić swoje członkostwo w Unii Europejskiej, przy jednoczesnym poszanowaniu wcześniej nałożonych europejskich i międzynarodowych ograniczeń dotyczących tego, jakie zmiany są dopuszczalne w ramach demokracji konstytucyjnej opartej na rządach prawa? […] W ostatnich latach, w kontekście regresu, prawo UE i inne zobowiązania międzynarodowe odgrywały głównie rolę ograniczeń dla niektórych rodzajów zmian systemowych. Mogą one jednak również stanowić narzędzia i pomoc w ułatwieniu powrotu do pełnej demokracji konstytucyjnej i przywrócenia członkostwa w UE".

W tekście autorstwa promotora doktoratu Adama Bodnara jest jawna zapowiedź konieczności dostosowania nauki prawa do wymogów polityki z założeniem, że konstytucja i ustawy będą łamane

Wstęp faktycznie oddaje treść artykułów, które dotyczą albo tego, w jaki sposób wykorzystywać prawo UE czy prawo międzynarodowe i instytucje unijne do zwalczania zmian prawnych w krajach rządzonych przez „populistów", albo kwestii dotyczącej tego, jak dokonywać przejęcia instytucji obsadzonych przez ludzi, którzy – zdaniem autorów – „demokratami" nie są. Warto odnotować tekst Mirosława Wyrzykowskiego pod dość jednoznacznym tytułem: „The constitutional trap" („Pułapka konstytucji"). Autor dostrzega problem „przywracania praworządności" w sytuacji, w której nowy rząd nie będzie miał możliwości dokonania zmian ustawowych w państwie. Powstaje wtedy problem z możliwą kwestią naruszenia konstytucji. Były sędzia TK, powołując się na publikacje m.in. Wojciecha Sadurskiego, z całkowitym zrozumieniem podchodzi do jego koncepcji całkowitego „wyzerowania" Trybunału Konstytucyjnego. Chwali także projekt Stowarzyszenia Iustitia, wedle którego należy dokonać weryfikacji powołań sędziów obejmujących urząd po 2018 r. Promotor rozprawy doktorskiej Adama Bodnara wskazuje: „Nadzwyczajna sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków. Mając pełną świadomość, że będą one precedensowe i będą wiązały się z wysokimi kosztami we wszystkich wymiarach. Należy uznać, że mamy do czynienia z nadzwyczajnym stanem niekonstytucyjności, a nadzwyczajna sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków. Wyższa lojalność wobec Konstytucji jest argumentem legitymizującym nadzwyczajne środki, również wtedy, gdy ich legalność może być kontrowersyjna […]. Ostatecznym rezultatem będzie jednak stworzenie nowej doktryny [sic! – przyp. B.L.], której częścią będzie założenie, że należy wybierać między mniejszym a większym złem. Nie ma nic za darmo. Jest to szczególnie prawdziwe, gdy widmo państwa autorytarnego stoi u progu twojego domu". To jawna zapowiedź konieczności dostosowania nauki prawa do wymogów polityki z założeniem, że konstytucja i ustawy będą łamane.

A co pisał późniejszy realizator koncepcji „demokracji walczącej" Adam Bodnar? W tekście „Polska po wyborach roku 2023: Transformacja 2.0 w sądownictwie" zasadniczo zapowiedział to, co później czynił, formułując m.in. postulat weryfikacji sędziów. Dość złowieszczo brzmią ostatnie akapity tekstu byłego prokuratora generalnego: „Ważne będą jednak również mechanizmy sprawiedliwości przejściowej. Bez nich nie uda się przywrócić zaufania do wymiaru sprawiedliwości, a osoby, które dopuściły się czynów sprzecznych z systemem konstytucyjnym, nie zostaną pociągnięte do odpowiedzialności". „Sprawiedliwość przejściowa" to przecież zwykła zapowiedź represji i łamania prawa!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem nauk prawnych, adwokatem.

eprasa.pl ada7bc27a8

Wojciech Golonka

Wschód jednoczy siły

Od lewej: Władimir Putin, Narendra Modi, Xi Jinping podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Tiencinie, 3 września 2025 r.

FOT. ALEXANDER KAZAKOV/ZUMA PRESS/FORUM

Manifestacje chińskiej potęgi politycznej trzeba zestawić z jawną rywalizacją prowadzoną w dość specyficzny sposób przez Stany Zjednoczone. Próbują one obecnie dokonać uporządkowanego strategicznego zwrotu, który mniej delikatnie nazwalibyśmy zwijaniem się wraz z minimalizowaniem strat

Początek września w polityce światowej niewątpliwe zdominowały Chiny, które zarówno na szczycie w Tiencinie, jak i na obchodach 80-lecia zwycięstwa w drugiej wojnie światowej w Pekinie pokazały się jako niekwestionowane mocarstwo popierane przez sieć krajów partnerskich, a zarazem je wspierające – z Rosją na czele. Podczas gdy w komentarzach wybrzmiewały wątki ekonomiczne i geopolityczne odpowiednie do niezwykle mocnego wizerunkowego przekazu tych wydarzeń, najbardziej znaczące, choć niedostrzeżone wypowiedzi padły po stronie Stanów Zjednoczonych. Zwiastują one możliwy zmierzch dominacji petrodolara.

Uśmiechnięte trio: Xi Jinping, Władimir Putin oraz Narendra Modi – taki właśnie obraz światowe media utrwaliły ze szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy, który odbył się w Tiencinie na przełomie sierpnia i września. Obraz ten świadczy o perspektywie zwartej ekonomicznej współpracy między Chinami, Rosją i Indiami, i to w kontekście wytężonych w ostatnim czasie amerykańskich prób zawrócenia rządu w Delhi z obranej drogi oraz poluzowania więzów strategicznych, już łączących Moskwę z Pekinem. I podobnie wybrzmiewa obraz innego tria – tym razem na obchodach chińskiej wiktorii w drugiej wojnie światowej wspólnie kroczący na czele pochodu politycznych liderów z regionu Xi Jinping, Władimir Putin oraz Kim Dzong Un. Ten obraz świadczy z kolei o perspektywie zacieśnionej współpracy wojskowej Chin, Rosji i Korei Północnej na rzecz wzajemnej obronności, nie mówiąc o spektakularnej przy tej okazji paradzie wojskowej, prezentującej liczne, młode, karne i profesjonalne wojsko z jego oszałamiającym arsenałem bojowym, wzbogaconym najnowszymi technologiami.

TRIO ROSJA-CHINY-INDIE

Ma się rozumieć, redukowanie obu wspominanych wydarzeń do tych dwóch symbolicznych zdjęć byłoby nieuzasadnione: założona w 2001 r. Szanghajska Organizacja Współpracy zrzesza 10 państw członkowskich, w tym także Kazachstan, Pakistan czy Iran, a w samym szczycie brały także udział państwa obserwatorzy oraz partnerzy dialogu. Szczyt ten więc w szerszym znaczeniu podkreślał rolę światowego mocarstwa, do której dojrzały Chiny, i był w ogóle okazją do wyartykułowania przez chińskiego przywódcę woli przebudowy porządku światowego w chwili, gdy Stany Zjednoczone wycofują się z różnych międzynarodowych organizacji. Xi Jinping zaprosił bowiem „wszystkie kraje do współpracy na rzecz bardziej sprawiedliwego i godziwego systemu globalnych rządów i budowania wspólnoty ze wspólną wizją przyszłości ludzkości". Jednocześnie wskazał on zasady funkcjonowania tegoż nowego systemu, wśród których są rzeczywiste uznanie suwerenności między równymi sobie krajami, konsekwentna współpraca w formie multilateralizmu, przestrzeganie prawa międzynarodowego, polityka na rzecz człowieka (zapewne powielająca „sukces" chińskiego modelu społecznego); zasady, które pod pięknymi hasłami oznaczają w rzeczywistości zastąpienie porządku światowego, w którym dotychczas hegemoniczną pozycję zajmowały USA, wielobiegunowym porządkiem kilku równouprawnionych mocarstw. Tyle na temat przesłania szczytu w Tiencinie. Z Pekinu zaś, przy okazji historycznych obchodów, wyszedł klarowny sygnał, że Chiny są w stanie obronić zbrojnie swoją mocarstwową pozycję w regionie, asekurując ewentualnie także swoich kluczowych partnerów.

Te manifestacje chińskiej potęgi politycznej trzeba oczywiście zestawić z jawną rywalizacją prowadzoną w dość specyficzny sposób przez Stany Zjednoczone, próbujące obecnie dokonać uporządkowanego strategicznego zwrotu, który mniej delikatnie nazwalibyśmy zwijaniem się wraz z minimalizowaniem strat. Że Stany Zjednoczone, niezdolne finansowo i wojskowo podtrzymać wcześniejszy status quo, już zaakceptowały powstający wielobiegunowy porządek światowy, to akurat fakt oficjalnie potwierdzony przez sekretarza stanu Marca Rubia. Natomiast jednymi z niewiadomych tego dokonującego się przetasowania są nadal rozgraniczenie poszczególnych stref wpływów (dominacji) i ich właściwa natura. To właśnie w ten szerszy proces wpisuje się redefinicja relacji handlowych USA z resztą świata, nastawiona na konsolidację i ponowne uprzemysłowienie amerykańskiej gospodarki przy jednoczesnym szerszym otwarciu poszczególnych rynków zbytu na owoce jej produkcji; redefinicja, która w przypadku kluczowych państw BRICS

eprasa.pl ada7bc27a8

utknęła na razie w martwym punkcie. Jeśli bowiem niedawny szczyt na Alasce – owoc wielomiesięcznych rozmów, a nie nagłej improwizacji – uzmysłowił, że same USA i Rosja są w stanie przystać na akceptowalne dla obu stron modus vivendi, to akurat na końcu drogi umożliwiającej ostateczne rozstrzygnięcie taryfowe z Chinami pozostały jeszcze dwa pokaźne filary BRICS, mianowicie Brazylia, a zwłaszcza Indie, które dotychczas ani po dobroci, ani tym bardziej pod presją nie chcą przystać na zadowalające USA warunki współpracy. Obraz zatem tych trzech zjednoczonych w Tiencinie przywódców (i to mimo niebłahych różnic interesów między Indiami a Chinami) to wyraźny sygnał, że żaden z tych krajów nie pozwoli tak po prostu na ekonomiczną kapitulację jednego z nich pod pręgierzem USA.

Dobrze odczytał to Donald Trump, który z goryczą skomentował to bratanie się Delhi i Moskwy z Pekinem (o których względy wcześniej zabiegał), ale jeszcze więcej między wierszami wyznał w wywiadzie dla telewizji Bloomberg jego sekretarz handlu, Howard Lutnick, komentując odmowę Indii (sic!) wystąpienia z BRICS (najwyraźniej był to element negocjacji między oba krajami): „Albo popiera się dolara, popiera się Stany Zjednoczone Ameryki, popiera się swego największego klienta, czyli amerykańskiego konsumenta, albo płaci się, myślę, 50 proc. ceł, i zobaczymy, ile to potrwa […]. Sądzę, że za miesiąc, dwa, Indie wrócą do stołu negocjacyjnego, okażą skruchę i spróbują zawrzeć porozumienie z Donaldem Trumpem". Spróbują albo i nie. Sam Trump podbił zresztą stawkę, sugerując – przy okazji kolacji w Białym Domu z przedstawicielami amerykańskich gigantów IT – możliwość nałożenia ceł na outsourcing usług IT i usług call center w Indiach. Jednakże wspomniany przez Lutnicka argument – Ameryka jest największym konsumentem dobór, więc dyktuje warunki – jest obosieczny. Wszak dostawcy istotnych dóbr mający praktycznie monopol, jak w przypadku duetu Indie-Chiny, również dyktują warunki. Stąd w tym zwarciu, aby okazało się ono skuteczne, trzeba pójść naprawdę na całego, i nie bez powodu równolegle amerykański sekretarz skarbu Scott Bessent zaproponował Unii Europejskiej, domagającej się od USA presji ekonomicznej na Rosję i Indie celem przymuszenia Rosji do pokoju na warunkach europejskich poprzez zduszenie jej gospodarki, wspólne pójście na wojnę celną względem Indii i Chin. Ma się rozumieć, jakakolwiek wojna celna między Chinami a Europą byłaby dla tej ostatniej gwoździem do trumny jej gospodarki już i tak ledwie dyszącej pod ciężarem niebotycznych cen energii i kosztów wszelakich nowych ładów, nie tylko tych zielonych.

Jaki byłby przy tym rzeczywisty skutek tej konfrontacji na warunkach USA? Czy Modi tak prędko okazałby skruchę, łamiąc wspólną linię obrony Rosja-Chiny-Indie? Czy taka wojna celna rzeczywiście doprowadziłaby do zawieszenia broni na Ukrainie na warunkach europejskich? A co, jeśli ci nieformalni monopoliści azjatyckiej produkcji z dnia na dzień wstrzymaliby dostawy dóbr poniekąd krytycznych dla zachodnich państw, w Europie i w Ameryce, na wzór tego, co zrobiono w czasie pandemii COVID-19? Kto dłużej wytrzymałby tę gospodarczo samobójczą próbę nerwów?

FILOZOFIA TRANSAKCYJNOŚCI

Akurat właśnie w trakcie tygodnia demonstracji siły chińskiej przecieki do prasy z wewnętrznych memoriałów Pentagonu mówiły o redukcji obecności militarnej w południowej Azji na rzecz bezpieczeństwa wewnętrznego Stanów Zjednoczonych i w jej bezpośrednim otoczeniu (jak w przypadku zwalczania ościennych karteli narkotykowych). Z nielicznych dobrych wieści podkreślmy zatem, że w całej tej konfrontacji ryzyko militarnego starcia na linii USA – Chiny zdaje się dziś znikome, mimo podnoszenia czasem przez komentatorów nieco na wyrost niebezpieczeństwa tzw. pułapki Tukidydesa. Chodzi o tezę, wedle której pojawienie się wschodzącego mocarstwa powoduje w sposób konieczny reakcję obronną dotychczasowego mocarstwa, w postaci agresji militarnej, jak w przypadku Sparty względem Aten. Brak jednakże tego zagrożenia nie oznacza, że Europa nie znalazła się w trudnej sytuacji.

Doświadczenie COVID-19 poszło zupełnie na marne: zamiast skupić się na odbudowie rodzimego, europejskiego przemysłu, UE powróciła do swych mrzonek i chimer

Nazywając rzeczy po imieniu, doświadczenie COVID-19 poszło zupełnie na marne: zamiast skupić się na odbudowie rodzimego, europejskiego przemysłu, celem odzyskania narzędzi, wprawdzie mających swoją cenę, jednakże zapewniających suwerenność gospodarczą, a przez to polityczną, Unia, na kierunku wewnętrznym, powróciła do swych klasycznych zielonych mrzonek i chimer, na zewnętrznym zaś – resztkami swych finansów włączyła się w konflikt na Ukrainie, wespół napędzając jego eskalację, bez realnego pomysłu na rzeczywiste zakończenie tej wojny. W chwili zatem, kiedy wraz ze zdrowym rozsądkiem filozofia transakcyjności powróciła do łask w Białym Domu, z powodów bezpieczeństwa naszego kontynentu i orientacji dotychczasowej polityki ukraińskiej zostaliśmy łatwo skłonieni do przyjęcia bez szemrania twardych warunków Waszyngtonu w ramach proponowanego porozumienia handlowego. Obecnie zaś, marząc o „sprawiedliwym" pokoju na Ukrainie, tj. na warunkach Paryża i Berlina, otrzymujemy jako Unia zaproszenie nie do odrzucenia w amerykańskiej krucjacie celnej, w której równie dobrze możemy być pionkiem do poświęcenia w chwili, gdy nasi senior partnerzy z USA wykuwają sobie nową pozycję, w nowym status quo, z prawdziwymi graczami doby obecnej.

Ameryka nie musiała być obecna w Pekinie – osłabiłoby to zresztą jej pozycję; Europa natomiast nie chciała być obecna w stolicy Chin i sama sobie tego zabroniła. Sprzeniewierzywszy ideał suwerenności narodowych, Unia bowiem dawno utraciła zmysł równoważenia i rozgrywania, słowem: balansowania, będący nieodzownym narzędziem utrzymania rzeczywistej niepodległości na wzburzonych wodach stosunków międzynarodowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Nawrocki śladem Piłsudskiego?

Lech Mażewski

Prezydent Karol Nawrocki powinien podążać śladem Piłsudskiego, ale nie z lat 1919–1920, a odwołując się do doświadczeń z początku lat 30. ubiegłego wieku

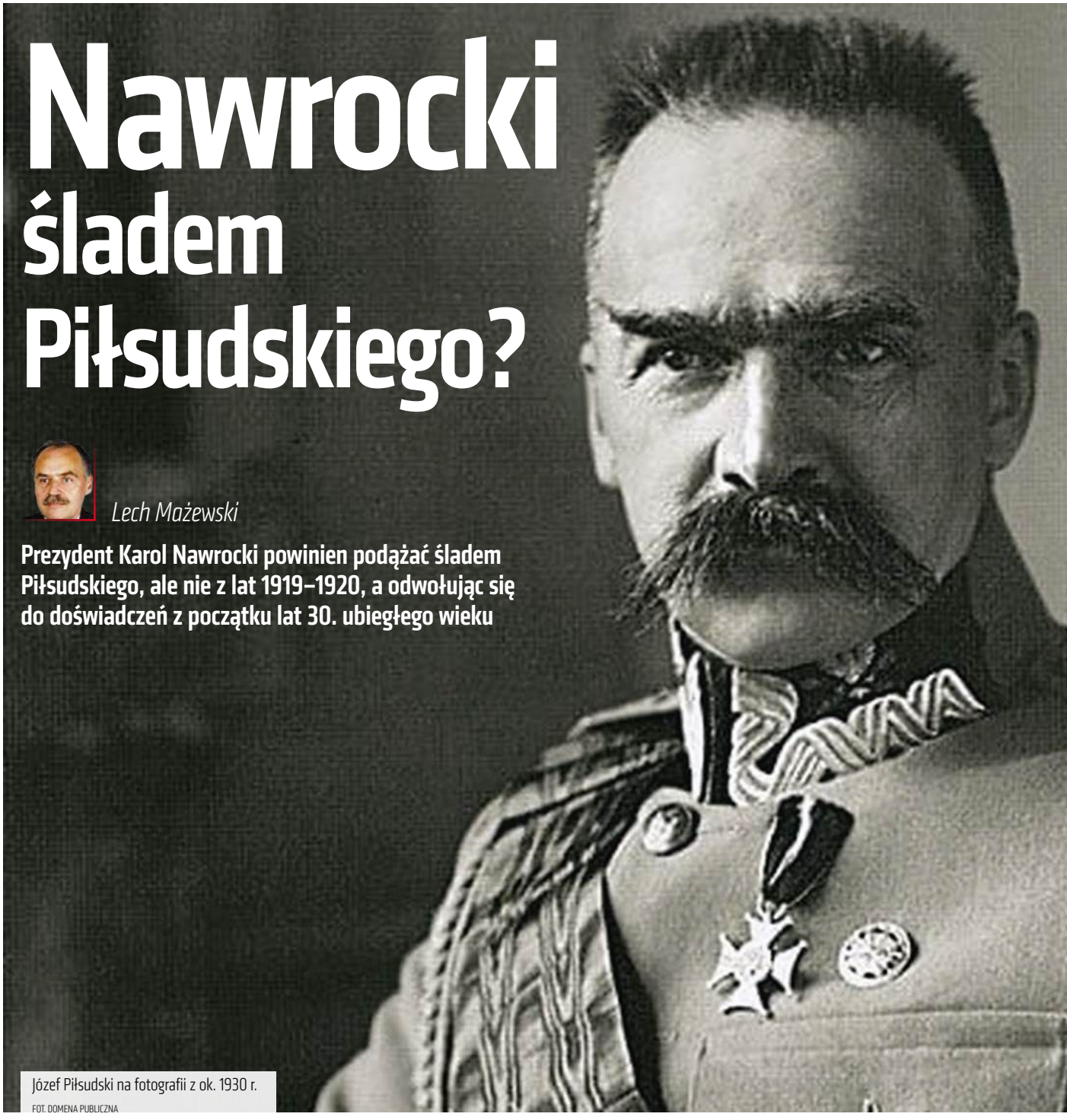

Józef Piłsudski na fotografii z ok. 1930 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Michał Krupa na łamach „Do Rzeczy" napisał, że dla prezydenta Karola Nawrockiego wzorem w polityce wschodniej mogłyby być działania dwóch prezydentów Stanów Zjednoczonych: Richarda Nixona oraz Ronalda Reagana, choć jedynie w drugim przypadku chodziło o stosunki amerykańsko-sowieckie. Jednak nowy prezydent nie musi sięgać do obcych wzorów, wystarczy skorzystać z doświadczenia marszałka Józefa Piłsudskiego, przystosowując je do aktualnej sytuacji.

Jedna rzecz musi być oczywista: w stosunkach z Moskwą nie potrzebujemy pośrednika, nie wolno nam popełnić błędu z okresu drugiej wojny światowej, kiedy zamiast bezpośrednio rozmawiać z generalissimusem Józefem Stalinem, rząd polski zdawał się na pośrednictwo premiera Winstona Churchilla. W efekcie żadne zaklęcia z „Deklaracji polskiej" Prawa i Sprawiedliwości o tym,

eprasa.pl ada7bc27a8

że militarny i gospodarczy sojusz z USA ma charakter „niezachwiany" (pkt 3), co sugerowałoby bezwarunkowe zdanie się na Waszyngton, nie mogą obowiązywać.

„JESTEŚMY POTĘGĄ, A WYŚCIE TRUPY"

Hrabia Michał Kossakowski, adiutant Piłsudskiego, zapytał go 13 listopada 1919 r., o co chodzi w polityce Polski wobec Wschodu. Usłyszaną odpowiedź zanotował w swoim dzienniku: „Zarówno bolszewikom, jak i Denikinowi jedno jest tylko do powiedzenia: »Jesteśmy potęgą, a wyście trupy«". Wódz Naczelny zauważył jeszcze: „Lekceważę, pogardzam wami". Autor dziennika był wstrząśnięty. Na gorąco pytał: „Czy można mieć program polityczny redukujący się do słów: »pogarda, lekceważenie«?". Stanowisko Piłsudskiego odnosiło się zarówno do bolszewików, jak i do ich różnej maści przeciwników, czyli w gruncie rzeczy do całej Rosji. Pewnym wyjątkiem, acz ze specyficznych powodów, jak się niedługo okaże, będzie Borys Sawinkow, w okresie rewolucji 1905 r. znany eserowski zamachowiec terrorysta.

Jakiś czas temu w swoim felietonie w „Do Rzeczy" Krzysztof Masłoń, omawiając książkę Antona Denikina „Biała armia", po zacytowaniu przytoczonej wypowiedzi Piłsudskiego z zachwytem stwierdził: „[…] mieliśmy kiedyś przywódców z prawdziwego zdarzenia". Zupełnie innego zdania w tej sprawie jest Jan Engelgard. W monografii „Rosyjski syndrom. Sprawa gen. Antona Denikina z perspektywy historycznej" słusznie podkreśla, że poza wszystkim cytowana wypowiedź miała zupełnie nierealistyczny charakter. Szybko to pokazały kolejne wydarzenia, czego dotąd nie chce przyjąć do wiadomości wielu Polaków.

ROK 1920

Wojna 1920 r. była oparta na próbie realizacji poglądu, który wyraził Piłsudski w rozmowie z Kossakowskim. Naczelny Wódz uzupełnił swoje stanowisko o przekonanie, że Polska ma taką siłę, aby z naddnieprzańskiej Ukrainy uczynić zależny od siebie czynnik polityczny o wektorze antysowieckim. W traktacie z 21 kwietnia 1920 r. zostały określone granice Ukraińskiej Republiki Ludowej, przy czym Kijów rezygnował na rzecz Polski z ziem Galicji Wschodniej ze Lwowem i z Wołynia. Ponadto na razie położenie polskich właścicieli ziemskich na Ukrainie miało być określone na podstawie porozumienia Rzeczypospolitej i URL. Do tego dołączono konwencję o współpracy wojskowej. Z przekonania, że Rosja jest trupem, Piłsudski wyciągał jeszcze wniosek, że w wyniku zwycięskiej wojny da jej się narzucić powolne Warszawie władze. Stąd poszukiwanie „trzeciej Rosji", o czym w swojej habilitacji szeroko pisał Andrzej Nowak. Wybór padł na Sawinkowa, który wówczas w swojej ojczyźnie nie miał praktycznie żadnego politycznego znaczenia. Ale może dlatego był dobrym kandydatem na kolejnego Dymitra Samozwańca.

W wojnie rozpoczętej na wiosnę 1920 r. byliśmy świadkami próby realizacji tych idei. W maju wojsko polskie wkroczyło do Kijowa, żeby wesprzeć sformowanie znaczącej siły zbrojnej Ukrainy, po czym obie armie miałyby przemieścić się do Bramy Smoleńskiej w celu pobicia wojsk sowieckich koncentrujących się tam pod dowództwem Michaiła Tuchaczewskiego. Z ochotniczego zaciągu nic nie wyszło, a zanim przystąpiono do poboru, wojska sowieckie przekroczyły Dniepr na północ od Kijowa i trzeba było pospiesznie opuszczać Ukrainę. Próba powstrzymania ofensywy sowieckiej w Bramie Smoleńskiej zakończyła się fiaskiem. Oznaczało to, że także doprowadzenie przez Polaków do osadzenia na Kremlu wiezionego w taborach Sawinkowa to kompletne mrzonki.

Efektem tych niepowodzeń było to, że na początku sierpnia 1920 r. rozpoczęła się dramatyczna bitwa o Warszawę i niepodległość Polski w ogóle – zakończona naszym sukcesem nad bolszewikami. A przecież nie o to chodziło w tej wojnie, ale o przebudowę Wschodu w sensie podjęcia dzieła pierwszych władców Litwy, którym u schyłku średniowiecza nie udało się zniszczyć Moskwy, zanim stała się potęgą.

Piłsudski nigdy więcej nie wracał do swoich planów z 1920 r., uznając je za zamkniętą kartę polskiej geopolityki. Mogło to wynikać ze świadomości zagrożenia związanego z ewentualnością obrony naszej niepodległości na ulicach stolicy; tym razem nie musiało się to zakończyć powodzeniem. Rosja nie okazała się trupem, natomiast truchłem była ówczesna Ukraina, która odmówiła walki z bolszewikami na polskich warunkach.

Nie ulega wątpliwości, że ambicje Piłsudskiego w niczym nie ustępowały polsko-litewskim zamierzeniom wobec Moskwy w 1610 r., a znaczyły bez porównania więcej niż wezwania środowiska Strategy and Future do przezwyciężenia skutków wojny północnej (1700–1721) i wypchnięcia Rosji z europejskiego systemu politycznego. We wszystkich tych przypadkach mamy do czynienia z przejawami polskiego imperializmu, czego nie ma powodu ukrywać czy się wstydzić. Za każdym razem skończyło się jednak tak samo: kompletnym niepowodzeniem, czemu w 1920 r. towarzyszyła groźba utraty niepodległości. Odnotować jednak należy, że Piłsudski był w stanie wyciągnąć wnioski ze swojej porażki, na co nie stać jego współczesnych następców.

POLSKO-SOWIECKI PAKT O NIEAGRESJI Z 1932 R.

Po porażce planów z 1920 r. w sprawie geopolitycznej przebudowy Wschodu dalsze istnienie niepodległego państwa polskiego powiązane zostało z ładem wypracowanym w trakcie wersalskiej konferencji pokojowej, kończącej pierwszą wojnę światową. Dopełnieniem nowego porządku europejskiego był pokój ryski z 18 marca 1921 r., który miał stabilizować sytuację na Wschodzie, bez zapewnienia dominacji Polski. Ład wersalski powstał z pominięciem udziału dwóch najsilniejszych państw europejskich, Niemiec i Rosji sowieckiej, co od początku stawiało pod znakiem zapytania trwałość nowego porządku. Na razie naturalnym sojusznikiem Warszawy stawał się Paryż, a to ze względu na wspólny interes w pohamowaniu ekspansji Niemiec i Rosji sowieckiej oraz utrzymaniu wersalskiego status quo.

Sojusz polsko-francuski zawarty został 19 lutego 1921 r., stając się na kilka najbliższych lat fundamentem polskiej niepodległości. Towarzyszyła temu podpisana dwa dni później tajna konwencja wojskowa, przewidująca wzajemną pomoc w przypadku agresji niemieckiej. Sojusz z 1921 r. od początku nie był wolny od oczywistych słabości. Francuskie koła wojskowe obawiały się

eprasa.pl ada7bc27a8

zawartego sojuszu z Warszawą, a nawet mu się sprzeciwiały, uważając Polskę za marny, jeśli nie wręcz ryzykowny substytut Rosji. Dlatego też nigdy nie doszło do stworzenia planów wspólnej akcji militarnej na wypadek wojny i dopiero w 1939 r. zaczęła się jakaś poważniejsza współpraca pomiędzy francuskim a polskim sztabem generalnym. Z wojskowego punktu widzenia sojusz był zatem sprawą zaledwie symboliczną.

W 1925 r. zawarto traktaty lokarneńskie, w ramach których międzynarodowe gwarancje dla granic Polski czy Czechosłowacji stawały się inne niż dla Francji. Traktaty lokarneńskie otwierały pośrednio kwestię wschodniej granicy Niemiec, a liczni politycy francuscy przyjęli do wiadomości, że granica polsko-niemiecka będzie mogła ostatecznie być zmieniona drogą pokojową.

Polska poniosła w Locarno oczywistą klęskę dyplomatyczną. Zakwestionowaniu zatem musiała ulec ślepo profrancuska linia naszej polityki zagranicznej. Piłsudski zauważył, że „każdy przyzwoity Polak spluwa, słysząc to słowo", i doprawdy trudno się z nim nie zgodzić. Zachodnia granica naszego państwa mogła być za moment naruszona przez Niemcy, i to z aprobatą naszego głównego sojusznika. Stąd trzeba było oprzeć niepodległość Polski na czymś więcej niż na tak szybko pękającym ładzie wersalskim.

Pierwszy był tu polsko-sowiecki pakt o nieagresji z 25 lipca 1932 r., w którym oba kraje uznawały traktat ryski za „podstawę" wzajemnych stosunków. Zobowiązywały się „do powstrzymania się od wszelkiego agresywnego działania bądź inwazji na terytorium drugiej strony" i do niezawierania żadnego porozumienia z krajami trzecimi, skierowanego przeciwko sobie nawzajem. W trakcie negocjacji pojawiła się ze strony Piłsudskiego sugestia co do nawiązania współpracy militarnej o ostrzu antyniemieckim, do czego jednak nie doszło. 5 maja 1934 r. pakt został przedłużony do 31 grudnia 1945 r., czego – jak wiadomo – Związek Sowiecki nie dotrzymał. W styczniu 1935 r. Piłsudski odpowiedział na propozycję Adolfa Hitlera przekazaną mu przez Hermanna Göringa w sprawie wspólnego marszu na Moskwę: „Polska jest zainteresowana pokojowymi stosunkami z ZSRR, z którym ma wspólną tysiąckilometrową granicę".

Zaraz po przejęciu przez Hitlera władzy w Berlinie doszło z inicjatywy Piłsudskiego do zbliżenia polsko-niemieckiego. Jego owocem było uzgodnienie 26 stycznia 1934 r. polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji. Nie ulegało wątpliwości, że deklaracja ta stanowiła spóźnioną odpowiedź Polski na politykę Paryża w Locarno. W 1925 r. Francja zabezpieczyła swoją granicę z Niemcami, nie oglądając się zbytnio na polskie interesy. Teraz Polakom udało się dokonać tego samego, bez kurateli Francji i – co zdawało się mieć jeszcze większe znaczenie – bez zwalniania jej z zobowiązań wobec Polski.

Piłsudskiego z okresu zawierania polsko-sowieckiego paktu o nieagresji. Wielokrotnie na łamach „Do Rzeczy" pisałem, że w tym przypadku chodzi o znalezienie właściwej formuły polskiej Ostpolitik, bez wychodzenia ze struktur Zachodu – głównie militarnych. Jeśli było to możliwe na początku lat 30., to dlaczego miałoby być to niemożliwe dziś? Akurat do tego mógłby posłużyć „niezachwiany" sojusz Warszawy z Waszyngtonem, który daje stosowny parasol dla takich działań. Z zachowaniem stosownych proporcji chodziłoby o naśladownictwo polityki prezydenta Donalda Trumpa wobec Rosji.

Po początkowych sukcesach armii ukraińskiej w toczącej się wojnie z Rosją mogło wydawać się, że to, czego nie udało się osiągnąć Polakom w 1920 r., jest na wyciągnięcie ręki. Od klęski Kijowa w letniej ofensywie w 2023 r. było to jednak złudzeniem. Nie pozostaje zatem nic innego, jak przejść do modelu polityki Piłsudskiego z okresu zawierania polsko-sowieckiego paktu o nieagresji

Polska uzyskała w pierwszej połowie lat 30. ubiegłego wieku dwa systemy zabezpieczające niepodległość. Do sojuszu polsko-francuskiego doszły dwustronne pakty o nieagresji ze Związkiem Sowieckim i Niemcami. Narodziła się w ten sposób polityka równowagi, której ocena nie jest przedmiotem tego szkicu. Piłsudskiemu nie przeszkadzało, że pakt o nieagresji z 1932 r. zawierany był z państwem, w którym właśnie trwał proces kolektywizacji wsi, w trakcie czego zamęczono miliony nie tylko ukraińskich chłopów. Znaczenie miał jedynie interes Polski, tym bardziej że w 1920 r. okazało się, iż Rosja sowiecka nie jest trupem.

PRZYKŁAD MARSZAŁKA

Po początkowych sukcesach armii ukraińskiej w toczącej się wojnie z Rosją mogło wydawać się, że to, czego nie udało się osiągnąć Polakom w 1920 r., jest na wyciągnięcie ręki. Od klęski Kijowa w letniej ofensywie w 2023 r. było to jednak złudzeniem. Nie pozostaje zatem nic innego, jak przejść do modelu polityki

Jest sprawą oczywistą, że w takiej sytuacji konieczne byłoby zignorowanie pkt 2 „Deklaracji polskiej" PiS, który głosi: „Żaden rząd ani teraz, ani nigdy w przyszłości nie będzie zawierał porozumień z postsowiecką Rosją, ukształtowaną przez antypolskie siły putinowskie". Nie mamy żadnej możliwości wpływania na to, jak będzie rządzić się Moskwa, o czym świetnie przekonał się Piłsudski. Trzymając się pkt 2, zdawalibyśmy się na pośrednictwo w stosunkach z Federacją Rosyjską ze strony USA, a to jedynie utwierdzałoby naszą marginalną pozycję w porządku międzynarodowym. Taki sam efekt odnieślibyśmy, słuchając bajdurzeń o konieczności akomodowania się do polityki dominujących państw w Unii Europejskiej. Zatem Nawrocki powinien podążać śladem Piłsudskiego, ale nie z lat 1919–1920, a odwołując się do doświadczeń z początku lat 30. ubiegłego wieku. Inaczej pozostanie na poziomie pensjonarki, która w mediach społecznościowych z przejęciem wypisuje: „Miłość nie kalkuluje". To naprawdę nie przystoi prezydentowi RP.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

UB-rabowania

Jednym z mniej znanych zagadnień dotyczących zdobywania władzy w Polsce przez komunistów są pospolite rabunki i grabieże, dokonywane przez funkcjonariuszy terroru: UB, MO, KBW itd. Wszelkim pacyfikacjom i obławom przeciwko „bandom reakcyjnego podziemia", czyli podziemiu niepodległościowemu, towarzyszyło drastyczne prześladowanie ludności cywilnej, w tym grabienie jej ze wszelkich dóbr. Pomniejsi funkcjonariusze brali to, co im w ręce wpadło: pościel, ubrania, obuwie, sprzęty kuchenne – słowem to, co miało dla nich wartość i było łatwe do wzięcia. Czerwona „arystokracja", czyli funkcjonariusze wyższych stopni, nie zadowalała się byle czym. Szukała przede wszystkim złota w każdej postaci: obrączek, krzyżyków, medalików, łańcuszków, pierścionków i papierowych dewiz (dolarów). Nikt z napadniętych nie chciał się dzielić z bandziorami dobrowolnie, każdorazowo zatem w grę wchodziło bicie, a nawet tortury.

Skąd o tym wiemy? Przede wszystkim z resortowych kar porządkowych. Na skutek donosów spośród własnych szeregów (a te były nagminne, ze względu na „niesprawiedliwy" według uczestników podział łupów) oraz podejrzeń przełożonych o nadmierne ich zdaniem wzbogacenie się i prowadzenie „hulaszczego trybu życia". Kary nie były jednak dotkliwe przez to, że musiały być tajne i ich stosowanie nie mogło się wymknąć spod kontroli i przedostać do tzw. opinii publicznej. Była to zatem konfiskata łupów na rzecz resortu, do tego stosowano grzywny i – co więcej – krótkookresowe zawieszanie w czynnościach, w postaci przymusowego urlopu (do miesiąca).

W tym stosowaniu swoistej sprawiedliwości nie chodziło o jakąkolwiek uczciwość i zwrot mienia obrabowanym. O tym mowy być nie mogło. Przyczyną był… brak rozliczeń z przełożonymi i z resortem, który przypisywał sobie prawo do własności zdobytej. Czasem funkcjonariusze byli biurokratyczni i sporządzali swoiste „protokoły konfiskaty", z dokładnym (lub częściowym) wyliczeniem zagarniętych łupów.

Oto przykładowy protokół sporządzony 11 marca 1947 r. przez rabusiów, w tym przez ppor. Mariana Kuchnię z PUBP Ryki (Lubelszczyzna). Bandyci podczas rewizji wzięli m.in.: ubranka dziecięce, makatki lniane, firanki, obrusy, lustro, zegar ścienny, kury, świnię, krowę, łóżko, szafę, krzesła, wiadro, miednicę, poduszki, pierzynę… Rabusie nie ujawnili jednak „zdobytych" precjozów, czyli chcieli oszukać swych pryncypałów, a to już było z ich punktu widzenia niedopuszczalne! Na to „władza ludowa", uczciwie pilnująca komunistycznej moralności, pozwolić nie mogła. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przywilej w Cerekwicy

Powołany w 1440 r. Związek Pruski od samego początku miał nastawienie antykrzyżackie. Do otwartego buntu doszło w pierwszych miesiącach 1454 r., a rebelianci nic nie zostawiali przypadkowi. Byli doskonale przygotowani i bez większych problemów udało się im opanować wszystkie zamki krzyżackie poza Malborkiem, Sztumem i Chojnicami. Nie ograniczano się wyłącznie do usunięcia zakonników z terenów warowni; twierdze w Toruniu, Gdańsku, Elblągu i Królewcu zostały zburzone do fundamentów. Naturalnym sojusznikiem była Polska i nawiązano kontakty z krakowskim dworem królewskim.

U króla Kazimierza Jagiellończyka pojawili się wysłannicy z Prus, którzy zostali życzliwie przyjęci i w tej sytuacji władca oficjalnie ogłosił wcielenie państwa zakonnego do Korony, a przy okazji nadał mieszkańcom Prus identyczne przywileje, jak te, które obowiązywały w Polsce. Zobowiązał się także do przestrzegania miejscowych praw i obyczajów, obiecując, że urzędy i stanowiska będą nadawane wyłącznie osobom pochodzącym z tamtych terenów.

Nasz kraj wypowiedział wojnę zakonowi i na wiosnę król wyruszył na północ. Jego podróż przypominała marsz triumfalny, przyjmował hołdy od poszczególnych miast, a tam, gdzie nie mógł dotrzeć osobiście, zastępowali go podwładni. Odziały Związku Pruskiego zdobyły przy okazji Sztum, pod władzą Krzyżaków pozostały już tylko Malbork i Chojnice.

Krzyżacy nie zamierzali jednak się poddać i zaciągali wojska najemne. W tej sytuacji Kazimierz powołał pod broń pospolite ruszenie. Armia maszerowała w kierunku oblężonych Chojnic, chcąc przeciąć drogę posiłkom zakonnym zmierzającym na Pomorze. Zanim jednak doszło do bitwy, w obozie wojskowym w Cerkwicy szlachta wymusiła na królu przywilej, grożąc, że w innym przypadku odmówi udziału w wojnie. Kazimierz nie miał wyboru i 15 września 1454 r. zgodził się na nienakładanie nowych podatków ani niepowoływanie pospolitego ruszenia bez zgody sejmików ziemskich, czyli regionalnych zjazdów szlachty.

Przywilej z Cerkwicy pozostaje w cieniu tragedii, do której doszło trzy dni później

Przywilej z Cerkwicy powtórzony później w Nieszawie nie ma dobrej opinii wśród historyków, gdyż pozostaje w cieniu tragedii, która wydarzyła się trzy dni później. Pod Chojnicami doszło do bitwy z wojskami krzyżackimi, a starcie zakończyło się klęską Polaków. Ale to już inna historia. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

Drezno w gruzach po bombardowaniu przez lotnictwo aliantów, luty 1945 r. FOT. ROB WELHAM/UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/UNIVERSAL IMAGES GROUP/FORUM

Granice wspólnej pamięci

Robert Bogdański

Czy mamy prawo udzielać zgody na zrównywanie upamiętnienia śmierci cywilnych ofiar naszych i niemieckich? I czy odwoływanie się do wiary i duchowości ma sens w sytuacji, gdy w grę wchodzą także interesy polityczne i finansowe?

Logika życia w pokoju sprawia, że tragiczne rocznice są upamiętniane wspólnie przez potomków dawnych wrogów. To zachowanie, naturalne we współczesnej Europie, wymaga jednak zastanowienia nad tym, czy wspólnota pamięci powinna mieć jakieś granice i od czego zależy ich ewentualne wyznaczenie. Potomkowie dawnych sprawców woleliby oczywiście, aby te granice zatarły się jak najmocniej, a potomkowie ofiar pozostają w pewnym skrępowaniu, nie chcąc kultywować podziałów, a jednocześnie odczuwając dyskomfort wobec całkowitej konwergencji pamięci, bo instynkt podpowiada im, że nie są jej wyłącznymi dysponentami. Oprócz tego mogą się obawiać wykorzystania ich dobrej woli.

Gdy podczas drugiej wojny światowej jeden z dowódców przekazał Winstonowi Churchillowi wiadomość, ile niemieckich okrętów zatonęło, premier Wielkiej Brytanii odpowiedział, że toną okręty alianckie, a łodzie wroga „są niszczone". Poczynił tym samym wyraźną dystynkcję między śmiercią wrogów a śmiercią swoich. Ćwierć wieku wcześniej żołnierze obu stron wojny, zwanej na Zachodzie Wielką, byli często chowani obok siebie, na tych samych cmentarzach, a pojęcie zbrodni wojennych dopiero zaczynało się kształtować. Koło historii uczyniło obrót. Kiedy patrzy się na narracje historyczne, które panują za naszą zachodnią granicą, można sądzić, że potomkowie tych, którzy wywołali wojnę, chętnie by widzieli zrównanie tego, jak odbieramy cierpienia ludzi po obu stronach frontu.

ZDUMIENIE NIEMCÓW

Czy sprawcy wojny mają prawo do upamiętniania swojego cierpienia? Czy mają do tego prawo ich bliscy? Od czasów Sofoklesa zgadzamy się, że zmarli zasługują na pochówek i pamięć. Na tym poziomie sporu nie ma. Problem zaczyna się, gdy zadamy pytanie: Jaka pamięć? Jakie miejsce w pamięci powinniśmy wspólnie przyznać ofiarom, które znalazły się po stronie sprawców wojny? Czy jednostkowe cierpienia, które niewątpliwie były udziałem wielu członków narodu, który wywołał wojnę, mogą zostać upamiętnione w sposób podobny do tego, jak to czynimy w przypadku ofiar pochodzących z tych narodów, które padły ofiarą agresji? Na ile my, jako potomkowie niewinnych ofiar wojny, mamy prawo udzielać zgody na upamiętnianie niemieckich cierpień? Co powinno być warunkiem takiej wielkoduszności? Czy nasza wiara powinna uchylać podobne dylematy i pozwalać tamtym ofiarom, aby stanęły w jednym rzędzie z naszymi ofiarami?

Trzeba przy tym zaznaczyć, że nie chodzi o ofiary, które przeciwstawiły się reżimowi Adolfa Hitlera. Chodzi o tych, którzy zginęli, bo była wojna. Wojna określona przez Josepha Goebbelsa mianem „wojny totalnej", która niespodziewanie okazała się totalna także dla sprawców. I zdumienie z tym związane trwa do czasów dzisiejszych. Mniej więcej dekadę temu oglądałem w norymberskim kościele św. Sebalda, który podobnie jak całe stare miasto został zniszczony amerykańskimi bombami, wystawę fotograficzną ukazującą benedyktyńskie dzieło odbudowy. Jedna z fotografii zrobiona tuż po nalocie, przedstawiająca szkielet kościoła i zwały gruzów – widok zwyczajny dla kogoś, kto urodził się w Polsce – opatrzona była podpisem, który cytuję z pamięci: „Kto mógł przypuszczać, że to się tak skończy". Zdumienie związane z tym, że wojna z całym swoim okrucieństwem i barbarzyństwem dotarła także do serca Niemiec, miało w sobie coś nieodparcie prostodusznego, a jednocześnie przerażającego.

Nie tylko jednak o domniemaną zgodę na upamiętnienie chodzi, lecz także o zgodę na użycie tego samego języka. Czy słowo „wyzwolenie" jest właściwe, gdy odnosi się je do przegranej wojny i wkroczenia wrogich oddziałów na terytorium własnego kraju, którego do końca broniła z ogromnym zaangażowaniem przytłaczająca większość jego obywateli?

eprasa.pl ada7bc27a8

Co więcej, ci obywatele jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny odnosili się wrogo do potomków tych nielicznych, którzy zaangażowali się w ten szczątkowy ruch oporu przeciwko Hitlerowi, symbolizowany przez Białą Różę i Krzyżową. Freya von Moltke, żona właściciela majątku Krzyżowa, straconego w styczniu 1945 r. za to, że ostrzegł przyjaciela, iż interesuje się nim gestapo, w latach 40. przeniosła się z Niemiec do RPA, nie mogąc znieść ostracyzmu wobec rodziny kojarzonej społecznie z kręgami, które przygotowały zamach na Hitlera. Jej syn, Caspar, wspomina, że nawet w Afryce, w niemieckojęzycznej szkole, koledzy traktowali go jako „syna zdrajcy".

Spoglądając na listę publikacji dotyczących Krzyżowej i Moltków, wolno przypuszczać, że swoją popularność, także w Niemczech, zawdzięczają oni temu, że właśnie w Krzyżowej spotkali się Tadeusz Mazowiecki i Helmut Kohl, dając tym samym impuls do utworzenia Domu Spotkań i podjęcia działań upamiętniających, w tym wydawniczych. Paradoksalnie więc środowisko, z którego Niemcy są obecnie tak dumni i które tak często przywołują w swoich politycznych wystąpieniach, zawdzięcza swoje upamiętnienie Polakom. A właściwie temu, że Krzyżowa została w przełomowym roku 1989 wybrana przez niemieckich dyplomatów na symbol pojednania z Polską.

Słowo „wyzwolenie" w odniesieniu do zakończenia drugiej wojny światowej zostało po raz pierwszy użyte przez prezydenta RFN Richarda von Weizsaeckera 8 maja 1985 r. Jego wystąpienie w większości dotyczyło niemieckiej winy i współpracy europejskiej, a kontrowersyjne słowo zostało użyte w odniesieniu do Niemiec tylko raz. Pozwoliło to odbiorcom oswoić się z takim jego zastosowaniem, które wcześniej raczej nikomu poza terytorium Niemiec nie przychodziło do głowy. Po czterech dekadach zyskało ono pełne prawo obywatelstwa, także w narracji historycznej. Przekonuje o tym choćby wizyta w Muzeum Miejskim w Dreźnie, gdzie opis sali z ekspozycją dotyczącą XX w. zawiera naturalne stwierdzenie, że miasto w 1945 r. zostało „wyzwolone".

W Dreźnie widoczne jest także zmaganie związane z upamiętnieniem ofiar. Na jednym z centralnych placów, Altmarkt, znajduje się dużych rozmiarów, ale niezwykle powściągliwy w formie pomnik przypominający o tym, że w tym miejscu dokonano spalenia kilku tysięcy ciał ofiar alianckiego nalotu z lutego 1945 r., który zniszczył centrum miasta i zabrał życie 25 tys. ludzi. Skala zniszczeń była na tyle duża, że władze uznały spalenie zwłok za jedyne wyjście. Nieuświadomiony widz może nie zauważyć pomnika, bo składają się nań wmontowane w podłoże szyny żelazne, formy nawiązujące do konstrukcji, na której palono zwłoki. Przeczytać można o tym na niewielkich rozmiarów słupku informacyjnym pośrodku placu. Jest to więc pomnik – i to niosący poruszające treści – jednak pomnik w pewnym sensie niewidoczny, nienarzucający się. Jakby miasto chciało opowiedzieć o ofiarach, ale bało się reakcji. Czyjej reakcji? Może potomków ofiar wojny po drugiej stronie frontu?

Nie należy dać się wykorzystywać przez tych, którzy chętnie mówią o sprawach wzniosłych, ale mają na myśli kwestie zgoła przyziemne

Bombardowanie Drezna było jednym z tych wydarzeń drugiej wojny, które przez wiele lat wywoływały gwałtowną dyskusję o charakterze moralnym. Najradykalniejsze głosy oskarżały aliantów o zbrodnie wojenne na niewinnej ludności. Najbardziej znaną postacią na Zachodzie, która formułowała te oskarżenia, był wzięty brytyjski pisarz historyczny, David Irving, jedyny bodaj człowiek uwięziony za negowanie Holokaustu. Oceniał on liczbę ofiar na kilkaset tysięcy, czyli o rząd wielkości wyżej niż dowiedziony. W całej swojej karierze Irving dążył do swego rodzaju symetrii: pomniejszenie zbrodni niemieckich, w tym negowanie istnienia komór gazowych oraz uczynienie z Hitlera męża stanu, było powiązane z przypisywaniem aliantom zbrodni wojennych. Negowanie Holokaustu czyniło zeń pariasa intelektualnego i oficjalnie był on potępiany, także przez oficjalne kręgi niemieckie, jednak logika jego myślenia była na rękę niemieckiej polityce. Była nieco podobna do logiki Rudolfa Hoessa, który to, że kierował obozem, w którym zabijano kobiety i dzieci w komorach gazowych, zrównywał z sytuacją moralną pilota bombardującego miasto. Hoess z żalem konstatował, że sędziowie w procesie norymberskim nie przychylili się do jego interpretacji, i został jako zbrodniarz wojenny wydany Polsce, jednak ślady tego sposobu myślenia są obecne do dziś. Po prawie pół wieku od jego egzekucji brytyjska królowa matka, odsłaniając pomnik dowódcy lotnictwa bombowego, sir Arthura Harrisa, została przyjęta buczeniem przez część zgromadzonych chcących wystąpić jako sprawiedliwi.

RUINY WARSZAWY A RUINY DREZNA

W żadnym systemie etycznym nie ma czegoś takiego, jak wina zbiorowa, więc w tym sensie te dziesiątki tysięcy ludzi, którzy zginęli w Dreźnie, to w większości niewinni cywile. Czy można jednak ich śmierć zrównać ze śmiercią ofiar bombardowań miast w Polsce czy Wielkiej Brytanii, jak to sugerują autorzy ekspozycji w drezdeńskim miejskim muzeum? W miejscu poświęconym bombardowaniu widz ogląda bowiem projekcję zmieniających się obrazów ruin Warszawy, Coventry, Rotterdamu i właśnie Drezna... To jasna sugestia, że w gruncie rzeczy nie ma tu różnicy.

Wracamy do postawionego na początku pytania: Czy mamy prawo udzielać zgody na zrównywanie upamiętnienia śmierci cywilnych ofiar naszych i niemieckich? I czy odwoływanie się do wiary i duchowości ma sens w sytuacji, gdy w grę wchodzą także interesy polityczne i finansowe? Bo trzeba pamiętać, że pojednanie po roku 1989 dokonało się zamiast zawarcia traktatu pokojowego, co ostatecznie – zdaniem RFN – pogrzebało sprawę reparacji. Jednając się w czasie Mszy w Krzyżowej w poruszającym geście przekazania pokoju, Tadeusz Mazowiecki reprezentował świat ducha – występował jako sprawiedliwy. Kanclerz Kohl korzystał ze wzniosłego gestu swojego partnera, ale reprezentował bez reszty świat polityki. W rozważaniach nad upamiętnianiem niedobrze jest lekceważyć ducha i sprawiedliwość. Jednak nie należy dać się wykorzystywać przez tych, którzy chętnie mówią o sprawach wzniosłych, ale mają na myśli kwestie zgoła przyziemne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Wokeizm po polsku

Filip Memches

Dla lewicy i liberałów Ukraińcy są jak imigranci z Afryki i Azji czy osoby homo- i transseksualne – to kolejna mniejszość, która „ubogaca kulturowo" siermiężne, etnicznie jednolite społeczeństwo polskie

FOT. ADOBE STOCK

Po wybuchu pełnoskalowej wojny za wschodnią granicą Polski w debacie publicznej nad Wisłą zadomowiły się osobliwe potworki językowe. Chodzi o wyrażenia „w Ukrainie" i „do Ukrainy". Były one wprawdzie używane już wcześniej, ale rozpowszechniły się na dobre dopiero po 24 lutego 2022 r.

Ewidentnie przyczyniły się do tego nastroje wśród Polaków wywołane napływem ukraińskich uchodźców. Ludzie, którzy masowo przybyli do Polski z kraju ogarniętego pożogą wojenną, spotkali się z gestami solidarności i współczucia ze strony społeczeństwa polskiego. Było to zjawisko, które można określić mianem „ukroentuzjazmu". I termin ten bynajmniej nie musi być odbierany jako coś pejoratywnego. Sama chęć udzielenia pomocy ukraińskim cywilnym ofiarom wojny – zwłaszcza kobietom i dzieciom – wynikała z zasługujących na szacunek szczerych, szlachetnych pobudek. Do tego doszło uzasadnione przekonanie, że Ukraińcy, broniąc swojej ojczyzny przed wojskami rosyjskimi, dzielnie powstrzymują agresywne zapędy Moskali, które stanowią zagrożenie dla Polski.

ZMIANA PRZYIMKÓW

Rzecz w tym, że ukroentuzjazm nabrał charakteru ideologicznego. A świadczy o tym również to, że wyrażenia „w Ukrainie" i „do Ukrainy" stały się przedmiotem sporów odzwierciedlających w istocie różnice światopoglądowe. Nieraz było tak, że gdy ktoś wskazywał, iż wyrażenia te brzmią pretensjonalnie, sztucznie, śmiesznie, otrzymywał odpowiedź, którą można streścić następująco: Ukraina jest suwerennym państwem, więc należy je traktować podmiotowo. Musi to mieć zatem swoje przełożenie również w języku polskim. Dlatego przyimek „na" trzeba zastąpić przyimkami „w" i „do", stosowanymi wobec innych krajów.

Łatwo jednak wykazać absurdalność tej argumentacji. Weźmy bowiem np. Węgry. To również jest suwerenne państwo. A jednak dziwnie brzmiałyby wyrażenia „we Węgrzech" i „do Węgier". Chyba że weźmiemy pod uwagę, iż Węgrami od roku 2010 rządzi Viktor Orbán. Ów polityk w oczach europejskich progresistów jest zamordystą i „ruską onucą". Tak więc państwo, na którego czele stoi, nie może uchodzić za suwerenne. Stanie się takie dopiero wtedy, gdy władzę w nim przejmą siły, którym polscy „demokraci" kibicują. I wówczas będzie już uzasadnienie, żeby używać wyrażeń „we Węgrzech" i „do Węgier".

Żarty jednak na bok. Wróćmy na polskie podwórko. Ukroentuzjazmem zaraziła się nawet Rada Języka Polskiego. Uznała bowiem oficjalnie wyrażenia „w Ukrainie" i „do Ukrainy" za formy zalecane (choć niewykluczające tych z użyciem przyimka „na"). Tym samym okazało się, że bardziej zadbała

eprasa.pl ada7bc27a8

o poprawność polityczną niż językową. Ale nie od dziś wiadomo, że nauki humanistyczne są polem ścierania się różnych dyskursów ideologicznych. Dotyczy to również językoznawstwa. Gdy Rada Języka Polskiego zaleca zastąpienie słowa „Murzyn" słowami „czarnoskóry" albo „Afrykanin", to mamy tu do czynienia z przejawem ideologicznej tresury Polaków. Opiera się ona na krytycznej teorii rasy, która zakłada, że wszelkie konflikty między białymi ludźmi a osobami negroidalnymi – bez względu na to, że dotyczą rozmaitych sytuacji – są pokłosiem systemowego rasizmu, stawiającego w uprzywilejowanej pozycji tę pierwszą grupę, a dyskryminującego tę drugą.

Ideologiczne podłoże ukroentuzjazmu stało się narzędziem środowisk lewicowych i liberalnych w ich atakach na to, co definiują jako polski nacjonalizm. Chodzi o bazowanie na wizji dziejów przedstawiającej stosunki polsko-ukraińskie w kategoriach wielowiekowego ucisku kolonialnego. Szkopuł w tym, że cechuje ją prezentystyczne i ahistoryczne podejście do problemu.

W kręgach lewicowych i liberalnych nie bierze się pod uwagę faktu, że naród ukraiński zaczął się kształtować dopiero w XIX w. Na wschodnich rubieżach I Rzeczypospolitej to nie Polacy wyzyskiwali Ukraińców, lecz szlachta (w wielu przypadkach ruska, czyli protoukraińska) pastwiła się nad chłopstwem. Były to zatem antagonizmy klasowe, a nie narodowe. Oczywiście inaczej już było w okresie międzywojennym. Wśród mniejszości ukraińskiej w Polsce uaktywnili się nacjonaliści, którzy – uciekając się również do terroru – podjęli walkę o niepodległe państwo ukraińskie. Jednocześnie władze sanacyjnej Polski przeprowadzały akcje antyukraińskie (m.in. wojsko i policja dewastowały świątynie unickie i prawosławne). Tymczasem nacjonaliści ukraińscy przygotowali podatny grunt pod mordy popełnione na Polakach podczas drugiej wojny światowej.

Dziejów relacji polsko-ukraińskich w II RP nie da się rozpatrywać wedle prostego schematu „oprawcy – ofiary". Środowiska lewicowe i liberalne usiłują jednak właśnie to robić. I z proukraińskości uczynili nie tyle postawę polityczną, ile moralną.

Co to oznacza? Kontekstem stosunku Polaków do Ukrainy jest polityka międzynarodowa. Poparcie dla państwa ukraińskiego powinno być warunkowane tym, czy pokrywa się ono z polskimi interesami narodowymi. Ale progresiści stawiają sprawę inaczej: proukraińskość jest opowiedzeniem się po stronie dobra przeciw złu, czyli Rosji. To oznacza, że każda krytyka pod adresem Ukrainy i Ukraińców – choćby i motywowana troską o polskie interesy narodowe – budzi podejrzenia. Nie wolno przecież podawać w wątpliwość dobra, ponieważ zyskać na tym może zło.

IDEOLOGICZNA FETYSZYZACJA „INNEGO"

Na gruncie zideologizowanego przez progresistów ukroentuzjazmu Ukraińcy są narodem wpisanym w figurę „Innego" – odmieńca, któremu należy się szczególne traktowanie. Kiedy ktoś twierdzi, że przybysze z Ukrainy są potrzebni polskiej gospodarce, bo w Polsce zaczyna brakować rąk do pracy, to formułuje opinię do merytorycznej dyskusji. Lewica i liberałowie idą jednak znacznie dalej. Popadają w istne kurioza: hołubią Ukraińców, upatrując w nich potomków ofiar rzekomego polskiego kolonializmu, ale nie tylko. Postrzegają ich jak imigrantów z Afryki i Azji (spośród których wielu wyznaje obcą Zachodowi religię – islam) czy osoby homo- i transseksualne, czyli jako kolejną mniejszość społeczną „ubogacającą kulturowo" siermiężne, etnicznie jednolite społeczeństwo polskie. A w takich mediach jak „Gazeta Wyborcza" czy Krytyka Polityczna ideologiczna fetyszyzacja Ukraińców jako „Innego" jest standardem.

Sztucznie brzmiące wyrażenia „w Ukrainie" i „do Ukrainy" stały się przedmiotem sporów odzwierciedlających w istocie różnice światopoglądowe

Wzory płyną zza Atlantyku. Kiedy wiosną 2022 r. ówczesny prezydent USA Joe Biden wygłaszał przemówienie na warszawskim placu Zamkowym, oznajmił wtedy, że wojna ukraińsko-rosyjska to starcie demokracji z autokracją. Tym samym nadał jej znamiona konfliktu moralnego i ideologicznego. A przecież główną stawką tej wojny nie jest demokracja na Ukrainie (skądinąd pojmowana bardziej jako wzniosłe hasło niż przyziemny konkret), lecz to, czy to państwo przetrwa, do którego geopolitycznego bloku będzie należeć i jaki zachowa kształt terytorialny.

Bidenowi poszedł w pewnym sensie w sukurs Timothy Snyder. W narracji zaserwowanej przez tego amerykańskiego historyka Ukraina stanowi siłę progresywną, która stawia opór konserwatywnemu agresorowi. W jednym ze swoich tekstów Snyder utożsamił ukraińskość z kolorową, radosną różnorodnością przeciwstawioną – jak można się domyślać – rosyjskiemu szaremu, ponuremu monolitowi. W oczach historyka do rangi istotnego politycznie faktu urosło to, że w wojskach ukraińskich służą jawni przedstawiciele mniejszości seksualnych.

Rodem z USA jest wspomniana wyżej krytyczna teoria rasy. Stała się ona jednym ze źródeł inspiracji dla lewicowej ideologii – wokeizmu. Jego zwolennicy tropią rozmaite akty niesprawiedliwości społecznej, lecz tylko te, o które da się oskarżyć białych „homofobicznych" samców. Wokeizm ma też swoją wersję polską. Wyrazem tego jest choćby kreślenie portretu antypatycznego Polaka katolika, który żywi uprzedzenia wobec sympatycznych grup mniejszościowych, w tym Ukraińców.

Trzeba jednak przyznać, że lewica i liberałowie, ideologizując ukroentuzjazm, nakręcają antagonizmy polsko-ukraińskie. Wpisywanie Ukraińców w figurę „Innego" przynosi efekt odwrotny do zamierzonego: zniechęca Polaków do nich i tym samym stanowi paliwo dla ukrofobii.

Ponadto pochylanie się nad Ukraińcami jak nad jakąś „queerową" subkulturą jest dla nich czymś po prostu obraźliwym. Paradoksalnie zatem trzeba ich bronić nie tylko przed ukrofobią, lecz także przed patologiczną polityczną namiętnością polskich orędowników multi kulti – tak jak Żydów przed obsesyjnym filosemityzmem. Traktujmy więc Ukraińców po prostu poważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Z profesorem instytutu dr. hab. Piotrem Szrekiem, paleontologiem z Państwowego Instytutu Geologicznego – Państwowego Instytutu Badawczego
rozmawia Łukasz Czarnecki

Kręgowce wyszły na ląd „w Polsce”

Profesor dr hab. Piotr Szrek podczas badań w terenie
FOT. PAŃSTWOWY INSTYTUT GEOLOGICZNY

eprasa.pl ada7bc27a8

ŁUKASZ CZARNECKI: Szanowny panie profesorze, w sierpniu tego roku do publicznej wiadomości została podana informacja o odnalezieniu przez kierowany przez pana zespół w Ujeździe w Górach Świętokrzyskich liczących sobie 400 mln lat śladów ryb dwudysznych, zostawionych przez nie w trakcie spaceru po ówczesnym wybrzeżu. Aby uświadomić naszym czytelnikom wagę tego znaleziska, musimy podkreślić, że tym samym odkryli państwo na terenie naszego kraju najstarszy na świecie zapis przemieszczania się kręgowców na lądzie. Co odkrycie to oznacza dla naszej wiedzy o ewolucji życia na Ziemi?

PROF. DR HAB. PIOTR SZREK: Mówiąc w dużym skrócie, wykazaliśmy, że ryby dwudyszne posiadły umiejętność poruszania się po lądzie, zanim tę zdolność osiągnęły tetrapody. Były zatem pierwszymi kręgowcami, które próbowały penetrować bliskie wodzie obszary wybrzeża, oraz że tę umiejętność zachowały do dziś. Pokazuje to, że ewolucja jest wielotorowa, a organizmy żywe przekraczają granice, które narzucają im ich anatomia i pozornie zdeterminowany tryb życia.

Jaka była reakcja międzynarodowego środowiska naukowego?

Pozytywna. Dostałem wiele gratulacji, które są owocem pracy całego zespołu. Najbardziej serdeczna była reakcja mojego kolegi ze Szwajcarii, który i mnie osobiście, i w wywiadzie dla „Science" opowiedział, jak wyglądała jego reakcja. Pierwsze informacje na temat śladów z Gór Świętokrzyskich przedstawiłem bowiem na sympozjum w Melbourne już w 2015 r. Reakcje były mieszane, nawet gdy rok później opublikowaliśmy pierwszy artykuł o śladach polowania ryb dwudysznych z Ujazdu. Dopiero w roku 2022, na sympozjum w hiszpańskiej Walencji, kiedy przedstawiłem zasadnicze tezy opublikowane teraz w „Scientific Reports", podszedł do mnie i powiedział, że sądził z początku, iż oszalałem, ale już mi wierzy. Nasze znaleziska faktycznie były niesamowite, ponieważ udokumentowaliśmy perfekcyjnie odciśnięte pyski ryb sprzed ponad 400 mln lat. I nie chodzi tu tylko (lub aż) o ich szczątki kostne, pozostawione po śmierci, lecz ich wygląd za życia, kiedy miały skórę, mięśnie i pozostawiły ślady swojego wyglądu jako żywe zwierzęta.

Zwierzęta, które zostawiły owe tropy, żyły w dewonie. Proszę przybliżyć naszym czytelnikom tę epokę, bo poza nielicznymi osobami interesującymi się geologią jej nazwa może przeciętnemu Polakowi nic nie mówić.

Dewon to okres w dziejach Ziemi trwający między 419 a 359 mln lat temu. Klimat w skali globalnej był znacznie cieplejszy niż obecnie i powierzchnia lądów była mniejsza. Układ kontynentów był zupełnie odmienny od tego, co widzimy dzisiaj. Mieliśmy wówczas do czynienia zasadniczo z dwiema dużymi masami kontynentalnymi: na południu z Gondwaną, a na północy Laurussją, składającymi się z obecnie znanych kontynentów. Z końcem dewonu obszar mórz i oceanów miał swój największy zasięg w historii fanerozoiku i objął niemal 85 proc. powierzchni planety. Był to bardzo ważny okres, zwłaszcza z punktu widzenia kolonizacji lądów przez organizmy żywe. Kolonizacja ta rozpoczęła się długo przed dewonem, lecz w dewonie zarysowały się kierunki rozwoju świata żywego, które w różny sposób realizowane były przez kolejne miliony lat, aż do dzisiaj. Z punktu widzenia naszej publikacji chodzi przede wszystkim o tetrapody, które w dewonie wyszły na ląd, ale które żyły obok innych kręgowców próbujących tego samego. Ostatecznie to tetrapody osiągnęły sukces, dając początek wszystkim współczesnym kręgowcom pierwotnie lądowym (żabom, dinozaurom, ptakom, ludziom, wielorybom, wężom itd.).

A jak wyglądał w tamtym czasie teren Polski, a zwłaszcza Gór Świętokrzyskich? Bo to nie jest przecież tak, że ślady zostawiła ryba dwudyszna, która niczym nierozważna turystka wspinająca się na Giewont w szpilkach stwierdziła nagle, że dobrym pomysłem po wyjściu z wody będzie odbycie wycieczki wysokogórskiej.

Obszar Gór Świętokrzyskich znajdował się na południowym skraju kontynentu Laurussji. Początkowo był tu ląd i z czasem stopniowo był zalewany, a z końcem tego okresu na tym terenie było już głębokie morze. We wczesnym dewonie był to obszar o charakterze przejściowym: płytkie morze, szerokie wybrzeże, liczne płycizny i wyspy porośnięte roślinnością, ujścia rzek. Zapewne znajdował się w strefie pływowej i na sporych powierzchniach morze rytmicznie zalewało i odsłaniało dno. Podobne warunki, choć w innym klimacie, są dzisiaj na wybrzeżach duńskich i holenderskich.

Czy na podstawie śladów z Ujazdu i Kopca da się wysnuć jakieś wnioski na temat wyglądu istoty odpowiedzialnej za ich powstanie?

Częściowo tak, i to dosłownie częściowo. Wiemy mianowicie, jak dokładnie wyglądał pysk sprawców naszych śladów, ponieważ został odciśnięty perfekcyjnie w dawnym błocie, które po milionach lat stało się twardym piaskowcem. Wypełniając taki odcisk silikonem, po jego związaniu można spojrzeć wręcz na pysk „żywej" ryby, z jej wyglądem za życia. Reszta szczegółów wyglądu ciała nie odcisnęła się tak dobrze, ale w przypadku ryb dwudysznych mamy do czynienia z dużym konserwatyzmem anatomicznym. Chodzi o to, że te zwierzęta bardzo nieznacznie zmieniły swój wygląd niemal od początku swojego istnienia na Ziemi. Przez to z dużym prawdopodobieństwem można odnieść wygląd współczesnych przedstawicieli do tych kopalnych. Dlatego też dwudyszne nazywane bywają „żywymi skamieniałościami". Znamy zresztą kompletnie zachowane szkielety tych zwierząt z górnego dewonu, a więc tylko o ok. 30 mln lat młodsze. W tym przypadku to bardzo niewiele.

Dla uniknięcia nieporozumienia warto podkreślić, że stworzenie, które zostawiło ślady, nie było naszym bezpośrednim przodkiem. Jakie miejsce istota ta i jej podobne zajmują na drzewie ewolucji? Bo kiedy ryby dwudyszne urządzały sobie wycieczki na ląd, mogły już – zdaje się – spotkać zasiedziałych tam krewniaków, od których pochodzimy my...

To prawda. W czasie, kiedy nasze ryby dwudyszne próbowały sił na lądzie, przodkowie tetrapodów, a więc i nas, z pewnością byli obecni w ekosystemach i mieli zapewne dużo lepsze przystosowania (preadaptacje) do czworonożności. Należy pamiętać, że tropy najstarszych tetrapodów znane są z utworów młodszych o ok. 10 mln lat z pobliskiego Zachełmia, a więc obie grupy zwierząt (przodkowie tetrapodów i ryby dwudyszne jako grupy siostrzane) żyły w tym czasie obok siebie. To jednak tetrapody i ich przodkowie okazali się lepiej przystosowani nie

eprasa.pl ada7bc27a8

tylko do przetrwania na lądzie, lecz także do jego trwałej kolonizacji, co nie udało się naszym wczesnym rybom dwudysznym.

A co właściwie skłoniło kręgowce do wyjścia z wody? Przecież do wodnego środowiska były doskonale przystosowane, a kolonizacja lądu wiązała się z masą problemów, nie mówiąc o tym, że gdy pierwsi pionierzy wypełzali na brzegi, musieli się liczyć z tym, że mogą ich zjeść olbrzymie skorpiony...

Z tymi skorpionami nie byłbym aż tak pesymistyczny. Faktycznie ląd był już bujnie zasiedlony zarówno przez rośliny, jak też bezkręgowce, w tym wielkie stawonogi, ale tych ostatnich nie było aż tak wiele, aby trwale broniły dostępu do tej przybrzeżnej twierdzy. W przypadku ryb dwudysznych zapewne chodziło o przedostawanie się do kolejnych zbiorników z wodą podczas odpływu. Chodzić mogło zarówno o przetrwanie – ryba do życia potrzebuje wody – a także o źródła pokarmu. Podczas odpływu w takich wielkich kałużach utyka wiele innych organizmów morskich, które były łatwą zdobyczą dla ryb dwudysznych.

Odkrycie, którego państwo dokonali, jest o tyle ciekawe, że po raz drugi wywraca pan profesor ze swoimi współpracownikami paleontologię do góry nogami. Piętnaście lat temu jako młody badacz w tym samym rejonie, tyle że w Zachełmiu, odkrył pan z dr. Grzegorzem Niedźwiedzkim (obecnie pracującym na Uniwersytecie Uppsali) ślady najstarszego w pełni lądowego zwierzęcia, liczące 390 mln lat, o wiele starsze niż wszystkie znane nauce skamieniałości form przejściowych między rybami a płazami, cofające datę wyjścia kręgowców z wody o miliony lat. Znaleźli się wówczas panowie na okładce prestiżowego magazynu „Nature", a dwóch francuskich paleontologów porównało to odkrycie do detonacji granatu. Jak czuje się pan profesor teraz, gdy po raz drugi odpalił tej miary „petardę"? Bo to wszak rzadko się chyba zdarza badaczowi, by w tak krótkim czasie dwukrotnie dokonać rewolucji w swojej dziedzinie.

Na tym polega praca paleontologa, więc nie uważam tego za coś wyjątkowego, lecz bardziej powinność. Ślady z Zachełmia, podobnie jak opisane teraz ślady z okolic Ujazdu, były odsłonięte przez długie lata i należało je odpowiednio zinterpretować. Na pewno jest duża satysfakcja, że to akurat nam udało się je zidentyfikować, a do tego nie wymagały „kosmicznych" technologii w ich badaniu. Gdy pierwszy raz prezentowałem domniemane ślady ryb z Ujazdu na sympozjum, miałem obawę, czy przypadkiem nie „popłynąłem" z ich interpretacją. Na koniec mojego wystąpienia, w czasie zadawania pytań, bardzo znany francuski profesor wstał i powiedział, że miał kiedyś rybę dwudyszną w akwarium w swoim gabinecie i obserwował ją przez długie lata. Widział, jakie ma możliwości i jakie akrobacje wykonywała, i oświadczył, że się ze mną zgadza i jest szczęśliwy, że „wyprowadziłem" te ryby na ląd. Kamień spadł mi wtedy z serca.

Porzucając epokę dewonu i przenosząc się do czwartorzędu, czyli do czasów obecnych. Zgodzi się pan profesor ze stwierdzeniem, że pierwsze dekady XXI w. to złoty okres w dziejach polskiej paleontologii? Co rusz na terenie naszego kraju dokonywane są sensacyjne odkrycia. O tych, do których przyłożył pan rękę, była już mowa, ale nie wyczerpują one tematu. W 2019 r. prof. Tomasz Sulej z Instytutu Paleobiologii PAN i pański dawny współpracownik dr Grzegorz Niedźwiedzki opublikowali opis lisowicii, olbrzymiego gada ssakokształtnego, którego skamieniałości znaleźli w Polsce, a który w świetle dotychczasowej wiedzy naukowej w ogóle nie powinien istnieć w czasach, w których występował, tj. w późnym triasie. Rok temu na okładkę „Nature" trafiły z kolei wyniki badań dr. Niedźwiedzkiego na temat ekspansji wczesnych dinozaurów. Jednym słowem, polscy paleontolodzy to światowa elita!

Liczące 400 mln lat ślady odkryte w Górach Świętokrzyskich zostawiły ryby dwudyszne FOT. PIOTR SZREK

Z pewnością obaj wymienieni moi koledzy to wybitne postacie, które mają w swoim dorobku wiele przełomowych prac naukowych. Są oni potwierdzeniem reguły, że polscy paleontolodzy od dawna zajmują liczącą się pozycję w światowej nauce, a polskie nazwiska od wielu dziesiątek lat są cytowane w kontekście najbardziej liczących się publikacji. Jeśli chodzi o badania kręgowców dewońskich, którymi aktualnie się zajmuję, to ich prekursorem był Julian Kulczycki, który działał w latach 50. i 60. ubiegłego wieku. Współpracował i prowadził dyskusję z pionierami obowiązującej obecnie nauki o wczesnych kręgowcach, współpracując z wymagającą tzw. szkołą sztokholmską w czasach, kiedy nie było to łatwe i oczywiste. Później mieliśmy i mamy wyjątkowe osobistości, które utwierdziły mocną pozycję polskiej paleontologii. Również wchodzące w naukę młodsze pokolenie daje pewność, że Polacy nadal będą się mocno liczyć na arenie międzynarodowej.

Powiem panu profesorowi, że bardzo drażni mnie, iż mimo tylu wspaniałych odkryć dokonywanych przez polskich łowców prehistorycznych zwierząt informacje na ich temat tak rzadko trafiają do mediów głównego nurtu. A przecież my, Polacy, powinniśmy być dumni z osiągnięć naszych paleontologów! Tymczasem zbyt często przechodzą one bez echa, podczas gdy w programach telewizyjnych i na portalach internetowych jeszcze niedawno bez końca trwały idiotyczne dyskusje o pierogach zjedzonych w stanie nieważkości przez Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego. Wydaje mi się, że coś jest w tej materii bardzo nie tak. Jak pan profesor myśli: z czego to wynika?

Media rządzą się swoimi regułami, więc nie mam prawa oczekiwać, że nagle wszystkie stacje zainteresują się moją pracą. Co ciekawe, najwięcej wywiadów udzieliłem dla czasopism i portali zagranicznych: francuskich, brytyjskich, niemieckich, jednak w Polsce również było o tym głośno i to cieszy niezależnie od skali.

eprasa.pl ada7bc27a8

Misja Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego to jedno z najdonioślejszych wydarzeń dla polskiej nauki, a jej efekty naukowe z pewnością będą długo procentowały, co jako Polaka napawa mnie dumą. Dyskusje o słynnych pierogach to jednak niestety wina mediów, które spłyciły prawdziwe znaczenie tego wydarzenia. Myślę, że podążono tutaj po linii najmniejszego oporu, gdyż podano informacje łatwe, żartobliwe, niewymagające przygotowania ze strony redakcyjnej, a rolą mediów powinno być przecież wyznaczanie kierunków tego zainteresowania, przekraczające mało ambitny poziom sensacji.

Na koniec jeszcze pytanie łączące dewon i współczesność. Czy sądzi pan profesor, że ślady owych „pełzających pionierów" mogą zostać wykorzystane do zwiększenia turystycznej atrakcyjności rejonu? Musi pan wiedzieć, że próba skomercjalizowania waszego odkrycia została podjęta już kilka dni po jego ogłoszeniu i wyszła groteskowo. 12 sierpnia pewien kielecki hotel na Facebooku opublikował reklamę z hasłem „Świętokrzyskie – tu pierwszy krok zmienił wszystko". Przy czym ludzie odpowiedzialni za marketing nie podjęli chyba nawet próby doczytania jakichkolwiek szczegółów i napisali o odkrytych w Ujeździe śladach sprzed… 360 mln lat (myląc się – bagatela – o 40 mln lat) oraz ozdobili reklamę wizerunkiem stworzenia, które wyglądało jak łysy borsuk z głową żaby. Jednym słowem pomysł na ciekawą kampanię marketingową przerodził się w pokaz ignorancji.

Odkrycie na pewno może być bardzo ciekawym dodatkiem do bogatej oferty atrakcji turystycznych gminy Iwaniska i całego regionu świętokrzyskiego, na którego terenie znajdują się Ujazd i Kopiec. Już teraz jest to jedna z większych atrakcji turystycznych, przez zamek Krzyżtopór, znajdujący się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jest tam również rekonstrukcja osady neolitycznej, z ciekawym programem zwiedzania, a poza tym po prostu ładne świętokrzyskie krajobrazy. Dodanie do tego pierwiastka najodleglejszej historii z pewnością będzie taką wisienką na torcie. Jeśli władze samorządowe będą chciały pójść w tym kierunku, to jako pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego wesprę to całą swoją wiedzą i doświadczeniem. Na pewno będę się dzielił szczegółami opisanymi w artykule z przewodnikami PTTK, z którym współpracuję od lat i które co jakiś czas zaprasza mnie do opowiedzenia o nowościach paleontologicznych z Polski. To świetna metoda upowszechniania tego, co robią paleontolodzy, gdyż przewodnicy to doskonale przygotowane, wszechstronne osoby, przekazujące wiedzę tysiącom turystów. Jeśli chodzi o inne wspomniane formy promocji, to nie będę ich komentować, gdyż nie uczestniczyłem w takim sposobie popularyzowania znaczenia naukowego naszych znalezisk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor instytutu dr hab. Piotr Szrek – absolwent Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w roku 2010 uzyskał doktorat. Habilitację otrzymał w 2021 r. w Państwowym Instytutcie Geologicznym-PIB. Od 2009 r. jest związany z Państwowym Instytutem Geologicznym – Państwowym Instytutem Badawczym, gdzie pełnił funkcje kierownicze i jest profesorem instytutu. Specjalizuje się w paleontologii kręgowców, będąc autorem ponad 100 publikacji naukowych. Jego osiągnięcia zostały uhonorowane wieloma nagrodami, w tym nagrodą specjalną Prezesa Rady Ministrów i odznaczeniem Zasłużony dla Polskiej Geologii.

REKLAMA

Wybaczyć, czego nie można zapomnieć

I ja, i ty możemy wybaczyć, nawet jeśli relacja z tą osobą, która nas zraniła, nigdy nie zostanie odnowiona. To niesamowicie wyzwalające – wybaczyć i nie czekać, aż inni będą chcieli i byli gotowi o tym wszystkim rozmawiać. Przebaczenie nie zawsze wiąże się z jakimś działaniem wobec drugiej strony relacji; polega raczej na byciu posłusznym temu, co poleca nam zrobić Bóg. Ci, którzy najpełniej współpracują z przebaczeniem, najbardziej cieszą się pięknem, jakie ono ze sobą niesie.

LYSE TERKEURST

w drodze

wdrodze.pl
sprzedaz@wdrodze.pl
tel. +48 : 61 850 47 52

eprasa.pl ada7bc27a8

Paryż na kolanach

Jacek Przybylski

Francja, która w ciągu ostatnich lat stała się chorym człowiekiem Europy, może spowolnić europejską gospodarkę i zatrząść całą strefą euro. Fatalny stan republiki sprawia, że w ciągu zaledwie dwóch ostatnich lat prezydent Emmanuel Macron musiał powołać już pięciu szefów rządu

François Bayrou – 74-letni polityk, który od grudnia 2024 r. pełnił funkcję premiera Francji – dołączył w zeszły wtorek do coraz mniej elitarnego klubu… byłych szefów rządu w Paryżu. Trzeba uczciwie przyznać, że nie miał łatwego zadania. Przedterminowe wybory parlamentarne, które odbyły się latem 2024 r., nie wyłoniły bowiem wyraźnego zwycięzcy. Bayrou stał więc na czele drugiego rządu mniejszościowego, który został powołany przez prezydenta Macrona i czwartego rządu w ciągu zaledwie dwóch lat…

BŁĘDNE KOŁO

– Każdego roku wydawaliśmy dużo więcej, niż mieliśmy – zauważył przed poniedziałkowym głosowaniem o wotum zaufania François Bayrou, tłumacząc, że były ku temu konkretne powody, jak kryzys gospodarczy, pandemia COVID-19, wojna na Ukrainie, kryzys energetyczny, problemy z wysoką inflacją oraz „różnego rodzaju zagrożenia". – Jeśli nadal będziemy jednak wydawać więcej, niż mamy, to nigdy nie wrócimy na właściwe tory. Trzeba działać, a nie czekać! – apelował Bayrou. – Żyjemy na kredyt! Działamy od pożyczki do pożyczki – ostrzegał szef rządu w Paryżu, zauważając, że Francja od ponad pół wieku nie miała zrównoważonego budżetu, i przekonując, że niezależnie od tego, kto będzie premierem, to „rzeczywistość pozostanie nieubłagana – nadal rosnąć będą wydatki, a ciężar zadłużenia, już nieznośny, będzie coraz większy i coraz kosztowniejszy".

Podczas 40-minutowej przemowy próbował przekonać polityków zasiadających w Zgromadzeniu Narodowym do tego, że Francja naprawdę stoi nad finansową przepaścią i jedynym sposobem na naprawę finansów publicznych są bolesne oszczędności. W przedstawionym w lipcu parlamentarzystom projekcie budżetu na rok 2026 Bayrou postulował cięcia o wartości niemal 44 mld (!) euro. Zakładane „reformy" fiskalne miały sprawić, że deficyt budżetowy wyniósłby w tym roku 5,4 proc. PKB, a w przyszłym roku spadłby do 4,6 proc. PKB. Premier bezskutecznie toczył jednak negocjacje,

eprasa.pl ada7bc27a8

10 września we Francji odbyły się protesty zorganizowane pod hasłem: „Blokujmy wszystko!". Aresztowanych zostało niemal pół tysiąca osób

FOT. KIRAN RIDLEY/GETTY IMAGES

które miały pozyskać sojuszników do zaciskania pasa.

Podobnie jak w Polsce – gdzie dług publiczny rośnie najszybciej spośród krajów Unii Europejskiej – również we Francji argumenty odwołujące się do zdrowego rozsądku polityków i nawołujące do trzeźwej oceny rzeczywistości spływały po parlamentarnej większości jak woda po kaczce. Na nic zdały się też wcześniejsze ostrzeżenia ministra finansów Erica Lombarda, który straszył wizją koniecznej we Francji interwencji Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW). I nie jest to wcale taki nieprawdopodobny scenariusz. Bez cięć w wydatkach Francja może być bowiem po prostu zmuszona do skorzystania z mocy MFW.

Ostatecznie zamiast cięć parlamentarzyści, stosunkiem głosów 364 do 194, przegłosowali w zeszły poniedziałek wotum nieufności dla premiera, który kolejnego dnia formalnie podał się do dymisji. Nie było to zapewne dla nikogo szczególnym zaskoczeniem, łącznie z odwołanym premierem Bayrou, wciąż urzędującym prezydentem Francji Emmanuelem Macronem oraz nowym premierem, który został powołany zaledwie kilka godzin po dymisji odchodzącego szefa rządu. Jednocześnie trzeba przyznać, że Macron wyrobił się w poszukiwaniu nowych premierów. Sébastien Lecornu otrzymał nominację zaledwie kilka godzin po dymisji Bayrou. Wcześniej na znalezienie Bayrou prezydent potrzebował dziewięć dni, podczas gdy jego poprzednika Michela Barniera Macron nominował dopiero po dwóch miesiącach rozmów i poszukiwań (nie bardzo się to opłaciło, bo Barnier odszedł zaledwie po trzech miesiącach rządów, a więc sprawował swoją funkcję najkrócej w historii powojennej V Republiki Francuskiej).

Nowy premier Francji to 39-letni Sébastien Lecornu. Przez ostatnie trzy lata pełnił funkcję ministra sił zbrojnych Francji, to jedyny minister, który pozostał w rządzie od czasu wyboru prezydenta w 2017 r. To również zawodowy polityk, który swą karierę rozpoczął jako nastolatek w młodzieżówce UMP (Unia na rzecz Ruchu Ludowego). Już jako 22-latek został doradcą w ministerstwie do spraw europejskich (wówczas najmłodszym w historii Francji), a w 2014 r. był krótko burmistrzem Vernon. Studiował nauki społeczne i prawo. W 2017 r. zdradził kolegów Republikanów i dołączył do Emmanuela Macrona jako minister gospodarki. W roku 2022, w wieku zaledwie 35 lat, został ministrem sił zbrojnych (choć w wojsku nie służył, a w 2017 r. otrzymał kontrowersyjny awans na pułkownika rezerwy tylko dlatego, że objął stanowisko w rządzie). Przetrwał czterech kolejnych premierów, aż w końcu sam doczekał się nominacji jako ostatnia deska ratunku prezydenta Emmanuela Macrona.

DYMISJA MACRONA?

Kolejne polityczne trzęsienie ziemi we Francji niczego nie rozwiązuje, a jedynie przedłuża impas, ponieważ nowy szef rządu nadal jest ograniczony więzami parlamentarnej arytmetyki. Mniejszościowy rząd nie ma szans, by realnie zająć się problemami długu i ogromnego deficytu. Zresztą Francuzi go nie lubią. Według sondażu dla BMF TV zaledwie kilkanaście procent badanych chciało, by to właśnie on został nowym szefem rządu.

Pierwszym trudnym zadaniem nowego premiera będzie uzyskanie zgody parlamentarzystów na budżet na rok 2026. Nie będzie to łatwe, bo Francuzi są bardzo podzieleni w kwestii tego, komu, jak i ile zabrać. Władze w Paryżu nadal wydają więc lekką ręką 24 proc. PKB na politykę socjalną – to zdecydowanie najwyższy poziom w całej Unii Europejskiej. Jak policzyli ekonomiści Banku Pekao, rządy w Grecji na politykę społeczną wydają 18 proc., a w Polsce 17 proc.

Lewicowi aktywiści we Francji nie chcą jednak żadnych cięć. W środę 10 września we Francji odbyły się protesty zorganizowane pod hasłem: „Bloquons tout" („Blokujmy wszystko!"). Około 175 tys. demonstrantów wyszło na ulice Paryża, Marsylii, Bordeaux, Tuluzy, Lyonu, Montpellier i innych francuskich miast. Demonstranci blokowali drogi, podpalali śmietniki i rowery, a także próbowali utrudniać dostęp do uczelni, szkół czy zajezdni autobusowych. Do pilnowania porządku wysłano tego dnia 80 tys. policjantów i żandarmów. Mimo to płonęły nie tylko barykady na ulicach. W Paryżu po starciu policji z demonstrantami w płomieniach stanęła jedna restauracja. Z kolei w Rennes manifestanci podpalili autobus. W wielu miejscach doszło do zamieszek. W okolicach francuskiej stolicy mniej więcej tysiąc protestujących, z których wielu miało twarze zasłonięte maskami lub kominiarkami, starło się z policjantami przed dworcem kolejowym Gare du Nord.

W ciągu jednego dnia aresztowanych zostało niemal pół tysiąca osób. Trzonem ruchu stojącego za „Bloquons Tout", wzywającego ludzi do aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa w proteście przeciwko „cięciom, pogardzie i upokorzeniu", była skrajna lewica. Jak donoszą francuskie media, w antyrządowych akcjach wzięli udział m.in. aktywiści propalestyńscy, przedstawiciele ruchu LGBTQIA+ oraz członkowie grup antykapitalistycznych.

Część demonstrantów wykorzystała jedynie okazję do walki z policją. Inni

eprasa.pl ada7bc27a8

sprzeciwiali się m.in. ograniczaniu hojnych programów socjalnych (Francja dopiero dwa lata temu podniosła wiek emerytalny z 62 do 64 lat). Zamiast cięć budżetowych lewicowi aktywiści żądają podwyżek podatków dla najbogatszych, nie zważając na to, że przyciśnięci do muru zbyt wygórowaną daniną bogacze mogą po prostu przenieść się wraz z majątkami poza upadającą Francję. Wbrew szumnym zapowiedziom organizatorom nie udało się jednak sparaliżować kraju.

Coraz częściej na ulicach Paryża i innych francuskich miast pojawiają się jednak głosy wzywające do dymisji Macrona. Tuż przed dymisją premiera Bayrou w badaniach opinii publicznej 49 proc. Francuzów opowiadało się za tym, aby prezydent też wreszcie spakował manatki. W sondażu przeprowadzonym przez instytut Elabe i opublikowanym 9 września za takim właśnie scenariuszem opowiadało się już 64 proc. ankietowanych. Swą niechęć wobec prezydenta zapewne wykrzyczą przedstawiciele związków zawodowych, którzy już w tym tygodniu zaplanowali wielkie protesty. Francuzi nie chcą nie tylko podwyżek podatków czy cięć wydatków, lecz także niechętnie patrzą również na pomysły zniesienia niektórych państwowych świąt...

SZANSA DLA PRAWICY

I protestujący, i ci, którzy w akcji nieposłuszeństwa udziału nie wzięli, raczej nie łudzą się, że nowy premier – bliski współpracownik Macrona – będzie rządził skuteczniej niż czterech jego poprzedników. Kryzys parlamentarny potencjalnie mogłyby rozwiązać przyspieszone wybory. Najnowszy sondaż Toluna Harris Interactive pokazał bowiem, że w przedterminowych wyborach istotną większość zdobyłoby prawicowe Zjednoczenie Narodowe (Rassemblement national) na czele z Marine Le Pen i Jordanem Bardellą. Wraz z sojusznikami mogłoby ono otrzymać ok. 33 proc. głosów, a Republikanie (Les Républicains, LR) – 10 proc. Obóz prezydenta Macrona dostałby jedynie 15 proc. głosów, a sojusz partii lewicowych – 26 proc.

Zarówno Le Pen, jak i Bardella zaapelowali więc na początku września do prezydenta Macrona o szybkie rozwiązanie parlamentu i ogłoszenie nowych wyborów. Wiceprzewodniczący RN, Sébastien Chenu, przekonywał zaś, że Zjednoczenie Narodowe wraz z sojusznikami mogłoby zdobyć w Zgromadzeniu Narodowym 289 miejsc, czyli większość absolutną. Takiego scenariusza socjaliści i centryści boją się jednak jak ognia. Zwłaszcza że Jordan Bardella ma duże szanse na zwycięstwo w zaplanowanych na 2027 r. wyborach prezydenckich (w marcu 2025 r. francuski sąd skazał Marine Le Pen m.in. na pięcioletni zakaz pełnienia funkcji publicznych).

FRANCUZI ZNISZCZĄ UE?

Według francuskiego rządu dług publiczny na początku 2025 r. przekroczył 3,345 bln euro, czyli 114 proc. PKB. Jeszcze w roku 2017 – gdy Macron zaczynał swą prezydenturę – dług stanowił 101 proc. PKB. W krótkim czasie Francuzi wywalczyli więc sobie niechlubne trzecie miejsce wśród najbardziej zadłużonych narodów Unii Europejskiej (po Grekach i Włochach). Starzejąca się, coraz bardziej podupadła Francja budzi rosnące obawy wśród światowych inwestorów, a nawet unijnych urzędników. Według Komisji Europejskiej już w roku 2026 relacja długu publicznego do PKB wzrośnie do 118 proc. Tymczasem unijny pakt stabilności przewiduje, że limit długu publicznego dla państw członkowskich wynosi 60 proc. PKB.

Jeszcze niedawno to Grecja i Włochy były tymi krajami Unii Europejskiej, które miały szokująco wysokie poziomy rentowności swych krajowych obligacji. Musieli jednak płacić dużo, bo światowi inwestorzy byli niechętni pożyczaniu kolejnych pieniędzy politykom w Atenach i w Rzymie. Zarówno z powodu kryzysu politycznego, jak i obaw o dalszą kondycję fiskalną Francji w ostatnich tygodniach Francuzi chętnym do kupna swego długu musieli już oferować większą premię niż Grecy. Rentowność francuskich i włoskich obligacji 10-letnich niemal się zaś zrównała (3,47 proc. wobec 3,51 proc.). Dla porównania: dochodowość niemieckich obligacji wynosiła w tym samym czasie 2,66 proc. Rozwój sytuacji politycznej w Paryżu wskazuje zaś na to, że dodatkowa premia za ryzyko inwestowania we francuskie obligacje skarbowe będzie musiała na stałe zagościć we francuskim budżecie.

Tracą na tym sami podatnicy, którzy coraz więcej wydają na obsługę długu publicznego, wynoszącego w relacji na jednego mieszkańca Francji już ok. 50 tys. euro. Z obawy o sytuację fiskalną kraju w październiku 2024 r. Fitch obniżył rating Francji do AA – z perspektywą negatywną. W grudniu zeszłego roku rating francuskiego długu obniżyła również agencja Moody's. Mimo to politykom brakuje prawdziwej motywacji do działania, bo choć Paryż pożycza coraz drożej, to wciąż nie ma ryzyka, że w najbliższym czasie straci dostęp do finansowania i rzeczywiście będzie potrzebować ratunku MFW czy innych międzynarodowych instytucji.

Kryzysy polityczny i fiskalny coraz bardziej ciążą jednak francuskiej gospodarce. Jak bardzo? Wystarczy spojrzeć na notowania francuskich akcji. CAC 40 – główny indeks paryskiego parkietu – w tym roku wypada wyjątkowo blado na tle innych europejskich indeksów giełdowych. Od początku stycznia 2025 r. do 10 września jego wartość wzrosła bowiem zaledwie o 5 proc. Dla porównania: polski WIG20 zyskał w tym samym okresie 26 proc., włoski FTSE MIB – 23 proc., a niemiecki DAX – ok. 18 proc.

Według komentatorów problemy Francji – „słabego ogniwa" strefy euro – mogą rozlać się na inne kraje Unii Europejskiej i wywołać kryzys na niewyobrażalną wręcz skalę. Niemiecki dziennik „Tagesspiegel" przekonywał w ubiegłym tygodniu, że Francja jest niezdolna do przeprowadzenia koniecznych reform. Autor tej pesymistycznej analizy Christoph von Marschall ostrzegał, że dymisja premiera Bayrou może doprowadzić do upadku nie tylko Francji, lecz także strefy euro, a być może nawet rozpadu całej Unii Europejskiej. I chociaż jest w tym wiele publicystycznej przesady, to problemy Francji rzeczywiście mogłyby wywołać o wiele poważniejszy krach w Europie niż kryzys zadłużenia Grecji z lat 2008–2009. Jeśli sami Francuzi szybko sobie tego nie uświadomią, to w niedalekiej przyszłości może ich czekać bardzo zimny prysznic. Bo chociaż po kryzysie sytuacja gospodarcza Grecji uległa już poprawie, a kraj wrócił na ścieżkę wzrostu, to pensje Greków są obecnie warte mniej niż w roku 1998.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

MORZE PULPY

Buñol to hiszpańskie miasto, w którym rokrocznie odbywa się festiwal La Tomatina. Jego uczestnicy obrzucają się przejrzałymi pomidorami. W trakcie zabawy ulice miasta zamieniają się w morze czerwonej pulpy. Impreza ma długą tradycję, pierwszy raz odbyła się w roku 1945. Tegoroczna edycja przyciągnęła ok. 20 tys. osób z całego świata. W trakcie festiwalu zużyto ok. 120 ton pomidorów (ponoć nienadających się już do spożycia).

FOT. ADOBE STOCK

MACZETA W WÓZKU

Klienci sklepu sieci Walmart w Fort Pierce na Florydzie wpadli w panikę, ponieważ okazało się, że po placówce tej przechadza się mężczyzna z maczetą. Niebezpieczne narzędzie trzymał w wózku. Gdy wezwani przez personel sklepu policjanci próbowali go zatrzymać, ten ich zaatakował. Jednego ze stróżów prawa uderzył maczetą w przedramię. Po krótkiej walce napastnik został obezwładniony i aresztowany. Funkcjonariusz trafił do szpitala, gdzie otrzymał pomoc, i został z niego wypisany.

ZAIMPONOWAĆ ŻONIE

Kerry Katona to celebrytka, która przykuła uwagę pewnego mężczyzny w angielskiej wsi Alderley Edge. Gdy zobaczył, jak jedzie ona swoim lamborghini, wybiegł na ulicę, żeby zrobić z nią selfie. Chciał w ten sposób – jak twierdzi – zaimponować swojej żonie. Jego niebezpieczne zachowanie na drodze szybko spotkało się z reakcją policjanta, który zwrócił mu uwagę, że wyszedł na środek jezdni, ale śmiałek dopiął swego. Bez konsekwencji.

WYŁUDZANIE DANYCH

Na Facebooku pojawiły się ogłoszenia z ofertami laptopów za 2 euro dla osób powyżej 40. roku życia. Tak naprawdę jednak nie chodzi o sprzedaż sprzętu, a o wyłudzanie danych osobowych i finansowych. Po kliknięciu linku reklamy użytkownikowi otwiera się fałszywa strona Amazonu. W efekcie operacji laptop nie dociera do klienta, a na jego koncie bankowym dochodzi do powtarzających się transakcji na kwoty trzycyfrowe.

ODGRYZIONY JĘZYK

Sąd Najwyższy Korei Południowej uniewinnił 79-letnią kobietę po ponownym rozpatrzeniu wyroku sprzed 60 lat. Gdy miała 18 lat, skazano ją na 10 miesięcy więzienia za odgryzienie języka mężczyźnie, który dopuścił się na niej napaści seksualnej. Oprawca dostał łagodniejszą karę i nigdy nie usłyszał zarzutów o próbę gwałtu. Wedle BBC taki obrót sprawy jest świadectwem skuteczności ruchu #MeToo. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polscy Buffettowie?

Warszawska giełda biła w 2025 r. historyczne rekordy. Tylko w tym roku indeks WIG20 wzrósł o około 30 proc., a w ciągu trzech lat nasza giełda urosła niemal dwuipółkrotnie. Na polskich akcjach kokosy zbili jednak w dużej mierze nie Kowalski i Nowak, lecz inwestorzy zagraniczni. Polscy inwestorzy indywidualni wciąż boją się bowiem lokować oszczędności na rynku kapitałowym. Od lat kolejne badania pokazują, że Polacy są narodem, który wyjątkowo stroni od akcji, a od inwestowania na giełdzie woli lokaty lub inwestowanie w mieszkania, działki, fundusze REIT etc.

Okazuje się, że nad Wisłą rośnie pokolenie, które inaczej myśli o inwestowaniu. Jak pokazuje nowy raport Revolut Money, młodzi Polacy (reprezentanci pokolenia Z), pytani o kluczowe aktywa do długoterminowej budowy majątku, częściej wskazują na akcje (27 proc.) niż na inwestycje w nieruchomości (25 proc.). Z badania Revoluta wynika, że 59 proc. Polaków inwestujących za pomocą tej popularnej aplikacji finansowej to osoby w wieku od 18 do 34 lat. Jednocześnie raport Revolut Money pokazuje, jak ważna jest edukacja finansowa. Głównym źródłem informacji o inwestowaniu dla młodych są bowiem media społecznościowe. Pokolenie Z boleśnie uczy się więc, komu ufać, a komu nie: 29 proc. badanych w wieku 18–24 lat w efekcie porady on-line straciło pieniądze. Eksperci ostrzegają nie tylko przed influencerami, ale też przed fałszywymi sygnałami z tzw. fabryk fejków. Na szczęście młodzi inwestują wcześniej niż ich rodzice i korzystają z narzędzi, które kiedyś były domeną profesjonalistów. Może jest wśród nich polski Warren Buffett albo nawet Buffettowie. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

Jurij Podolaka to były ukraiński (ale prorosyjski) dziennikarz. Jest autorem najpoczytniejszego (3 mln subskrybentów) bloga prowojennego FOT. A-RUSSIA.RU

Z-blogerzy na froncie specoperacji

Maciej Pieczyński

Popierają inwazję na Ukrainę, ale jednoznacznie krytykują działania swoich władz i opisują prawdziwy obraz patologii w armii. Z-blogerzy to w miarę niezależne, prowojenne społeczeństwo obywatelskie, głośne i wpływowe w rosyjskim Internecie

Propaganda wojenna w Rosji niejedno ma imię. Oprócz tej oficjalnej, kremlowskiej, jest jeszcze ogromna, zróżnicowana przestrzeń internetowych komentatorów, obecnych głównie na portalu społecznościowym Telegram. Nazywa się ich Z-blogerami, milblogerami (czyli blogerami militarnymi) albo prowojennymi blogerami. Wielu z nich to zarazem wojenkorzy (korespondenci wojenni) mediów tradycyjnych. Publikują zarówno na swoich kontach internetowych, jak i np. w „Komsomolskiej Prawdzie". Z-blogerzy opisują i komentują działania zbrojne wprost z linii frontu. Często są to wolontariusze, którzy organizują zbiórki na potrzeby armii, a następnie sami zebraną pomoc przywożą żołnierzom. Blogerami bywają też sami żołnierze. Według oceny dziennikarza Iwana Filippowa, który bada to zjawisko, istnieje ok. 10 tys. Z-blogów. Mają one najróżniejszą liczbę subskrybentów – od kilku tysięcy (czasem kilkuset), przez kilkaset tysięcy do kilku milionów. Jedni są związani z władzami na Kremlu, inni działają niezależnie.

Z-blogerzy całkowicie popierają wojnę. Jednak z ich tekstów, poza nienawiścią do Ukrainy i Zachodu, można wyczytać też zmęczenie konfliktem i krytykę nadużyć oraz błędów popełnianych przez rosyjskie dowództwo. Gdy jednak na horyzoncie pojawia się jakakolwiek mglista zapowiedź pokoju czy rozejmu, przez Z-blogosferę przelewa się fala oburzenia na samą myśl o porozumieniu z wrogiem, które określane jest nie inaczej jak „dogoworniaczok" (ros. zmowa). Trudno się dziwić. Z jednej strony, milblogerzy albo sami walczą na froncie, albo pomagają i towarzyszą walczącym oddziałom, odczuwają więc na własnej skórze wszystkie bolączki i patologie armii, z pewnością przeżywają każdą śmierć kolegi z okopu i są zmęczeni działaniami zbrojnymi, jak każdy normalny żołnierz, niezależnie od tego, po czyjej stronie walczy. Z drugiej strony, jeśli wojna się skończy, przestaną być potrzebni. Swoim czytelnikom i Kremlowi.

TROPICIELE NADUŻYĆ W ROSYJSKIEJ ARMII

Popularność Z-blogerów jest zrozumiała. Dysponują oni unikalnym doświadczeniem. W przeciwieństwie do zachodnich korespondentów mają bardzo dobry dostęp do rosyjskich żołnierzy. Doskonale znają sytuację od strony okopów armii agresora. Natomiast nie będąc etatowymi pracownikami kremlowskich mediów, mogą sobie pozwolić na w miarę obiektywne relacjonowanie sytuacji na froncie. Obiektywne, rzecz jasna, pod względem podawania konkretnych informacji, do których już dodawany jest subiektywny komentarz. Często bywa tak, że konkretne patologie w armii rosyjskiej nagłaśniają wcale nie ukraińscy czy zachodni dziennikarze, tylko sami Z-blogerzy. Zazwyczaj jeden z nich jako pierwszy łamie tabu, pisząc o czymś, co usilnie chce przemilczeć oficjalna kremlowska propaganda, a następnie temat poruszają inne konta na Telegramie. Na przykład Anastazja Kaszewarowa jako pierwsza napisała o „szturmach o kulach". Czyli o tym, jak dowódcy zmuszali ciężko rannych żołnierzy do szturmowania ukraińskich pozycji. Powstały całe „kalekie pułki". Kaszewarowa jest ciekawym przypadkiem z jeszcze innego powodu. W maju 2023 r. wraz z producentką filmową Jekateriną Agranowicz i wolontariuszką Uljaną Striż otworzyła na YouTube kanał „Podrugi Z" (Przyjaciółki Z). Miał to być program, w którym o różnych aspektach wojny dys-

eprasa.pl ada7bc27a8

kutują popierające „specoperację" kobiety. W pierwszym (i ostatnim, bo formuła nie trafiła do widzów) odcinku prowadzące doradzały popularnej dziennikarce kremlowskiej telewizji Oldze Skabiejewej, aby „nie wstydziła się swojej kobiecości" i atrakcyjniej się ubierała.

Konsekwentnym tropicielem nadużyć w armii jest Z-bloger Jurij Podolaka. Ten były ukraiński (ale prorosyjski) dziennikarz jest autorem najpoczytniejszego (3 mln subskrybentów) bloga prowojennego. Regularnie nagłaśnia praktykę „zdobywania na kredyt" ukraińskich miejscowości. Wygląda to następująco. Ministerstwo Obrony informuje o zdobyciu danej wsi na podstawie raportu dowódcy oddziału, który za sukces otrzymuje premię. W rzeczywistości miejscowość wciąż znajduje się pod kontrolą Ukraińców. Zanim władze zorientują się, że zostały oszukane, dowódca musi szybko dostosować realia do oficjalnej wersji. Czyli – bez względu na poniesione straty w ludziach – jak najszybciej zdobyć wieś.

Podolaka wielokrotnie apelował do ministerstwa i sztabu generalnego, aby coś z tym zrobić. Publikował nawet nagranie, na którym widać, jak zdesperowany żołnierz popełnia samobójstwo, nie mogąc doczekać się ewakuacji podczas takiego szaleńczego szturmu wsi Nowohoriwka, oficjalnie zdobytej… 10 dni wcześniej. Apel Podolaki nie został wysłuchany. Ponadto nawet „mięsne szturmy" jako określenie bezmyślnych ataków, w których żołnierze używani są jako mięso armatnie, nie zostało spopularyzowane przez ukraińską propagandę, tylko przez Z-blogerów właśnie. Telegramowi komentatorzy informowali również o tym, że część żołnierzy używa na froncie przestarzałych karabinów Mosina, albo o tym, jak dowódcy zapisują poległych jako dezerterów, żeby nie musieć wypłacać odszkodowań ich rodzinom.

NIE TYKAĆ PUTINA

Trudno się dziwić, że na tym polu wybuchały ostre konflikty między „zetnikami" a propagandystami, ściśle związanymi z Kremlem. Władimira Sołowiowa blogerzy nienawidzą nie mniej niż Wołodymyra Zełenskiego. Po pierwsze dlatego, że publicznie nawoływał do rozstrzelania poborowego, który nagrywał telefonem atak ukraińskich dronów na lotnisko (tu widoczna jest żołnierska solidarność). A po drugie dlatego, że Sołowiow organizuje zbiórkę pieniędzy dla armii, jest więc dla telegramowych wolontariuszy konkurencją. Tragicznie natomiast zakończył się spór propagandystów w przypadku Andrieja Morozowa ps. Murz. Akurat ten Z-bloger (a jednocześnie żołnierz i wolontariusz) za naruszenie informacyjnego tabu zapłacił własnym życiem. Na Telegramie napisał o wielkich stratach, poniesionych przez wojska rosyjskie pod Awdiejewką. W programie Solowiow Live prowadzący Julia Witiaziewa i Armien Gasparian oskarżyli blogera o szerzenie kłamstw na temat armii, a także stwierdzili, że nie wiadomo, czy „Murz" w ogóle przebywa na froncie. Morozow nie wytrzymał nagonki i w lutym 2024 r. popełnił samobójstwo.

Z-blogerzy jednoznacznie popierają wojnę z Ukrainą. Często jednak krytykują albo sposób prowadzenia działań wojennych, albo konkretne decyzje dowódców, urzędników czy polityków. Z wyjątkiem Putina, który jest na Telegramie nietykalny. To wszystko zgodne jest ze starą zasadą „dobry car – źli bojarzy". Jak dotąd jedynym, kto otwarcie obarczył prezydenta winą za niepowodzenia na froncie, był Igor „Striełkow" Girkin. I teraz siedzi w kolonii karnej.

W awangardzie Z-krytyki „bojarów" w pewnym momencie znajdowały się telegramowe kanały powiązane z Jewgienijem Prigożynem, który mieszał z błotem Szojgu i Gierasimowa. Warto przypomnieć, że bunt wagnerowców oficjalnie skierowany był właśnie przeciwko owym dwóm „bojarom", a nie przeciwko samemu Putinowi. Przy czym był to jedyny przykład, gdy prowojenna krytyka władz rosyjskich wyszła poza ramy Internetu, a za słowem pisanym w świecie wirtualnym poszły czyny z bronią w ręku w świecie realnym. Po klęsce buntu i śmierci samego Prigożyna Z-kanały złagodziły swoją retorykę wobec elit rządzących, ale tylko częściowo. Powiązany z szefem wagnerowców blog Grey Zone znacząco zmniejszył aktywność, by zamilknąć ostatecznie po tym, jak autor Nikita Fiedianin zginął podczas walk w Mali.

Dymisję Siergieja Szojgu ze stanowiska ministra obrony milblogerzy przyjęli z wielkim entuzjazmem. Dla wielu z nich to był dowód, że ich postulaty zostały wysłuchane i wprowadzone w życie. Gdy zaś za kraty zaczęli za korupcję trafiać byli współpracownicy Szojgu, pojawiło się pytanie: A dlaczego nie on sam?! Przecież niemożliwe, aby jako jedyny nie brał łapówek. O tym, że „Szojgu musi pójść siedzieć", na Z-kanałach można przeczytać średnio raz na dwa tygodnie. Niechęć do rodzimych elit jest wśród blogerów powszechna. Gdy prokuratura skonfiskowała majątek byłego premiera Karaczajo-Czerkiesji, Żywow Z napisał: „Jeśli w końcu wszystkich oligarchów urzędników wypatroszą, to pieniędzy wystarczy jeszcze na dwie specjalne operacje wojskowe". W tej nadziei, sądząc po wpisach kolegów po piórze, nie jest odosobniony.

GRANICE TOLERANCJI

Po co Putinowi malkontenci, opisujący często negatywny i – co gorsza – prawdziwy obraz wojny? Po pierwsze, mimo wszystko Z-blogerzy nie występują ani przeciwko „Najciemniejszemu" [tak w rosyjskiej blogosferze określa się Putina; jest to ironiczne nawiązanie do zachodniej narracji o tym, że wszystkiemu zawsze winna jest Rosja – przyp. red.], ani przeciwko wojnie. Po drugie, pozostają antyukraińscy i antyzachodni. Po trzecie i najważniejsze, w sytuacji typowego rosyjskiego bałaganu, nieudolności urzędników i niewydolności państwa wolontariusze, którzy oddolnie zbierają pomoc dla żołnierzy i sami ją na front zawożą, są zwyczajnie potrzebni władzom. Przy czym trudno jest w Rosji założyć fundację wprost deklarującą pomaganie armii walczącej na froncie. Dlatego Z-wolontariusze działają często na granicy prawa.

Po zakończeniu wojny, gdy przestaną być użyteczni, będzie można ich masowo posadzić nawet nie tylko za dyskredytację armii, lecz także za nadużycia. Nagłaśniane są one już teraz. Niedawno związany z resortami siłowymi kanał 112 opublikował nagrany ukrytą kamerą film, na którym Z-bloger Roman Aliochin tłumaczy, jak „wyprać" sporą sumę pieniędzy na zakupach leków dla żołnierzy. Z pewnością takich przypadków było więcej. Kreml nie będzie wiecznie tolerował czegoś, co przynajmniej częściowo przypomina niezależne społeczeństwo obywatelskie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

Odświeżanie starej przyjaźni

Jakub Wozinski

Zimna wojna była raczej wyjątkiem w historii na ogół dobrych stosunków handlowych łączących Stany Zjednoczone z Rosją. Nic więc dziwnego, że mimo trwającego konfliktu oba mocarstwa stopniowo dążą do normalizacji wzajemnych relacji, przynajmniej w wymiarze gospodarczym

Współcześnie, z przyczyn politycznych, relacje polsko-amerykańskie przedstawia się w bardzo wyidealizowany sposób. Mało kto pamięta więc o tym, że gdy w Polsce trwało powstanie styczniowe, jednym z państw, które w krytycznym momencie udzieliło wsparcia Rosji, były właśnie Stany Zjednoczone. Sprowokowany przez radykalne środowiska zryw od początku postawił Rosję pod pręgierzem międzynarodowej krytyki. Oprócz Berlina, który wykorzystał powstanie do zbliżenia się do Petersburga, praktycznie wszystkie główne stolice europejskie wyraziły gwałtowny sprzeciw, lecz aspirujące coraz bardziej do roli mocarstwa Stany Zjednoczone stanęły po stronie państwa carów. W czasie gdy w Polsce trwały walki, z wizytą do San Francisco wybrały się nawet dwa rosyjskie żaglowce, które przywitano z dużą pompą.

USTAWIENIA FABRYCZNE

Przytoczone tu zdarzenie sprzed 162 lat nie jest zaledwie ciekawostką z zamierzchłej przeszłości. Tego typu gestów z ostatnich 250 lat, potwierdzających dobre relacje między obu krajami, można by przywołać znacznie więcej. Trwająca wciąż za naszą wschodnią granicą wojna może wprawdzie skłaniać ku przyjęciu wniosku, że oto doszło do przywrócenia „ustawień fabrycznych" w kontaktach między Rosją a Stanami Zjednoczonymi, które w XX w. były nierzadko wrogie. Pod

eprasa.pl ada7bc27a8

FOT. ADOBE STOCK

względem ustroju politycznego czy też zasad rządzących życiem publicznym oba państwa różnią się w sposób skrajny, co wiele osób skłania ku przyjęciu wniosku, że są wręcz skazane na konflikt. W rzeczywistości „ustawieniem fabrycznym" w stosunkach między oboma mocarstwami była w większości okresów historycznych ożywiona współpraca.

Praprzyczyną tego, że władze Rosji zabiegały zawsze o dobre relacje z tak odległym krajem, były utrzymujące się do dziś uzależnienie rosyjskiej gospodarki od eksportu surowców oraz system autorytarnie sprawowanej władzy, który nie tolerował zbyt wielu swobód dla najbardziej przedsiębiorczych środowisk. Od kiedy tylko na początku XVII w. na rosyjskim tronie zaczęli zasiadać przedstawiciele dynastii Romanowów, utrzymywano więc szczególnie zażyłe relacje z kupieckimi państwami, które umożliwiały zbyt surowców, w zamian zapewniając towary z całego świata, pożyczki oraz sprzedaż technologii.

Stany Zjednoczone pojawiły się na politycznej mapie świata stosunkowo późno, ale świetnie wykorzystały nadarzającą się okazję do tego, aby właśnie w Rosji znaleźć strategicznego partnera w Europie. Państwo carów stało się na początku XVIII w. mocarstwem za przyzwoleniem Wielkiej Brytanii, która miała w tym swój własny interes. Bez pozyskiwanego z Rosji drewna masztowego, smoły, dziegciu, lnu czy konopi Brytyjczycy nie byliby nigdy w stanie zbudować ani tym bardziej konserwować swojej imponującej floty, która zapewniała im dominację na świecie. Londyn długo widział także w Petersburgu użyteczne narzędzie swoich własnej strategii, która zakładała niezmiennie równoważenie wpływów na kontynencie.

Rosjanie początkowo uznawali swoją podległość, lecz z czasem zdradzali coraz większe ambicje. Dość szybko oczywiste się stało to, że ważnym narzędziem w procesie stopniowej emancypacji z wpływów brytyjskich będzie zacieśnianie więzów z powstałym w 1776 r. państwem amerykańskim, które tak jak Rosja dążyło do wyzwolenia się z gospodarczej zależności od imperium brytyjskiego. Przez cały XVIII w. do portu w Petersburgu najliczniej docierały statki brytyjskie, lecz już w okresie wojen napoleońskich przejściowo wypierały je okręty amerykańskie.

ZŁOTA EPOKA

Pierwszy formalny traktat handlowy między oboma państwami został zawarty dopiero w 1824 r., ale w praktyce ożywione kontakty zaczęły się już wcześniej. W I połowie XIX w. Rosjanie bardzo chętnie nabywali w szczególności tytoń, którego użycie upowszechniło się wśród mas, a także bawełnę z południowych stanów, tak bardzo potrzebną do rozwoju własnego przemysłu tekstylnego. Rosjanie nie obawiali się wówczas handlu z Amerykanami tak samo jak z Europą Zachodnią, ponieważ za oceanem przemysł nie był jeszcze rozwinięty i nie zagrażał on niewiele bardziej zaawansowanemu przemysłowi rosyjskiemu. Z kolei Rosjanie, zanim jeszcze nastała rewolucja przemysłowa w krajach zachodnich, byli dla Amerykanów jednymi z głównych dostawców rudy żelaza.

Teoretycznie mogłoby się wydawać, że oba państwa powinny były w XIX w. utrzymywać bardzo napięte stosunki, choćby w związku z rywalizacją o terytoria na wschodnich krańcach Ameryki Północnej. Rosjanie już w 1728 r. dotarli przecież do Cieśniny Beringa i w kolejnych dekadach nie tylko skolonizowali Alaskę, lecz dotarli nawet do Kalifornii. Ukaz cara Aleksandra I z 1821 r., ogłaszający roszczenia aż do 51. równoleżnika, spotkał się z odpowiedzią w postaci amerykańskiej doktryny Monroe'a, ale ostatecznie Rosja była zwyczajnie zbyt słaba, aby móc realnie walczyć o swoje wpływy w Ameryce, szczególnie po katastrofie wojny krymskiej. Sprzedaż Alaski z 1867 r. definitywnie zakończyła jakiekolwiek dalsze dysputy.

Ważne zmiany w relacjach handlowych między oboma państwami przyniosła dopiero druga połowa XIX w. Stany Zjednoczone, w szczególności po zakończeniu wojny secesyjnej, która umożliwiła szersze wykorzystanie ogromnych równin do produkcji rolniczej i budowę nowych linii kolejowych, stały się światową potęgą w zakresie eksportu zboża. Od czasu zajęcia ukraińskich czarnoziemów Rosja żywiła znaczną część Europy, a eksport pszenicy miał ogromny wpływ na kondycję jej finansów publicznych.

Amerykanie w latach 60. i 70. XIX w. dosłownie zalali Stary Kontynent swoją pszenicą, doprowadzając do spadku cen. Dla Rosji była to mała katastrofa, która wpędziła ją w permanentne kłopoty finansowe, trwające niemal aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Stany Zjednoczone stały się także u schyłku XIX w. eksporterem produktów przemysłowych, które stworzyły ważną alternatywę dla tych, które Rosja tradycyjnie sprowadzała z krajów zachodnich. Furorę na rosyjskim rynku robiły m.in. maszyny rolnicze zza oceanu produkowane przez International Harvester.

Sekretem udanych relacji handlowych jest zawsze wzajemność. Rozwijające się najszybciej na świecie Stany Zjednoczone w coraz większym stopniu stawały

eprasa.pl ada7bc27a8

się samowystarczalne, a na dodatek odbierały Rosji część jej rynków zbytu. Nie wiadomo więc, jak potoczyłyby się dalsze relacje, gdyby nie doszło do odkrycia złóż ropy naftowej na Kaukazie. Jednym z głównych podmiotów, które zdecydowały się zainwestować w rejonie Baku, było Standard Oil. Poza tym Amerykanie w dalszym ciągu byli zainteresowani rosyjską rudą żelaza, futrami czy konopiami.

Utrzymanie pomyślnych relacji handlowych ze Stanami Zjednoczonymi w XIX w. było dla Rosji szczególnie ważne także ze względu na chęć większego uniezależnienia się od europejskich mocarstw. Po wojnie krymskiej Rosja została zalana kapitałem francuskim, po powstaniu styczniowym przyszła kolej na niemiecki. Gdy na przełomie lat 80. i 90. drogi Rosji i Niemiec ostatecznie się rozeszły, w Rosji zapanowało przekonanie, że warto zrobić nieco więcej miejsca także dla Amerykanów. W rejonie moskiewskim zainwestowały m.in. produkująca maszyny do szycia firma Singer oraz działający w branży elektrycznej Westinghouse. Na początku XX w. amerykańskie banki zostały także po raz pierwszy włączone do konsorcjów finansowych pożyczających pieniądze rosyjskiemu rządowi.

BURZLIWE WOJENNE LATA

Utrzymaniu dobrych relacji handlowych dopomogło następnie skrystalizowanie się sojuszów, które walczyły ze sobą w czasie pierwszej wojny światowej. Stany Zjednoczone nie weszły nigdy oficjalnie w skład ententy, ale nawet przed ich przystąpieniem do wojny nieoficjalnie stały po stronie Wielkiej Brytanii i Francji. Amerykanie wspierali Rosję w czasie wojny, jeszcze w 1917 r. udzielając rządowi Kiereńskiego specjalnego kredytu.

Jednostronna decyzja rządu bolszewickiego z 1918 r. o uchyleniu się od spłaty wszystkich zobowiązań finansowych z czasów carskich była tak naprawdę pierwszym w dziejach momentem, w którym stosunki handlowe i gospodarcze między Stanami Zjednoczonymi a Rosją uległy wyraźnemu pogorszeniu. Amerykański rząd nie uznawał bolszewickiej władzy, a wymiana handlowa między oboma krajami właściwie całkowicie zamarła.

Wszystko zmieniło się już w 1921 r., gdy Lenin zainaugurował swoją Nową Ekonomiczną Politykę. W handel z Rosją zaangażowali się wówczas tacy potentaci jak choćby Ford czy General Electric. Amerykanie eksportowali do sowieckiego imperium, tak jak wcześniej, maszyny rolnicze, traktory, maszyny do szycia i inne produkty przemysłowe, w zamian sprowadzając drewno czy też surowce. W ramach odprężenia Rosjanie otworzyli z kolei w Nowym Jorku firmę handlową Amtorg, która istniała nieprzerwanie aż do lat 90. NEP pozwolił im także wznowić eksport ropy naftowej, której Rosja była wciąż jednym z największych producentów na świecie.

Po upadku ZSRS handel i biznes między oboma krajami mógł wreszcie wrócić na dawne tory

Podpisana w marcu 1941 r. umowa Lend-Lease nie tylko przywracała ożywione relacje handlowe między obu państwami, lecz także wręcz wznosiła je na nieznane dotąd wyżyny. Dostaw amerykańskiego sprzętu, uzbrojenia i materiałów dokonywano w zamian za rosyjski mangan, chrom i inne surowce. Najważniejszym przedmiotem handlu było jednak zwolnienie amerykańskiej armii z ciężaru pokonania na froncie niemieckiej armii. Czymś absolutnie wyjątkowym dla wymiany prowadzonej w latach 1941–1945 był fakt, że dokonywano jej głównie z kierunków północnych i wschodnich.

Koniec wojny i wejście w okres zimnej wojny doprowadził do nagłego schłodzenia rozgrzanych uprzednio do czerwoności kontaktów. Amerykanie wprowadzili ścisłe ograniczenia na eksport do ZSRS, a szykujący się do kolejnej wojny światowej Związek Sowiecki nie był skłonny do sprzedawania zasobów za granicę. W żelaznej kurtynie dość szybko zaznaczyły się jednak pęknięcia analogiczne do tych, które wprowadził przed wojną NEP. Pomimo wymierzonych w siebie rakiet oba państwa prowadziły nieustannie wymianę na niewielką skalę.

Prawdziwa odwilż nastała w latach 70. W 1972 r. zawarte zostało specjalne porozumienie, które otwierało drogę do zwiększenia obrotów handlowych. Amerykanie wsparli Rosję zbożem oraz swoimi technologiami przemysłowymi, w zamian nabywając głównie metale i surowce. Sowieci z biegiem lat odczuwali coraz większy niedobór zachodnich walut, dlatego byli wręcz zmuszeni do ustępstw.

W czasach pierestrojki wzajemna wymiana przyjęła już zdecydowanie większe rozmiary. Amerykanie pod koniec lat 80. mogli już nie tylko sprzedawać w Rosji swoje nowoczesne produkty, lecz także tworzyć spółki joint venture z miejscowymi przedsiębiorcami. Mimo że najbardziej medialnymi przedsięwzięciami tego typu był spółki zakładane przez Coca-Colę czy Pepsi, najbardziej interesujące wydają się te z branży informatycznej.

Po upadku Związku Sowieckiego handel i biznes między oboma krajami mógł wreszcie wrócić na dawne tory. Aż do wybuchu kryzysu finansowego w Rosji w 1999 r. wolumen wymiany nieustannie piął się w górę, choć po latach komunizmu dysproporcja między rozwojem gospodarczym obu państw była jeszcze większa niż dawniej. Amerykanie być może importowaliby z Rosji więcej, gdyby tylko miała ona w ofercie artykuły, które rzeczywiście są im niezbędne. Tymczasem od lat podstawowym towarem eksportowym Rosji do USA pozostawała ropa naftowa, której Stany Zjednoczone stały się ostatnio głównym dostawcą na świecie. W dalszej kolejności USA sprowadzają dziś z Rosji m.in. także mangan czy nawozy sztuczne, lecz tego rodzaju produkty łatwo jest zakupić także z innych krajów.

W zupełnie innej sytuacji znajduje się Rosja, której bez zachodnich technologii, kapitału i know-how grozi coraz większe zapóźnienie. Być może właśnie dlatego sam Władimir Putin zaczął od niedawna zachęcać zagraniczne firmy do powrotu do rządzonego przez siebie kraju. Amerykańskim firmom nie pali się do powrotu, ale mając na uwadze tak długą historię owocnej współpracy między oboma krajami, nawet w czasach, wydawałoby się, śmiertelnego konfliktu, można być pewnym, że współpraca amerykańsko-rosyjska zostanie kiedyś wznowiona.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Antykonstytucja Kwaśniewskiego

To, że Polska przetrwała, i to już niemal aż 30 lat, pod rządami Konstytucji RP z 1997 r. – konstytucji, której patronem i współtwórcą jest Aleksander Kwaśniewski – dowodzi naszego wielkiego szczęścia. Bo też jest to konstytucja – jak pisałem nieraz – jakby skrojona dla Polski przez tych, którzy źle jej życzą.

A zatem właśnie chyba tylko szczęściu zawdzięczamy, że pod jej rządami nasze państwo jeszcze się nie rozpadło, choć ostatnio – co dziś widać już gołym okiem – wydaje się być tego coraz bliższe. Bo oto mamy premiera (Tuska) de facto nieuznającego Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, a wkrótce pewnie także prezydenta RP, ze „swoją", prawem kaduka przejętą prokuraturą itd., oraz prezydenta (Nawrockiego) niepozostającego temuż premierowi ani na jotę dłużnym.

A wszystko to – w głównej mierze – wskutek zapisanej w owej „Antykonstytucji Kwaśniewskiego" nieuniknionej dwuwładzy władz wykonawczych; wskutek zagwarantowania jej postanowieniami nieuniknionego konfliktu między dwiema władzami wykonawczymi RP: premierem i jego rządem oraz prezydentem – nawet jeśli wywodzą się z tego samego obozu politycznego, a co dopiero w sytuacji jeszcze gorszej, czyli takiej jak obecnie, gdy premier i prezydent pochodzą z innych, i to wrogich sobie obozów. Konfliktu nieuniknionego za sprawą wyposażenia prezydenta przez ową antykonstytucję w potężną władzę destrukcyjną, bo w weto o atomowej sile, do którego odrzucenia trzeba w Sejmie większości aż trzech piątych głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów.

I oto teraz – za prezydentury Nawrockiego – ów wpisany w Konstytucję RP, więc pewny konflikt między premierem a prezydentem wszedł w fazę takiego natężenia, jakie wcześniej nam się nawet nie śniło – ani za prezydentury Kaczyńskiego i premierostwa Tuska, ani za prezydentury Dudy i premierostwa Tuska – też przecież niewolnych od gestów wręcz otwartej nienawiści, nie wspominając o czasach prezydentury Kwaśniewskiego i premierostw Buzka czy Millera, bo tamte „szorstkie przyjaźnie" to przy obecnych relacjach szefa rządu i prezydenta wręcz sielanka.

Dlatego dobrze, że wreszcie słychać głosy – głównie ze strony PiS i prezydenta Nawrockiego – o potrzebie naprawy konstytucji. Pytanie tylko, czy aby na pewno chodzi im o wyeliminowanie z niej owej niszczącej Polskę dwuwładzy i odejście od obecnego, nieistniejącego chyba – poza Polską – nigdzie indziej w cywilizowanym świecie potworka ustroju prezydencko-kanclerskiego – na rzecz prezydenckiego lub kanclerskiego? No i czy wreszcie znajdzie się w Polsce większość, która zechce ją uchwalić, bo dobrze życzy Polsce? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pętla się zaciska

Premier powoła sobie na prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej na sześć lat swojego zaufanego Przemysława Kunę, obecnie zastępcę państwowego instytutu NASK. I co mu (znaczy: Tuskowi) zrobicie? Ano – nic. Prezes UKE jest bowiem wyłaniany zwykłą większością, kandydata zaś wyznacza szef rządu.

Sprawa prezesa UKE ginie oczywiście w tle różnych innych spraw, a niesłusznie. Obowiązuje nas bowiem DSA – Digital Services Act, czyli Akt o usługach cyfrowych, regulacja unijna, potencjalnie bardzo niebezpieczna, bo wprowadzająca swoiste wymogi cenzorskie dla bardzo dużych platform internetowych. DSA tworzy dwie instytucje: zaufane podmioty sygnalizujące (ZPS) oraz koordynatora usług cyfrowych (KUC). ZPS będą rodzajem arbitrów w postępowaniach użytkowników wobec platform, będą zatem miały do odegrania ogromną rolę w kontekście wolności słowa. Niestety, ich definicja jest tak skonstruowana, że najpewniej o tę rolę będą się ubiegały już istniejące organizacje zajmujące się tzw. weryfikacją faktów, a te wielokrotnie w Polsce udowadniały, że działają wybiórczo i nieobiektywnie.

Kandydata na prezesa UKE wyznacza premier. To zatem od szefa rządu będzie zależał aparat swoistej kontroli nad swobodą opinii w Internecie

Z kolei koordynator usług cyfrowych będzie odpowiadać za wyłonienie ZPS, a tym koordynatorem będzie – ni mniej, ni więcej – ale właśnie prezes UKE. W ten sposób, co prawda pośrednio, od szefa rządu będzie zależał aparat swoistej kontroli nad swobodą opinii w Internecie.

Z tego powodu wiele organizacji pozarządowych, na czele z Panoptykonem, oczekiwało, że proces wyłaniania prezesa UKE będzie przejrzysty, a kandydaci wezmą udział w publicznych, transmitowanych w sieci przesłuchaniach. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Premier, mówiąc wprost i brutalnie, wypiął się na postulaty NGO-sów.

Dodajmy do tego rychłe głosowanie w Radzie UE nad skanowaniem całej komunikacji elektronicznej – oficjalnie w celu wychwytywania CSAM, czyli nadużyć seksualnych wobec dzieci, ale wiadomo, że raz uruchomione narzędzie będzie można wykorzystywać w różnych celach – a dostajemy obraz zaciskającej się pętli. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

Ostatni lodowiec

Adam Zubek

Nadejdzie kiedyś taki dzień, taki poranek, kiedy ludzkość się obudzi z nocnego snu, a ich już na świecie nie będzie. Czy da się żyć bez lodowców? Zrobi się dramatycznie

Papież Innocenty XI musiał być mocno zaskoczony, a było to ponad trzy wieki temu, gdy mieszkańcy dwóch alpejskich miejscowości, Fiesch i Fieschertal, zwrócili się do niego o pomoc w powstrzymaniu zagrażającego ich domostwom potwora. W tej intencji ślubowali cnotliwe i pełne wyrzeczeń życie. Papież przychylił się do ich prośby i pobłogosławił ich śluby. Ale trzy i pół wieku później ich praprawnukowie zwrócili się z gorącą prośbą do Benedykta XVI, by zwolnił ich z tych ślubów i wybłagał powrót potwora. Na razie błagania okazały się bezskuteczne. Wystraszony potwór jest w odwrocie, systematycznie wycofuje się w wyższe partie gór. Nazywa się Aletsch i jest największym lodowcem alpejskim.

Prognozy klimatologów przewidują, że przy dzisiejszym tempie topnienia większość lodowców górskich zniknie do końca stulecia. Słychać głosy żalu miłośników wysokich gór i lodowych krajobrazów. Ale najbardziej zaniepokojeni są przedstawiciele biznesu narciarskiego, którego wartość ocenia się na 70 mld dol. rocznie. Zanikanie lodowców przeobrazi, już przeobraża, życie milionów ludzi na całym globie. I nie są to przeobrażenia, na które można patrzeć z optymizmem.

Jeszcze 150 lat temu góry, zwłaszcza te wysokie, uważano za coś odrażającego. Żałosną ruinę, pozostałość po kataklizmie, który zniszczył dawną doskonałość. Owa doskonałość – w przekonaniu XVII-wiecznych przyrodników i myślicieli – to Ziemia o idealnie gładkiej powierzchni, bez rys i zmarszczek, zwłaszcza tak ohydnych jak góry. O Alpach mówiono Montagnes maudites – góry przeklęte. Jeszcze gorszą opinię miały lodowce górskie. Starożytni Rzymianie omijali je, jak mogli. Nieliczni, którzy zapuszczali się w głąb Alp, opisywali lodowce jako białą, posępną, pustynię. Martwą, milczącą i zabójczą. O lądach Antarktyki i Grenlandii wiedza była bardzo mglista. Właściwie aż do końca XIX w. nie było pewności, czym są te białe kontynenty. O braku zainteresowania zdecydowała na wiele dziesięcioleci zapewne opinia Jamesa Cooka, odkrywcy Antarktydy, który powiedział o tym kontynencie: „Świat nie będzie miał z niego żadnego pożytku".

Hydrolodzy, klimatolodzy, meteorolodzy oczywiście zaprotestują, ale Cook miał rację. Lądolody Antarktyki i Grenlandii,

eprasa.pl ada7bc27a8

Aletsch, największy lodowiec Alp
FOT. ADOBE STOCK

choć odgrywają kluczową rolę w bilansie wodnym planety i kształtowaniu ziemskich klimatów, nam w codziennym życiu „nie przynoszą żadnego pożytku". Co z tego, że stanowią główny rezerwuar wody słodkiej na Ziemi, skoro jest ona praktycznie niedostępna dla ludzi (a także dla zwierząt i roślin)? W lodach uwięzione jest ok. 70 proc. wody słodkiej naszego świata, ale aż ponad 99 proc. tego trudnego do uszczknięcia słodkowodnego lodu zawierają pokrywy lodowe Antarktydy i Grenlandii. Na szczęście jest jeszcze ok. 200 tys. lodowców górskich, na które przypada zaledwie ten 1 proc. lodu słodkowodnego. I to ratuje nasz świat, a przynajmniej znaczącą jego część.

LODOWA WIEŻA CIŚNIEŃ

„Dopiero na gęsto zaludnionej i rozgrzanej słońcem Nizinie Gangesu w Indiach Północnych i Bangladeszu – pisał w swojej książce (»Nieznane życie lodowców«) dziennikarz glacjolog, Norweg Bjorn Vassnes – gdzie pociłem się w blisko czterdziestostopniowych temperaturach, zdałem sobie sprawę ze znaczenia kriosfery. Co takiego utrzymywało przy życiu ludzi podczas najsuchszych i najcieplejszych okresów w roku? Śnieg i lód z odległych gór, Himalajów, niejednokrotnie nawet niewidocznych z Niziny Gangesu. Kiedy deszcz przestawał wypełniać koryta rzek, a monsun miał nadejść dopiero za kilka miesięcy, to właśnie topniejący śnieg i wody polodowcowe spływające z dachu świata zapewniały nawodnienie".

Przez wieki mieszkańcy Indii byli przekonani, że cała woda w ich rzekach pochodzi z nieba, czyli z deszczu, którego monsuny, te letnie, im nie szczędzą. W końcu to tu, w północno-wschodniej części Indii, położona jest miejscowość Czerapuńdżi, znana z najwyższych średnich ilości opadów (ok. 11 000 mm). Nie zdawali sobie sprawy z tego, że mniej więcej stały poziom wody w rzekach zapewniają im wiosną śniegi i lody Himalajów. Problem dotyczy całej Azji Południowo-Wschodniej, gdyż większość rzek tego regionu bierze swój początek w Himalajach, Karakorum oraz Tybecie i zasilana jest wodą z lodowców, topniejącego śniegu, a także wiecznej zmarzliny. Ktoś swojego czasu trafnie nazwał te zlodowacone strefy swoistą wieżą ciśnień. Ocenia się, że od jej sprawnego funkcjonowania

eprasa.pl ada7bc27a8

uzależnionych jest ponad miliard ludzi. Być może jest jeszcze gorzej. Według szacunków zespołu prof. Bethana Daviesa z Uniwersytetu Royal Holloway sprzed kilku lat od wody z lodowców jest zależnych ok. 1,9 mld ludzi z ponad 8 mld żyjących na naszej planecie. Czy problem dotyczy tylko Azji? Oczywiście nie, wszystkie skupiska ludzkie żyjące w otoczeniu terenów zlodowaconych lub charakteryzujących się obfitą pokrywą śnieżną muszą mieć świadomość, że ich funkcjonowanie zależy od dominującego... reżimu.

JAK UTRZYMAĆ REŻIM

Tym niezbyt sympatycznym terminem hydrolodzy określają ustrój rzeczny, a więc sposób zasilania rzek i układania się stanów wody w rzekach w ciągu roku. Mamy więc reżimy śnieżne, lodowcowe i deszczowe, ale w rzeczywistości najczęściej mieszane. W Europie większość rzek biorących swój początek w Alpach ma ustrój lodowcowo-deszczowy lub śnieżno-deszczowy. Klasycznym przykładem jest francuski Rodan, w którym maksymalne przepływy występują latem, podczas intensywnego topnienia lodowców. Niestety, wszystkie te kraje korzystające z „wieży ciśnień", którą są alpejskie lodowce, spotka w nieodległej przyszłości niemiła niespodzianka – wskutek zagłady lodowców mogą spodziewać się znaczącego deficytu wody. W tym kontekście można byłoby powiedzieć, że my, z naszą Wisłą o ustroju deszczowym, jesteśmy wygrani, bo cała nasza historia rozwijała się, gdy karpackie i sudeckie lodowce już dawno nie istniały. Jesteśmy więc przystosowani do takiej sytuacji i nic się już u nas z tego powodu nie pogorszy, jeżeli chodzi o zaopatrzenie w wodę. Co nie oznacza, że nie będziemy mieli problemów z wodą. Już je mamy, bo niestety na opady „jak za dawnych lat" – zarówno deszczu, jak i śniegu – też nie można liczyć.

Jest wiele miejsc na świecie, które uznajemy za prawdziwe raje klimatyczne. To europejskie wybrzeża Morza Śródziemnego (Prowansja, Liguria, Costa Blanca), afrykańska Prowincja Przylądkowa Zachodnia, amerykańska Kalifornia czy australijska Nowa Południowa Walia. Jednak funkcjonowanie ich, czego nie są świadomi przybysze, a często sami mieszkańcy, uzależnione jest od zasobów śniegu i lodu w pobliskich lub trochę dalszych górach. Nawiasem mówiąc, brak tej świadomości może być niekiedy usprawiedliwiony obecnością „niewidzialnych lodowców". To lodowce szczelnie pokryte kamieniami i gruzem, co sprawia wrażenie, że wodę dostarczają górskie gruzowiska.

W Kalifornii, jak podaje Departament Zasobów Wodnych tego stanu, ok. 30 proc. wody używanej przez mieszkańców (i trzy czwarte wody pitnej) pochodzi ze śniegów gór Sierra Nevada. Bez tego zasilania Kalifornia, dziś region sadów cytrusowych, drzew migdałowych, uprawy winorośli, nie byłaby tak przyjaznym miejscem dla ludzi, zwierząt i roślin. Innym przykładem jest rzeka Kolorado w Ameryce Północnej, która zaopatruje ok. 40 mln ludzi, a która czerpie większość wody z opadów śniegu w Górach Skalistych. Zlewnia tej rzeki od 2000 r. znajduje się w stanie suszy, ponieważ w ostatnich latach więcej opadów spada w postaci deszczu, który spływa szybciej niż woda ze śniegu górskiego. Podobnie dzieje się w Argentynie i Chile.

Nie zapominajmy, że również nam przyszło żyć w epoce lodowej, chociaż wymyślamy różne inne nazwy dla czasów współczesnych. Obecność na mapie świata lądolodów i tysięcy lodowców górskich jest tego dowodem

Ocenia się, że cofające się lodowce i malejące opady śniegu w górach wpłyną na dwie trzecie całego nawadnianego rolnictwa na świecie i będą miały daleko idące konsekwencje dla zdecydowanej większości populacji. W takiej sytuacji rozkwitną migracje. Początkowo będą miały charakter wewnętrzny. Przykładowo: w Ameryce Łacińskiej w ciągu 25 lat ponad 17 mln osób stanie się migrantami klimatycznymi.

Zmniejszające się zasoby słodkich wód z lodowców staną się bez wątpienia źródłem napięć politycznych w obliczu zwiększonego stresu wodnego – jest to szeroko opisywane np. dla regionu Hindukusz-Himalaje, w którego skład wchodzi osiem krajów: Afganistan, Bangladesz, Bhutan, Chiny, Indie, Mjanma, Nepal i Pakistan, gdzie walka o zasoby wodne jest kwestią życia dla ok. 2 mld ludzi. Właśnie wiosną tego roku byliśmy świadkami rozwijającego się konfliktu między Indiami i Pakistanem, w trakcie którego jako najgroźniejsza broń miała być użyta woda, a właściwie dostęp do niej. Indie zawiesiły umowę o podziale wody z Pakistanem po zamachu terrorystycznym w indyjskim stanie Dżammu i Kaszmirze, w którym zginęło 26 osób. Indie zablokowały przepływ przez tamę Baglihar na rzece Chenab. Najbardziej dotkliwe dla Pakistanu byłoby jednak przerwanie dopływu wody z rzek Kaszmiru. Z tego źródła pochodzi 80 proc. wody dla pakistańskiego rolnictwa. – Będzie to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny – zapowiada rząd Pakistanu.

POŻEGNANIA

Pewnej sierpniowej niedzieli kilka lat temu u podnóża tej islandzkiej góry pojawiła się spora grupa osób uroczyście (choć kolorowo) ubranych i w dobrych nastrojach, mimo że okazja była raczej smutna. Po okolicznościowych mowach zebrani wspięli się na szczyt góry, gdzie umieścili tablicę z przesłaniem dla potomnych: „Ok jest pierwszym islandzkim lodowcem, który utracił status lodowca. W ciągu następnych 200 lat prawdopodobnie wszystkie nasze główne lodowce będą podążać tą samą drogą. Ten pomnik ma potwierdzić, że wiemy, co się dzieje i co należy zrobić. Tylko ty wiesz, czy to zrobiliśmy". Autorem był islandzki pisarz i poeta Andri Magnason. Tak wyglądał pogrzeb lodowca Okjökul, a nazwa góry została skrócona do Ok, bo przyrostek jökull przysługuje tylko lodowcom.

Od tego czasu odbyło się już kilka innych pogrzebów, m.in. w Alpach austriackich i szwajcarskich. Wiele lodowców umiera jednak samotnie, w ciszy. Wenezuela dołączyła do Słowenii jako drugi kraj, który współcześnie utracił wszystkie swoje lodowce, a na drodze tej jest Indonezja, która może stracić Puncak Jaya (ostatni tropikalny lodowiec Azji, dotąd nazywany „Wiecznym").

Badania z ubiegłego roku potwierdziły, że 1,4 tys. lodowców w Szwajcarii straciło połowę swojej całkowitej objętości w ciągu mniej niż stulecia, a tempo utraty lodu przyspiesza. Oceniono, że objętości lodu

eprasa.pl ada7bc27a8

zmniejszyły się o 50 proc. w ciągu 85 lat od 1931 do roku 2016 i o dodatkowe 12 proc. po roku 2016.

Według badań Światowej Organizacji Meteorologicznej tempo zanikania lodowców jest obecnie najszybsze w historii. W najnowszym corocznym raporcie o stanie klimatu stwierdzono, że w ciągu ostatnich trzech lat doszło do największej utraty masy lodowców w historii pomiarów. Czy można ten proces powstrzymać? Niestety, nie ma ratunku dla lodowców. Wpisanie niektórych na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO oczywiście niczego nie zmienia. Zwraca tylko uwagę, że mamy problem.

Indonezja może stracić Puncak Jaya (ostatni tropikalny lodowiec Azji, dotąd nazywany Wiecznym) FOT. ADOBE STOCK

TERAPIA PALIATYWNA

Zwolennicy tezy o antropogenicznej przyczynie ocieplenia klimatu twierdzą, że można ten proces spowolnić. Badacze z Uniwersytetu w Innsbrucku są jednak zdania, że nawet przy realizacji najbardziej ambitnego celu ograniczenia globalnego ocieplenia do 1,5 stopnia Celsjusza do końca stulecia zniknie nawet połowa lodowców na Ziemi. Modele klimatyczne przewidują, że przy obecnych scenariuszach należy spodziewać się wzrostu średniej globalnej temperatury o 2,7 stopnia Celsjusza do 2100 r. Oznaczałoby to niemal całkowity zanik lodowców w Europie Środkowej, zachodniej Kanadzie, USA i Nowej Zelandii.

Jak jeszcze można spowolnić agonię lodowców? Wobec niektórych można zastosować coś na wzór opieki paliatywnej w medycynie. Taki sposób stosują już od kilkunastu lat w Alpach Szwajcarzy i Austriacy, osłaniając fragmenty lodowców specjalnymi foliami odbijającymi promieniowanie słoneczne. Oczywiście najbardziej są tym zainteresowani właściciele ośrodków narciarskich. Niestety, koszty są ogromne, a ekolodzy zwracają uwagę, że produkcja tego rodzaju tworzyw sztucznych na taką skalę tylko zwiększa emisję gazów cieplarnianych.

Inną drogą poszli Norwegowie, którzy martwią się o swój lodowiec na szczycie Galgepiggen, najwyższej góry Skandynawii. Z roku na rok lodowiec gwałtownie się zmniejsza. Projekt uratowania lodowca przewiduje sztuczne „dokarmianie" śniegiem jego części szczytowej. Oceniono, że wymagałoby to corocznego nawiewania 700 tys. m sześc. sztucznego śniegu.

Zmartwienie entuzjastów sportów zimowych to jedno, a problem zaopatrzenia w wodę to drugie. Lodowce są kluczowym źródłem wody na Ziemi. Z ich zasobów korzysta obecnie, pośrednio lub bezpośrednio, blisko połowa populacji świata. Jest jednak człowiek, który próbuje wyręczyć Stwórcę w tworzeniu lodowców. Nazywa się Chewang Norphel i jest Hindusem, z wykształcenia inżynierem budownictwa. Zbudował, jeśli tak można powiedzieć, 15 sztucznych lodowców. Zaobserwował on, że spowolnienie na jakimś odcinku przepływu strumienia (w warunkach klimatu górskiego) spowoduje jego zamarzanie. Wybierając możliwie cienistą dolinę, można uzyskać coraz grubszą warstwę lodu. Taki lodowiec zacznie topnieć dopiero wtedy, gdy temperatura odpowiednio się podniesie, np. w kwietniu, który to miesiąc jest krytyczny, jeżeli chodzi o nawadnianie pól. Idea sprawdziła się w regionie Ladakh, gdzie powstały pierwsze sztuczne lodowce. Budowa takiego lodowca trwa ok. dwóch miesięcy, a koszt nie przekracza 2 tys. dol. Można w ten sposób pozyskać dziesiątki milionów litrów wody.

SPOKOJNIE, TO TYLKO INTERGLACJAŁ

Czy pożegnanie z lodowcami jest ostateczne i definitywne, co zdają się sugerować głosiciele tezy o płonącej planecie? Z całą pewnością nie. Co prawda, nie jest rozstrzygnięty spór o to, czy przyrodzonym klimatem naszej planety ma być klimat ciepły i wilgotny, jak zapewne nam się marzy, czy też może trwanie globu w stanie zlodzenia, ale im głębiej w przeszłość Ziemi sięgają badacze, tym bardziej są zaskoczeni liczbą śladów po pradawnych epokach lodowych. Według badacza paleoklimatu Michaela Sandstroma z Columbia University w Nowym Jorku wielkie epoki lodowe obejmowały 25 proc. czasu z 4,5 mld lat dziejów Ziemi. A wśród nich zdarzały się takie na niewyobrażalną skalę, gdy Ziemia zamieniała się w lodową kulę (epizody tzw. Ziemi śnieżki). Nie zapominajmy, że również nam przyszło żyć w epoce lodowej, chociaż wymyślamy różne inne nazwy dla czasów współczesnych, jak holocen, antropocen itp. Obecność na mapie świata lądolodów i tysięcy lodowców górskich jest tego dowodem. Obserwowane ocieplenie, postępujące praktycznie dopiero od kilkunastu tysięcy lat, wskazuje, że wkroczyliśmy w kolejny interglacjał, okres międzylodowcowy, ale daleko nam jeszcze do jego pełnej fazy. Warto przypomnieć, że poprzedni interglacjał, sprzed 115–132 tys. lat, był znacząco cieplejszy niż czasy współczesne, zniknęły w każdym razie wszystkie lodowce górskie i nadtopiła się Grenlandia. Tak więc obecne ocieplenie może się bardzo nie podobać lobby narciarskiemu i grozić nam problemami z zaopatrzeniem w wodę w przeludnionych regionach, ale nie jest globalną, nieodwracalną katastrofą. Jest zwykłym, kolejnym interglacjałem w kenozoicznej epoce lodowej.

Właściwie rodzi się pytanie, czy w takim razie lód, lodowce, lądolody w dziejach Ziemi należy uznać za epizody niepożądane, zbędne czy wręcz szkodliwe? Coś w rodzaju odradzającego się co jakiś czas pasożyta na ciele naszej pięknej, błękitnej planety? Jest, jak się obecnie przekonujemy, wręcz odwrotnie – lodowce, zwłaszcza na obecnym etapie rozwoju ziemskiej cywilizacji, są wielkim dobrodziejstwem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ada7bc27a8

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szwedzi w lochach w Wiśniczu

JACEK KOMUDA

Zamek w Wiśniczu ufundowany jeszcze w XIV w. przez Jana Kmitę, starostę sieradzkiego, ruskiego i krakowskiego, jest jednym z najbardziej znanych zabytków obronnych Małopolski. W czasach potopu został złupiony do tego stopnia, że przez jakiś czas wykorzystywany był jedynie jako więzienie dla pojmanych Szwedów. Kilka miesięcy odsiedział tutaj znany pamiętnikarz Hieronim Chrystian Holsten, wolny rajtar, który jesienią 1656 r. dostał się pod Krakowem do niewoli polskiej. Pozostawił nam niesamowity pamiętnik wydany już w naszych czasach jako „Przygody wojenne" opisujący swe życie jako zawodowego żołnierza, który przeszedł potem na stronę polską i brał udział m.in. w wojnie z Moskwą.

RYS. OBA

Holsten uwięziony w lochach pozostawił ciekawe świadectwo pobytu na Wiśniczu. Otóż on i jego koledzy otrzymali legowisko ze słomy, „której nawet kawałek długości palca nie był wolny myszy i wszy". Pomimo tego był dobrze traktowany przez pilnujących jeńców hajduków. Pierwszego wieczora odstąpili Szwedom nieco własnego jedzenia i picia. W kolejnych dniach podstawą wyżywienia była kasza jaglana ugotowana w czystej wodzie. „Gdy pytaliśmy o masło – pisał – odpowiadali nam, że łatwo z tego dostać kolki. Otrzymywaliśmy do picia jasne piwo, w którym nie można było dosmakować się chmielu ani słodu". W niedzielę jeńcy byli traktowani nieco lepiej: „Otrzymywaliśmy świeże mięso ze starej, zdechłej krowy. Od razu było nam weselej niż zwykle!". Z późniejszych wspominków wynika, że jeńcy dostawali codzienny przydział chleba.

Holsten miał się o wiele lepiej niż inni Szwedzi i Niemcy siedzący na Wiśniczu, gdyż posiadał zaszyte w ubraniu dukaty, które „zapewniały nam zdrowie i w smutnych chwilach dodawały otuchy". Hajducy zgadzali się bowiem, aby kupować za nie jeńcom rzeczy konieczne do przetrwania. Czy była to pożywna strawa? A może niezbędne dla organizmu warzywa i owoce? Oczywiście, że nie. Holsten i jego kompani kupowali potajemnie rzeczy będące w XVII w. pocieszeniem każdego strapionego żołnierza. A więc tytoń (zapewne tabakę), piwo i gorzałkę. „Ach, dukaty, dukaty! – wzdychał pamiętnikarz. – Doskonałe na wszelkie choroby remedium".

Pobyt w lochach wiązał się z wieloma wesołymi historiami, które i dzisiaj wywołują uśmiech na obliczu czytającego te słowa. Otóż hajducy zarabiali nieraz na jeńcach kilka dzbanów piwa, kiedy pokazywali ich okolicznym chłopom albo mieszczanom. „Niektórzy z dalszych stron nie wiedzieli, jakimi bestiami mogą być Szwedzi, inni znali nas niestety za dobrze, ponieważ niektórzy z nas bywali aż nazbyt często – na swoje nieszczęście – w ich domach". Aby zatem przestraszyć chłopów i nie zostać rozpoznanymi, Holsten i jego kompani wykrzywiali gęby, zmieniali mowę lub naklejali plaster na oczy.

Pomijając słabe wyżywienie i stałą obecność wszy, jeńcy byli dość dobrze traktowani przez strażników. Czasami, gdy była pogoda, więźniowie prosili hajduków o wyprowadzenie na spacer. Na to ci czasami się zgadzali. Wówczas Niemcy rzucali się na obsiane grochem pola. „Nacieraliśmy na nie jak rój pszczół i nabieraliśmy sobie brzuchy i kieszenie". Musiał to być całkiem pocieszny widok. Jednak hajducy zatrzymywali wówczas dla siebie chleb przydzielany więźniom. „Gdy słońce zachodziło i byliśmy zapędzani z powrotem, każdy zdobywał choć małą wiązkę słomy, trawy lub siana, aby poprawić swoje legowisko".

Holsten przesiedział na zamku prawdopodobnie całą zimę z roku 1656 na 1657, łudząc się, że on i jego towarzysze zostaną wykupieni przez Szwedów. Kiedy okazało się, że nadzieja była płonna, a w dodatku poczęły szerzyć się wieści, iż na Rzeczpospolitą ma zamiar najechać książę siedmiogrodzki Rakoczy, zażądano od jeńców zmiany strony. Złożenia przysięgi królowi polskiemu albo oczekiwania na jeszcze coś gorszego – zapewne dalszy pobyt w lochu bez nadziei na poprawę losu. Bohater zdecydował się wówczas przyjąć służbę w armii koronnej i zaciągnął się do kompanii przybocznej Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, w której, jak sam pisał, zmuszono go, aby został najstarszym kapralem. „Byliśmy teraz bardzo źle umundurowani, mieliśmy za to nadmiar wolności" – napisał. Jak pisze wesoło: „Od ręki otrzymaliśmy zezwolenie na zmianę naszych koni, gdybyśmy zobaczyli coś lepszego, ba, mogliśmy się udać na śląską granicę, a nawet poza nią, aby się dobrze obłowić i umundurować". Bohater dostał zatem oficjalne pozwolenie na rabunki i kradzieże, byleby tylko zdołał zgromadzić rynsztunek pozwalający na dalszą walkę; typowe dla czasów rabunku i żołnierskich kontrybucji.

Holsten wziął później udział w wyprawie odwetowej na Siedmiogród i w walkach na Ukrainie z Kozakami i Moskalami. Poświęcił im wiele szczegółów w pamiętniku, który polecam miłośnikom historii. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

ŠKODA SUPERB COMBI IV (PHEV)

FOT. JAP

To już czwarta generacja najlepszej limuzyny z Czech. Pod maską może pracować silnik benzynowy, wysokoprężny lub jednostka benzynowa wspierana przez napęd elektryczny (hybryda plug-in).

Do testów wzięliśmy ten ostatni wariant. Łączy on komfort limuzyny z przestronnością nadwozia kombi i napędem PHEV, który zapewnia możliwość bezgłośnej jazdy po mieście, lepszą dynamikę w trasie i mniejsze średnie spalanie. Półtoralitrowy turbodoładowany silnik benzynowy TSI (o mocy 150 KM) współpracuje z napędem elektrycznym o mocy 116 KM i akumulatorem o pojemności 27,5 kWh. Łączna maksymalna moc systemowa układu to 204 KM.

Wysoka masa własna, wynosząca niemal dwie tony, sprawia jednak, że sprint od zera do 100 km/h zajmuje 8,1 s. Jak na rodzinne kombi o długości 4,9 m nie jest to zły wynik, ale ta sama Škoda Superb Combi bez ciężkiej baterii na pokładzie osiąga 100 km/h na liczniku niemal sekundę szybciej. Zupełnie inaczej sprawy wyglądają w trasie. Napęd hybrydowy dodaje dodatkowej energii, gdy jest akurat najbardziej potrzebna – z wyprzedzaniem wersją PHEV nie ma więc żadnych problemów.

Dzięki baterii o pojemności 25,7 kWh brutto auto umożliwia pokonanie wyłącznie na prądzie prawie 130 km. To zaś oznacza to, że nie tylko mieszkańcy miast, lecz także podmiejskich sypialni mogą każdego dnia dojeżdżać do biura i z powrotem, niemal w ogóle nie korzystając z silnika benzynowego (doładowując auto w domowym gniazdku). Przy rozładowanym akumulatorze spalanie w cyklu mieszanym wynosi 5,6–5,8 l/100 km.

Škoda Superb nie wygląda szczególnie atrakcyjnie (to eleganckie kombi, ale mało kto odwraca się z zachwytem, aby móc je jeszcze chwilę popodziwiać). Podróż nią jest jednak bardzo komfortowa. W kabinie miejsca jest mnóstwo: zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. W ekskluzywnym wariancie Laurin & Klement znajdziemy drewniane elementy wykończenia na desce rozdzielczej i na boczkach drzwi, tapicerkę ze skóry ekologicznej. Fotele kierowcy i pasażera są w tym wariancie nie tylko ergonomicznie zaprojektowane, lecz także podgrzewane, wentylowane i wyposażone w funkcję masażu. Jest tu nawet podgrzewanie tylnego siedziska. Na pokładzie nowego Superba są też pomysłowe inteligentne pokrętła (łączące mechaniczne sterowanie z opcją cyfrowego wyświetlania informacji), 13-calowy wyświetlacz dotykowy systemu multimedialnego, cyfrowe zegary o przekątnej 10,25 cala oraz urokliwe oświetlenie, które można dostosować do aktualnego nastroju.

Wadą testowanej wersji PHEV jest mniejszy bagażnik niż w innych wersjach modelu Superb Combi. Mimo to kufer jest ogromny. Jego pojemność wynosi 510 l (1770 l przy złożonej tylnej kanapie).

Wersja z prądem jest też wyraźnie droższa od innych wariantów. Ceny nowej Škody Superb Combi iV w wersji L & K (z 1,5-litrowym silnikiem o mocy 150 KM) wynoszą ok. 221 tys. zł. Ta sama wersja wyposażenia, ale już z napędem TSI PHEV (o mocy 204 KM) to wydatek rzędu 238 tys. zł. ©℗

SOUNDCORE AEROCLIP

Elegancki design, czysty dźwięk, stabilne i komfortowe mocowanie na uchu, solidne wykonanie oraz dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety bezprzewodowych słuchawek otwartych Soundcore AeroClip chińskiej firmy Anker.

Pierwszy plus należy się za wzornictwo: jest minimalistyczne i eleganckie. Bardzo dobra jest też jakość użytych materiałów oraz spasowania poszczególnych elementów konstrukcyjnych słuchawek. Kolejny plus to ich niewielka waga (jedna waży 5,9 g). W zestawie jest też matowe, plastikowe etui ładujące.

Dość nietypowa konstrukcja słuchawek z klipsem – zamiast wpychać je wewnątrz kanału słuchowego, „zawiesza się" je na zewnętrznej części ucha – wymaga pewnego przyzwyczajenia. Mimo początkowych obaw nic nie wypada. Po znalezieniu właściwej pozycji na uchu nawet przy gwałtownych ruchach głową słuchawki nie tylko nie katapultują się z ucha, lecz także najczęściej niemal nie drgną... Jednocześnie otwarte Soundcore AeroClip pozwalają słuchać muzyki, nie wywołując dyskomfortu ani zmęczenia nawet po kilku godzinach użytkowania.

Na pochwałę zasługuje też dobre brzmienie z przyjemnym wrażeniem przestrzenności dźwięku. Zarówno wysokie, jak i średnie tony brzmią czysto. Zadowoleni powinni być też miłośnicy czystego basu, choć w przypadku otwartych konstrukcji niskie tony nigdy nie będą brzmiały tak wyraziście i intensywnie, jak w konstrukcjach zamkniętych (choć dla niektórych to właśnie bas w konstrukcjach otwartych brzmi bardziej naturalnie).

Na jednym ładowaniu muzyki można słuchać do ośmiu godzin (lub do 32 godzin, jeśli co jakiś czas odkładamy słuchawki do etui, które pełni jednocześnie funkcję powerbanku).

Wady? Klasa wodoszczelności słuchawek to IPX4 (są więc zabezpieczone przed zalaniem, zachlapaniem czy lekkim deszczem, ale trzeba uważać, aby nie wpadły do basenu, wanny czy zwykłej kałuży).

Sama konstrukcja sprawia, że próżno tu szukać technologii aktywnego tłumienia hałasu czy nawet sposobu na pasywne tłumienie niechcianych dźwięków. Z tego samego powodu testowany model świetne nadaje się do bezpiecznego słuchania muzyki podczas joggingu w centrum miasta, jazdy na rowerze/hulajnodze elektrycznej etc. Nie odcinają bowiem użytkownika od dźwięków z zewnątrz, a jednocześnie są na tyle komfortowe, że można zapomnieć, że w ogóle ma się je na/w uszach. Cena: 449 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl ada7bc27a8

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Chruzikowe pieczonki

FOT. ADOBE STOCK

Jakiś czas temu pisałyśmy o tym, że zalany strop stał się powodem nawiązania naszych rodzinnych relacji. Oto nastąpił ciąg dalszy. W miniony weekend niedaleko Częstochowy, w miejscowości Zaborze, odbył się pierwszy Zjazd Rodziny Chruzików. Było to nasze pierwsze spotkanie z tak szeroko reprezentowaną rodziną ze strony naszego ojca. Drzewo genealogiczne, które pokazała jedna z kuzynek, sięga aż 400 lat wstecz. Spotkanie trwało dwa dni, zaczęło się tradycyjnie śląskim obiadem, a skończyło ogniskiem i pieczonkami własnoręcznie przygotowanymi przez wujka Waldka (który jest jednocześnie wybitnym złotnikiem), no i oczywiście tańcami do rana przy ognisku.

Pieczonki to rodzaj biesiadnej potrawy, którą przygotowuje się w żeliwnych garnkach nad ogniskiem. Jest idealna na takie okazje, ponieważ z każdą godziną zapiekania staje się smaczniejsza. Przygotowuje się ją z ziemniaków, kiełbasy, boczku, cebuli z dodatkiem różnych przypraw.

Pieczonki (4–6 osób)

• 2,5 kg ziemniaków • 2 sztuki marchewki • 3 cebule • ½ główki czosnku • laseczka kiełbasy (tak określa kawałek kiełbasy mąż naszej cioci Joli, góral z Zakopanego Wojtek) • 60–70 dag boczku surowego

Przyprawy

• 1 łyżka soli • 5 liści laurowych • 5 kulek ziela angielskiego • ½ łyżeczki tymianku • ½ ziół prowansalskich • ½ łyżeczki słodkiej papryki • kilka liści białej kapusty (muszą być duże i całe, najlepiej te pierwsze z zewnątrz)

Pieczonki przygotowujemy w żeliwnym garnku i pieczemy na ognisku – tak jest najsmaczniej. Ale możemy zrobić je również w piekarniku. Wtedy używamy rękawa do pieczenia – będzie nam wygodniej – i wkładamy do naczynia żaroodpornego.

Odcinamy dwa plastry boczku i zaczynamy od obrania ziemniaków oraz pokrojenia ich w plastry ok. 0,5 cm. Pokrojone przekładamy do misy, dodajemy pokrojone marchewki, cebulę, kiełbasę i boczek w kostkę, wszystko mieszamy razem z przyprawami. Niech poleżą chwilę, aby przeszły przyprawami. Mieszamy kilka razy. Garnek żeliwny lub naczynie żaroodporne (jeśli pieczemy w piekarniku) wykładamy liśćmi białej kapusty – najlepiej tak, aby grube części liści były na dnie, a na wierzchu te szerokie, cieńsze. Na dnie wykładamy plastry boczku, następnie warstwami układamy naszą mieszankę, dociskamy ręką i kolejną część na koniec przykrywamy liśćmi kapusty, po czym wkładamy nad rozpalone ognisko. Nie powinno się już dokładać do ognia, żeby nie przypalić dania. Pieczemy je na ogniu ok. 45–50 min.

Pieczonki robi się pod koniec biesiady. Jeśli w piekarniku, to pieczemy w 160 st. C przez ok. 45 min. Mieszankę najlepiej wsypać do rękawa foliowego, będzie nam wygodniej przekładać góra-dół w połowie pieczenia albo tylko w naczyniu żaroodpornym, tak samo wyłożonym liśćmi kapusty. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Grzybki lubią pływać

W naszej otoczonej lasami mazurskiej wiosce na grzyby zazwyczaj się tylko czeka. Dlaczego nie ma grzybów, eee, w tym roku nie ma grzybów – zawsze to samo. Wychodzisz człowieku o szóstej rano w kaloszach, z nadzieją. I wracasz za dwie godziny, przeszedłszy wszystkie znane ci „miejsca". I nic. Każdy ma swoje miejsca, którymi niechętnie się dzieli. Upamiętnione triumfalnymi znaleziskami: pod tym dębem Zosia znalazła ogromnego prawdziwka, a tu, na środku drogi, rósł sobie zdrowiuteńki koźlarz.

Na brak grzybów lokalsi naszej wioski mają swoje wytłumaczenia; stosują je osobno lub w zestawach. Jest za sucho, za mokro, za zimno, za ciepło, za wcześnie, za późno... Ale w tym roku jest zupełnie inaczej. Ani za sucho, ani za gorąco, chociaż sucho i gorąco, a grzyby po prostu same wchodzą do domu. Wczoraj przywieźliśmy dwa duże pudła i w chwili, kiedy to piszę, w kuchni i w ogrodzie suszą się zdobycze, roztaczając woń, której pozazdrościłby pan Guerlain. Zdobycze raczej nie moje, głównie pana Bojańczyka i naszej kochanej przyjaciółki Iwony.

Sama właściwie nigdy nie byłam zainteresowana tematem. Moi rodzice podobnie, a w wieku nasto- i dwudziestoletnim uważałam wycieczki na grzyby za jeden z obciachów zbiorowej rozrywki w realnym socjalizmie. Autokarem zakładu pracy na grzyby! Ja? Nigdy, przenigdy.

Dopiero pan Bojańczyk obudził we mnie pierwotny gen zbieractwa i zaczęłam uważać, że spacer w lesie, z którego nic się nie przyniosło, jest stracony. Poznałam nieporównywalne z niczym uczucie, kiedy dojrzało się ukrytego pod dębem, nietkniętego przez robaki prawdziwka. To samo musiał czuć Kolumb.

Nawet doznawana z tytułu znalezisk satysfakcja nie sprawiła, że nauczyłam się rozpoznawać poszczególne gatunki. Poza oczywistym rozróżnieniem muchomora, kani czy kurki wciąż nic o tym nie wiem i każdy okaz przedstawiam do instancji certyfikującej w osobie Iwony.

Co mogą o tym wiedzieć inne narody, np. Anglicy? Czy mają taki porządny las, z dębami, bukami, sosny też mogą być, ostatecznie. Włosi przynajmniej mają swoje funghi porcini, z których robią risotto. Ale czy to są prawdziwe grzyby? Zbyt białe, zbyt nieskazitelne, zbyt piękne. Nie ufam im, chociaż risotto, owszem, lubię.

U nas, w Warszawie, na moim dalekim Ursynowie, zaraz zacznie się sezon grzybowy. Otwarcie sezonu rozpoznaję nieomylnie znaleziskami wśród sosenek. Nie o borowiki chodzi. Są to rozsiane tu i ówdzie małpki z wiśniówką oraz buteleczki napoju alkoholowego Desperados. Muszę kiedyś spróbować, do grzybów świetnie pasuje. Grzybki też lubią pływać. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Egzekucja wolności słowa

Oglądałem jego spotkania od dawna. Młody facet w namiocie naprzeciw wrogiego tłumu. Radykał z mikrofonem, ale bez wrogości – głównie z sokratejską metodą debaty, czyli doprowadzaniem interlokutora pytaniami do jawnej absurdalności poglądów tego, kto wstępował z nim w spór. Dzięki temu, że ze swoimi formatami dyskursu wchodził do jaskini smoka, czyli na kampusy amerykańskich uczelni, można było się nie tyle dowiedzieć o racji jego niewątpliwie konserwatywnych poglądów, ile bardziej o ideologii „woke", z którą się konfrontował. W tej konfrontacji widać było mizerię poglądów zaangażowanej lewicy, która swój „marsz przez instytucje" zakończyła spektakularnym zwycięstwem szczególnie na amerykańskich uczelniach. Widać było też wdrukowane tam pojęcia jak cepy. I wielekroć nasz bohater nie tylko wygrywał słowne utarczki, lecz także odnosił zwycięstwa w postaci przekonania interlokutora, który odchodził (może po raz pierwszy w życiu) w zadumie.

Tak, piszę tu o Charliem Kirku, 31-letnim mówcy, ojcu dwojga małoletnich dzieci, który został dziś w nocy naszego czasu zastrzelony w czasie swego występu na uniwersytecie w Utah. Była to zaplanowana egzekucja, bo przygotowana zawczasu. Tak się skończyło przekonywanie na argumenty lewicowych studentów. Kirk był znienawidzony od dawna, bo był skarbnicą argumentów dla swoich zwolenników, czasami pogubionych w szantażu poprawności politycznej. Był głosem MAGA, rewolucji zdrowego rozsądku. Oczywiście zachowując wszelkie proporcje co do różnic, by lepiej to można było zrozumieć – był amerykańskim Jerzym Popiełuszką, który w czasach pogardy nie bał się mówić prawd oczywistych. I za to zapłacił.

Oczywiście zginął za wolność słowa, którą dzielnie uprawiał, ale dopuszczał jej istnienie nawet w kompletnie nielogicznych, ale za to ideologicznych „wywodach" swoich interlokutorów. Ale jak zareagowali jego apologeci? Można się domyślić: jak u nas jakiś nieszczęśnik podpalił się ze swym manifestem w ręku, który był de facto skrótem dziennego programu TVN, to media zawyły, na jedynkach gazet pojawiła się ikoniczna postać, starano się z tego koniunkturalnie ugrać oskarżenia o tym, że PiS zabija.

Dziś na zamordowanego ojca wylewa się lewacka fala już nie hejtu, ale zadowolenia, pokazywania przykładu, jak to „nie warto"stawiać się mainstreamowi. W trakcie minuty ciszy jego pamięci w walczącym o wolność słowa Parlamencie Europejskim posłowie z lewicy nawet nie wstali. Wolność słowa, która właśnie poniosła stratę, jest przez lewicę rozumiana inaczej, a jej prawdziwi adepci zasługują – jak widać – na dowolną, bo zasłużoną karę. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Co się jeszcze musi wydarzyć?!

Atak dronów, do którego doszło z 9 na 10 września 2025 r. na terytorium Polski, wydarza się niemal dokładnie rok po porażce, którą zaliczyło polskie państwo, (nie)reagując na zagrożenie powodziowe i walcząc ze skutkami kilkudniowych deszczy na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie. Paradoksalnie zdarzenie to może być błogosławioną okolicznością dla opamiętania się i rozpoczęcia realnej pracy nad przygotowywaniem ludności na zagrożenia, które niesie wojna hybrydowa i wojna w ogóle. Podstawowe pytanie brzmi: Co się zmieniło w ciągu 12 miesięcy w zakresie reagowania na zdarzenia kryzysowe?

Odporność państwa, czyli utrzymanie i rozwijanie takich zdolności w sferze cywilnej i wojskowej, które znacząco utrudnią nieprzyjazne działania, to jeden z podstawowych warunków bezpieczeństwa zarówno w wymiarze krajowym, unijnym i sojuszniczym – czytamy w dokumentach rządowych. Sporo jest tam deklaracji, że troska o odporność społeczną jest obowiązkiem i zadaniem każdego państwa oraz stanowi kluczowy aspekt bezpieczeństwa UE i NATO. Brzmi pięknie! Ale gdybym zapytał polityków obecnej czy poprzedniej koalicji, co zrobiliście w ciągu roku – bo przecież skandaliczny chaos, który widzieliśmy we wrześniu 2024 r., był skutkiem zaniedbań właściwie wszystkich rządów ostatnich 30 lat – to pewnie usłyszałbym, że wreszcie mamy Ustawę o obronie cywilnej i ochronie ludności (z 1 stycznia 2025 r.), że 27 maja 2025 r. zatwierdzono Program Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej na lata 2025–2026, że tylko w tym okresie na te cele Polska przeznaczyła 0,3 proc. PKB, co stanowi 16,7 mld zł.

I tu zaczynają się potężne obawy. Program obrony cywilnej został zaplanowany w oparciu o Państwową Straż Pożarną. Takie umocowanie strukturalne OC od początku podważało wielu ekspertów, postulując powołanie, jak w innych krajach, rządowego pełnomocnika w randze ministra (lub wiceministra w MSW), który tylko tym by się zajmował, ogarniałby całość tematu, będąc partnerem dla samorządów, wojewodów i MON. Natomiast w polskim przypadku groźniejsze jest to, że politycy żyją w przekonaniu, że wystarczy dać pieniądze, i temat załatwiony. Otóż nie. Nie jest tajemnicą, że napięcia między MON a MSWiA, gdzie za rządów Zjednoczonej Prawicy ustawę przygotowywano, buzują nadal, że odpowiedzialny za ustawę strażak Wiesław Leśniakiewicz zadbał o to, by największe transfery poszły do PSP, że wszystko jest o rok spóźnione, więc samorządy, by zdążyć z zamówieniami i przetargami w terminie, wydają kasę na rympał. A więc znów przed szkodą i po szkodzie będziemy głupi? ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Czy Jonathan się zapisze?

Się państwo rozejrzą wokół siebie, bo były przypadki. Stop. To znaczy, może ja to pisze w sposób nieuporządkowany, ale były przypadki, że taki jeden pan przyszedł z pracy, zjadł sobie obiadokolację, wyszedł, by gospodarskim rzucić okiem na posiadanie, i zobaczył, że mu przybyło, że mu dron przybył. Stop. Generalnie powinno o tym chyba wiedzieć wojsko i może policja albo inne służby, ale nie wiedziały. Stop. Mimo że panu chłopu przybyło, to nie jest to najlepsza informacja, bo nie ma jeszcze rynku wtórnego na spadnięte drony, poza tym strach podchodzić i gmerać, choć stan posiadania się zwiększył. Stop. No cóż, Rosjanie pokazali nam w praktyce, że mamy imponujący brak państwa, i tu zakończę ten wątek, bo w sumie to nie jest mi z tymi Tuskami i Kamyszami do śmiechu.

Myślę, że zakończyła się przygoda prof. Jacka Czaputowicza w telewizji likwidującej się bez rezultatu. Stop. Były minister spraw zagranicznych w rządzie PiS trochę się z przyczyn różnych pogniewał na PiS i raczył nadawać na tenże. Stop. W czystej wodzie przyjmowano to z ukontentowaniem, ale do czasu. Stop. Pani Dorota Schnepf próbowała profesora wpuścić na tory: „Cenckiewicz nie ma poświadczenia bezpieczeństwa, ma zarzuty ujawniania rzekomych tajemnic, więc skandal jest – to mówię ja, redaktor Schnepf, zrobiłam za pana robotę, pan weźmie i potwierdzi i piękny będzie wywiad, jak ta lalunia". Stop. Może i ten Czaputowicz PiS nie wielbi, ale przywiązał się do logiki, jak to profesor, i wziął, i pani redaktor o niefortunnie znanym nazwisku powolutku przetłumaczył: Obowiązujący wyrok sądu potwierdza, że Cenckiewicz ma poświadczenia bezpieczeństwa, a zarzuty są natury politycznej, więc lipa. Stop. Poza tym chyba najważniejsze poświadczenie dał mu Trump, który gościł go z prezydentem Nawrockim w Białym Domu. Stop. I jak tu można mieć zaufanie do tych profesorów, jak oni niektórzy mają te wartości?

Senator Wadim Tyszkiewicz (wiem, że państwo nie znają, mało kto zna) postanowił zarejestrować partię dla ludzi młodych. Stop. W zamyśle chce uszczknąć elektoratowi Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka. Stop. Pan Wadim ma 67 lat, więc np. taki żółw olbrzymi Jonathan, urodzony w 1832 r., ma 193 lata i taki Tyszkiewicz to dla niego chłopczyk. Wysłaliśmy pytanie do Jonathana, czy się do Wadima zapisze, byłoby to wzmocnienie. Będziemy informować. Stop. Partia ma więc szanse, ale trzeba walczyć. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Przebudzenie z ogonkiem

Zdumiewający artykuł ukazał się niedawno na łamach „Gazety Wyborczej". Został on zatytułowany „Jestem lisem, tak jak jestem Polakiem. A to jest mój ogon". Tekst opisuje „therianizm" – „zjawisko, które pojawiło się w Polsce stosunkowo niedawno. W Stanach Zjednoczonych czy w Wielkiej Brytanii jest znane od dawna". Dalej zaś czytamy: „Therianie to osoby, które identyfikują się jako zwierzęta. Wierzą, że posiadają z nimi duchową lub psychiczną więź. Często żyją ze świadomością, że były zwierzętami w poprzednim wcieleniu. Na ogół są to koty, psy, lisy, ale również gady, płazy czy ptaki" – wyjaśnia autor tekstu, Rafał Górski. Zdaniem „therian" – których „Wyborcza" cytuje – „nie istnieje możliwość świadomego wybory theriotypu, czyli gatunku zwierzęcia, z którym taka osoba ludzka się identyfikuje. Tożsamość zwierzęca pojawia się samoistnie i w ten sam sposób się rozwija. Proces ten nazywają przebudzeniem".

Przebudzeni bohaterowie „Gazety Wyborczej" opowiadają o swojej „tożsamości zwierzęcej" ze swadą i entuzjazmem. „Gabriel czuje, że ma lisie uszy. Jego theriotyp to rudy lis, ale ostatnio poczuł także identyfikację z gepardem grzywiastym". „Kasia identyfikuje się jako pies i ma przyczepiony do ubrania ogonek z futerka". „Doświadczam głębokiej więzi z psami – mówi – zarówno psychicznej, jak i duchowej. Myślę, reaguję, a czasami zachowuję się w sposób, który wydaje się bardziej naturalny dla psa niż dla człowieka. Nie wybierałam tego, czuję, że to część mnie".

Konsultowani przez „Gazetę Wyborczą" eksperci odnoszą się do opisywanego „zjawiska" ze zrozumieniem i akceptacją. „Żyjemy w trudnych czasach, pandemia, wojny, kryzys klimatyczny. Niektórzy wstydzą się przynależności do gatunku, który agresywnie dominuje nad światem. Ruch therian może być ucieczką od brutalnej rzeczywistości, próbą odnalezienia się w czymś mniej destrukcyjnym" – tłumaczy dr Aleksandra Wronecka z Uniwersytetu SWPS.

„Therianizm to subkultura, która nawiązuje do animizmu, czyli jednej z pierwszych teorii antropologicznych. Ludy tubylcze obdarzają duszą nie tylko ludzi, ale też zwierzęta, rośliny, a nawet skały. To podejście podmiotowe do zwierząt i roślin, a nie przedmiotowe, jak w kulturze zachodniej" – czytamy w „Wyborczej".

W „Folwarku zwierzęcym" George'a Orwella ogłupione przez propagandę zwierzęta wykrzykują na wiecu hasło: „Dwie nogi złe, cztery nogi dobre". Postulaty głoszone w powieści przez Napoleona, knura rasy Berkshire, powtarzają dziś zgodnym chórem ludzie zaburzeni psychicznie, liberalne media oraz wykładowcy akademiccy. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kolejki do prawdy

Nie rozumieją i się dziwią. Od lat kładą ludziom do głów, że prawdziwa sztuka to sztuka nowoczesna, jak najbardziej oderwana od rzeczywistości, przekraczająca kolejne granice, prowokująca najmocniej, jak się da. Stawiają jej potworne gmaszyska wyglądające jak przerośnięte baraki czy kontenery na budowach. Metafora goni tam metaforę do tego stopnia, że widownia zaczyna już postrzegać jako dzieło sztuki współczesnej zarówno włącznik światła, jak i kosz na śmieci ustawiony w rogu wystawy. Jeśli w ogóle jakaś widownia wybiera się oglądać czarne kwadraty, powyginane rury, pochlapane farbą płótna czy ściany, no i oczywiście, bo tu akurat elementy realizmu pozostają nienaruszone, ciała gołych ludzi w każdym wieku.

Nie rozumieją więc i się dziwią, dlaczego w kolejnym już polskim mieście rekordy frekwencji bije wystawa dzieł Józefa Chełmońskiego. W ubiegłym roku w Warszawie na wystawę ustawiały się kolejki, miało ją odwiedzić niemal 200 tys. osób. Rok wcześniej 143 tys. w tym samym muzeum podziwiało dzieła Picassa, bądź co bądź nieco bardziej rozsławionego w świecie. Wystawa Chełmońskiego zawędrowała więc do Poznania, gdzie… wprowadzono dodatkowe godziny otwarcia i limity wejść, aby rozładować tłum – dzienne kolejki sięgały nawet 2 tys. osób dziennie. Dziś zobaczyć te same obrazy chcą tysiące chętnych w Krakowie.

Co tak pociągającego jest w Chełmońskim? Czy tylko jego osławiony realizm, do którego tęskni przebodźcowany niezrozumiałą formą sztuki nowoczesnej współczesny odbiorca? Czy może odkrycie, że byli kiedyś malarze potrafiący pozostawić na płótnie wizerunek konia wyglądającego jak koń, a nie jak trzepak, jak robią to dziś dekonstruktorzy? A może kluczem do zrozumienia jest swoista koronacja przez tegoż artystę polskiej wsi, codzienności, sielanki i trudów prostego życia, małej ojczyzny i piękna utraconych pejzaży?

Nie sądzę jednak, by było bowiem tak, jak chce jedna z publicystek Kultury Liberalnej, według której tłumy walą na wystawy, gdyż tej pierwszej, warszawskiej, towarzyszyła ponoć dyskusja o jakichś rzekomych „przemocowych zachowaniach” malarza. Tak, tak, naprawdę to napisała.

Jak jest, trzeba by zapytać z osobna każdego spośród odwiedzających wystawy. Mnie jednak intuicja podpowiada tęsknotę polskiej duszy za wszystkim, co dla Chełmońskiego charakterystyczne. Do prawdy – bo realizm stara się na niej właśnie opierać. Do piękna – bo umiejętność tworzenia pozostaje wzruszającą. Do dobra – bo na tych obrazach widać dobro, bo tym właśnie jest jest sielanka gdy trzeba, praca gdy trzeba, odpoczynek przy babim lecie w odpowiedniej porze, kuropatwa gdy trzeba i podziwianie żurawi gdy trzeba. Dobry, piękny i prawdziwy jest szacunek dla porządku i piękna zastanego świata, a nie chęć jego gwałtownego przekształcania, dobra, piękna i pełna prawdy jest bijąca z tych płócien harmonia człowieka z dziełem stworzenia i pokora wobec wyższego ładu.

Tęsknimy za tymi obrazami tak bardzo, że zaczynają one grać w filmach! Przecież to właśnie na niektórych z dzieł Chełmońskiego oparto wizualnie nową ekranizację „Chłopów”.

Jeśli rzeczywiście mamy w fenomenie popularności malarza do czynienia z tęsknotami polskiej duszy, to nie sposób nie wspomnieć o dwóch mniej znanych jego obrazach, które można zobaczyć na popularnych wystawach – „Krzyż w zadymce” i „Pod Twoją obronę”.

Pierwszy ukazuje krucyfiks w polu. Wpisany w pejzaż, jakby sama natura uznała jego władzę. Chłostany przez wiatr, a może i śnieg, krążą nad nim ptaki, a on trwa – nie tylko jako symbol religijny, lecz jako niezwyciężony znak obecności Boga w świecie.

Drugi obraz, kontur Matki Bożej utworzony przez chmury, to zwierciadło polskiej modlitwy: ziemia zostaje gdzieś na dole, ciężka, konieczna, wierna. Niebo otwiera się łagodne, ale stanowcze. Między nimi rozpięte są gest Matki i błogosławieństwo Dziecka.

Czy to też realizm? Chełmoński maluje również mistyczną rzeczywistość tak, aby w jej głębi odbijało się zawierzenie, niosące jego naród od pokoleń.

Wciąż trwające w naszych duszach.

Stąd te kolejki. ©℗

Co tak pociągającego jest w Chełmońskim? Czy odkrycie, że byli kiedyś malarze, którzy potrafili namalować wizerunek konia wyglądającego jak koń, a nie jak trzepak, jak robią to dziś dekonstruktorzy?

eprasa.pl ada7bc27a8

TRUCIZNA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trucizna na niebie. Trucizna w szczepionkach. Trucizna z Mercosur. Trucizna w gaciach.

A każda z nich śmiertelna. Zacznijmy od tej ostatniej: AIDS we Wrocławiu. Szef sanepidu mówi: „Kobiety to głównie nie-Polki. Ale panowie to już wrocławianie". W całej Polsce nastąpił kolosalny wzrost liczby chorych na AIDS. Te „nie-Polki" przywiozły truciznę w gaciach i w ten sposób wzrosła w naszym kraju liczba chorych; a potem wzrosła liczba zakażeń, bo przyjezdni nosiciele zajęli się roznoszeniem. Władza poprzednia nie zrobiła nic, obecna robi to samo: nic. Co w tej sytuacji może zrobić obywatel? Dobrym zabezpieczeniem przed chorobą tego typu jest zasada „nie wpuszczaj byle kogo do swoich gaci".

***

Trucizna na niebie, czyli smugi chemiczne, które opadają na ludzi, na ziemię, na rośliny i do wody. Kiedyś to była „teoria spiskowa". Foliarzem był nawet ten, kto tylko PYTAŁ, co to za smugi, czemu kiedyś ich nie było, skąd one, co mają w sobie, czemu służą i kto tym zarządza?

Administracja Donalda Trumpa kieruje się zasadą, że obywatele mają prawo wiedzieć. Nawet gdy zadają głupie pytania, należy im się uczciwa odpowiedź. Władze w USA zaczęły otwarcie mówić o chemicznych smugach na niebie. To już nie jest tajemnica, że źli ludzie stworzyli narzędzia, a nawet broń do kontrolowania klimatu. Teraz stopniowo dowiadujemy się, kto co stworzył, jak to działa i kto zarządza aparaturą.

W sprawę jest zaangażowana była żona Donalda Trumpa, Marla Maples, która od lat protestuje przeciwko sztucznemu modyfikowaniu klimatu. Teraz połączyła siły z EPA (rządowa agencja ochrony środowiska), a także z organizacjami stanowymi i wszyscy razem realizują program MAHA, który ma sprawić, by Ameryka była znów zdrowa. Senat stanu Floryda przegłosował ustawę (Bill 56), która zabrania rozpylania środków chemicznych wpływających na zmianę temperatury, pogody, klimatu i natężenia promieniowania słonecznego.

Od 1 lipca 2025 r. Floryda jest pierwszym stanem, gdzie modyfikowanie pogody i klimatu jest przestępstwem. Geoinżynieria została zakazana. Solar radiation management (SRM), czyli zarządzanie promieniowaniem słonecznym w celu ochłodzenia planety, czyli rozpylanie w wysokich warstwach atmosfery cząstek chemicznych, które mają ograniczać dostęp światła słonecznego, czyli… tworzenie na niebie smug chemicznych, które opadają bardzo wolno – TO zostało zakazane. Co najmniej 24 stany w USA wprowadzają podobne ustawy.

Na moim niebie nad prerią od kilku miesięcy nie ma smug. Samoloty latają jak dawniej, ale ślad po nich znika w ciągu kilku minut, bo teraz to tylko para wodna.

***

Trucizna w szczepionkach. Prezydent Trump zamieścił na swoim portalu Truth Social film o rtęci w szczepionkach. Dodał prosty komentarz: „They're ALL poison. Every. Single. One." (One WSZYSTKIE są trucizną. Każda. Co do jednej). Film zawiera wypowiedzi lekarzy i naukowców. Opowiada o tym, że rtęć w szczepionkach jest ukrywana pod innymi nazwami, jako preparat konserwujący, i nawet lekarze nie orientują się, że to rtęć.

Trującymi szczepionkami zajmuje się od lat obecny sekretarz zdrowia USA Robert F. Kennedy Jr. Dawniej robił to społecznie, jako prawnik, teraz działa z urzędu. Wiele szczepionek w USA nie zostało prawidłowo przebadanych lub wyniki naciągano albo ukrywano powikłania. Teraz ma być kawa na ławę, a do tego wolność wyboru zamiast przymusu szczepień.

Na Florydzie właśnie zlikwidowano wszelki przymus. Urzędnik w randze ministra zdrowia Florydy powiedział: A kim ja jestem lub kim jest władza, aby narzucać ludziom konkretne terapie? Od dzisiaj nie ma żadnych przymusów! Lekarz doradza, pacjent decyduje. Dodatkowo gubernator Florydy ogłosił, że jeśli któraś szkoła, uczelnia lub instytucja ustanowi jakiekolwiek przepisy wewnętrzne wymuszające szczepienia, to będzie karana.

***

Trucizna z Mercosur.

Czy żywność z Ameryki Południowej jest rzeczywiście fatalna i niezdrowa czy raczej chodzi o to, że europejscy rolnicy boją się o swoje interesy?

Odpowiadam: Umowa UE-Mercosur dotyczy masówki. Nie chodzi o koszyczek pomidorków od rolnika z Ekwadoru, któremu wszystko samo urosło na glebie wulkanicznej, nie musiał niczym nawozić ani niczym pryskać. Takie pomidorki to sobie można tanio kupić, ale tylko na miejscu, na indiańskim bazarze. W ramach umowy z Mercosur Europę zaleje tania produkcja masowa, czyli żywność trująca.

Największym dostawcą do UE będzie Brazylia, a Brazylia produkuje na ogromną skalę takie rzeczy jak modyfikowana soja, kukurydza... Brazylia jest mocarstwem. Jak to poznać? Gdyby reszta świata przestała z Brazylijczykami utrzymywać kontakty, to Brazylia nie upadnie, lecz da sobie radę. Produkują odrzutowce i wszelkie maszyny do wszystkiego. Umieliby produkować półprzewodniki, gdyby Tajwan odmówił sprzedaży swoich. Są doskonali z chemii, czyli zrobią sobie każdy lek. Robią też nawozy sztuczne i opryski. I tak dalej – mocarstwo.

Brazylia produkuje żywność przemysłowo i nie ogląda się na zasady ani normy. Brazylia produkuje też żywność na obcych ziemiach, np. w Paragwaju (i kilku innych krajach), gdzie wolno wszystko to, czego na terenie Brazylii zakazano, bo niezdrowe.

Najpierw brazylijskie firmy przywiozły do Paragwaju tartaki, wycięły lasy i sprzedały egzotyczne drewno za granicę (np. na podłogi z Barlinka). Potem na ogołoconych z lasu terenach pojawiły się łąki i przemysłowa hodowla bydła. Potem z tych łąk zrobiły się jałowe klepiska, czyli pola. Takie są najlepsze do trującej produkcji masowej. Ziemia tania, nikt jej nie chce, bo nikomu innemu nic na tej ziemi nie wyrośnie. Na jałowe pole dzierżawione w Paragwaju brazylijskie firmy leją nawozy i inne trucizny – kilkadziesiąt oprysków w sezonie. I rośnie monokultura. Zrobiłem o tym odcinek „Boso…" pt. „INDIANIE I SOJA". Normalnie robię odcinki wesołe, a ten był przerażający. Nasiona z fabryki nasion. Najpierw oprysk po nasionach, aby chciały kiełkować, potem oprysk, aby się kwiatki zawiązały, oprysk, aby się pozapylały, bo pszczół już nie ma, oprysk, oprysk, oprysk.

Żywność z Mercosur to trucizna. ©℗

eprasa.pl ada7bc27a8

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

466,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 537 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ada7bc27a8

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SZLACHTA – PRAWDA VS MITY

Jacek Komuda o dumie Rzeczypospolitej – Stan szlachecki stworzył podstawy współczesnej kultury polskiej. Czy mamy herby czy nie – wszyscy jesteśmy duchowymi potomkami obywateli, którzy założyli dawną Rzeczpospolitą

Białe imperium z Medellín – Zabójstwo polityczne, które właśnie wstrząsnęło Kolumbią, przypomniało jej obywatelom o terrorze, który lata temu rozpętał w ich ojczyźnie Pablo Escobar

„Trupie główki" idą w ogień – Dywizja SS-Totenkopf uchodziła za najbardziej fanatyczną i zarazem najlepszą jednostkę w niemieckich siłach zbrojnych

Błyskawice i „jajka" – Żołnierze AK walczący w Warszawie dokonywali prawdziwych cudów, by zdobyć uzbrojenie i naboje. Czasem, na skutek niemieckich błędów, w ich ręce wpadały prawdziwe „skarby"

Rzeki krwi i atramentu – Zdobycie przez Mongołów Bagdadu było największą tragedią w dziejach islamu

Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima – Po aferze z „Konduktem" Salon wyklął Bohdana Drozdowskiego. Odtąd jego książki z rzadka doczekiwały się recenzji, milczano nawet o tych tytułach, które osiągały sukces czytelniczy

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ada7bc27a8